

Seria numer 1 Amazonu **Klub**

On wyzwolił jej zmysły.  
Ona jego serce.  
Lecz nieujawnione  
tajemnice  
mogą poranić  
ich miłość...

Światowy bestseller

Tom 2

**Wyznanie**

Lauren Rowe



Seria **Klub**

Tom 2

# Wyznanie

Lauren Rowe

Przekład

MAŁGORZATA STEFANIUK



Korekta  
Hanna Lachowska  
Agnieszka Pyśk

Zdjęcie na okładce  
© tugolukof/Shutterstock

Tytuł oryginału  
The Club

Copyright © 2015 by Lauren Rowe.  
First published by SoCoRo Publishing  
All rights reserved.

Wszelkie prawa zastrzeżone.  
Żadna część tej publikacji nie może być reprodukowana  
ani przekazywana w jakiejkolwiek formie zapisu  
bez zgody właściciela praw autorskich.

For the Polish edition  
Copyright © 2016 by Wydawnictwo Amber Sp. z o.o.

ISBN 978-83-241-6143-0

Warszawa 2016. Wydanie I

Wydawnictwo AMBER Sp. z o.o.  
02-954 Warszawa, ul. Królowej Marysienki 58

[www.wydawnictwoamber.pl](http://www.wydawnictwoamber.pl)

Konwersja do wydania elektronicznego  
P.U. OPCJA  
juras@evbox.pl

*Tę powieść dedykuję jej pierwszym czytelniczkom, wspaniałym paniom, których reakcją na lekturę było szczere „cholera, gorące; do diabła, taak”.*

*Nickie, Marnie, Lesley, Tiffanie, Colleen i Holly plus mojej mamie, teściowej i ciotce. Byłam zachwycona, ale nie zaskoczona tym, że powieść spodobała się przyjaciółkom, ale kiedy się okazało, że tak samo jest w przypadku mamy, teściowej i ciotki...? „My, starsze panie, też lubimy seksowne kawałki” – wyjaśniła mi ciotka. Super, naprawdę niesamowite.*

*Dziękuję wam. Kocham was wszystkie.*

# Rozdział 1

## Jonas

Siedzę na kanapie i czekam, aż Sarah wyjdzie z łazienki. Jeśli zamęt w mojej głowie coś oznacza, to prawdopodobnie zaczynam ocierać się o obłąd. Chyba jestem od niej uzależniony. Nie mogę się nią nasycić. Wszystko, co robi, wszystko, co mówi, wszystko, czym jest... jest doskonała. Lepsza od jakiegokolwiek fantazji. Nie mogę jej się oprzeć. Wystarczy jej jedno słowo, a wszystkie moje plany idą w diabły. Nigdy, przenigdy nie miałem zamiaru przelecieć jej w tej łazience w restauracji. Ani w limuzynie. Jezu. Ale nie skarżę się, słowo. Odpuszczenie sobie tych obu cudownych bzykanek byłoby pieprzonym szaleństwem. Zresztą teraz już widzę, że ona musi najpierw wyrzucić z siebie to całe szaleństwo, zanim zacznie być gotowa na długi, powolny i słodki proces poddawania się. Jest jak dziki koń, którego trzeba ujarzmić. Muszę pozwolić jej trochę pobrykać, poszarpać się, poszamotać, zanim spróbuję ją osiodłać. I to mi odpowiada – każda spędzona z nią sekunda była idealna. Oprócz tego momentu, kiedy płakała. Cholera, już nigdy więcej nie chcę, żeby płakała, dopóki żyję. Wystarczyła jedna jej łza i totalnie mnie rozwalilo.

No i okazało się, że jednak ma problemy związane z ojcem. Zawsze mnie ciągnęło do dziewczyn z kompleksem tatusia. Jestem taki przewidywalny. Oczywiście nie powiedziała tego, ale domyśliłem się całej historii, gdy tylko zaczęła mówić o pomaganiu kobietom doświadczającym przemocy. Mogłem to sobie odegrać w wyobraźni jak film. Prawdopodobnie tatuś wywinął jej i matce niezły numer. Sukinsyn.

Wzdycham. Jak dotąd skopałem sprawę. Miałem wszystko ułożone w głowie, cały przebieg wieczoru. Sarah miała być Meg Ryan z *Bezsenności w Seattle* czy z jakiejś innej podobnej bajeczki ale, kurczę, nie spodziewałem się, że będzie się tak rządziła i przejmowała kontrolę. Orgazm czy nie, ta kobieta przeleciała mnie, aż mi dym poszedł uszami. Okazuje się, że ma w sobie odrobinę szaleństwa... I, cholera, podoba mi się to. Cholera, cholera, cholera. Kiedy zaczęła się rządzić, kiedy zamieniła się w diabolicę, uff, to było gorące. Jasne, przygotowałem sobie na ten wieczór strategię i wrócę do niej, daję słowo, że wrócę, ale kto by jej się oparł? Kto chciałby się jej oprzeć? Ten tyłek, o mój Boże, ta jej dupcia. Najładniejsza, jaką kiedykolwiek dotykałem. I te oczy. Kiedy spojrzała na mnie, jakby zamierzała się na mnie rzucić... „Pieprz mnie”, powiedziała mi do ucha, a ja o mało nie eksplodowałem. Kiedy to powiedziała, wtedy już wiedziałem na pewno: jest doskonała.

Ale teraz muszę przejąć kontrolę, mimo że to takie przyjemne, gdy mnie tak rozstawia po kątach. Od tej chwili mam tylko jeden cel w życiu. Istnieję na tym świecie tylko po to, żeby ta kobieta doświadczyła czystej ekstazy, bez względu na wszystko. I żeby tak się stało, muszę zacząć się przy niej hamować. Z nią trzeba postępować powoli. Musi czuć się bezpieczna. Potrzebuje poczuć emocjonalną więź, bo oczywiście miała rację, u kobiet przede wszystkim chodzi o więź. Ale dziwne jest to, że ja faktycznie czuję się z nią emocjonalnie związany. Kiedy podczas kolacji wypytywałem ją o jej życie, naprawdę chciałem poznać odpowiedzi na swoje pytania. Gdyby miała pieprzonego maltańczyka wabiącego się Kiki, słuchałbym, jak o nim opowiada nawet przez całą noc i słuchałbym z zainteresowaniem (choć mi ulżyło jak diabli, gdy się okazało, że nie ma maltańczyka wabiącego się Kiki). Jeśli mam być szczery, to już teraz czuję się bardziej związany z Sarah niż z którąkolwiek z moich byłych dziewczyn, nawet z

Amandą, a byłem z nią prawie rok. Nigdy z nikim nie czułem się tak swobodnie, nie byłem taki otwarty jak z Sarah. Jest tak, jakby przy niej nie groziło mi, że coś spieprzę. Nieważne, jaki gigantyczny ze mnie palant, nieważne, jak obrzydliwa jest prawda, nieważne, jak bardzo jestem szczery, jak popieprzony, ją to wszystko kręci. Ona naprawdę lubi mnie takiego, jakim jestem w rzeczywistości. Coś podobnego! To uzależniające.

I, ja pierdzielę, prawdziwa Sarah kręci mnie jak jeszcze nikt nigdy dotąd. Kiedy powiedziała, że nie poszła na prawo dla pieniędzy, o ludzie, to było zbyt wiele. Miałem ochotę wziąć ją tam, na tym stole. A kiedy się wkurzała o to, że zapisałem się do Klubu na cały rok, podobało mi się, że jest mi głupio, bo miała rację. Podoba mi się uczucie, że powinienem być kimś lepszym ze względu na nią. Słuchanie, jak opowiada o tych „jednomiesięcznych” facetach, jakby wszyscy byli Johnami Cusackami łązącymi po okolicy z boom boxami w *Nic nie mów*, było całkiem urocze, choć generalnie to jest strasznie naiwne myślenie. Jasne, gość wykupujący członkostwo na miesiąc to romantyk szukający miłości, no na pewno. Niemożliwe, żeby zapisał się tylko na miesiąc, bo na dłużej nie ma kasy. Ale, hej, jeśli ona chce widzieć romantyka w facecie z jednomiesięcznym członkostwem, to niech sobie widzi. Dla mnie jej optymizm jest słodki.

Zresztą, do diabła, może ma rację. Co ja tam wiem? John jest bogaty jak krezus, a zapisał się tylko na miesiąc. I jest romantykiem aż do bólu. Tak czy inaczej, kiedy opowiedziała mi o tym programiście, kiedy go broniła, jakby był rycerzem z Camelotu, była taka słodka, taka romantyczna. Taka dobra. Cholera, ta kobieta po prostu strasznie mnie kręci.

Myśli mi galopują. Mam wrażenie, jakbym wariował. Robię długi wydech. Muszę się uspokoić. Muszę się opanować, zwolnić i przestać pozwalać, żeby co dwie sekundy rzucała mnie na kolana. Bo teraz chcę ją doprowadzić do orgazmu, zależy mi na tym bardziej niż na oddychaniu. Ale żeby to osiągnąć, muszę przejąć kontrolę nad sytuacją.

Drzwi do łazienki otwierają się w końcu i Sarah wychodzi.

– Chcesz dokończyć oprowadzanie mnie po domu? – pyta.

– Jasne – odpowiadam. – Ale nie ma tu zbyt wiele do oglądania.

Śmieje się i podnosi oczy do sufitu.

– Ach ci bogacze. Są tacy zabawni.

Rozglądam się. Jak dla mnie, mój dom jest dość skromny. To znaczy, nie zrozumcie mnie źle, mam tu wszystko, co potrzeba, żeby czuć się komfortowo – salę kinową, siłownię, zabójczy widok, basen, dobrze wyposażoną kuchnię, piwniczkę na wino. Ale, no naprawdę, dom nie jest jakiś niesamowity. Powiedziałbym, że zwyczajny. Nie mam ani kręgielni, ani boiska do kosza. Metraż też jest dość ograniczony. Proste linie. No tak, dzieła sztuki na ścianach są wyjątkowe, ale ja lubię sztukę. Zawsze lubiłem. I, no dobra, wszystkie podłogi i materiały wykończeniowe są najlepszej jakości, część marmurów ściągana była nawet z Włoch, ale to tylko dlatego, że człowiek, jeśli tylko ma możliwość, powinien otaczać się pięknem. Ono jest pokarmem dla duszy. Rozglądam się, patrzę na swój dom jej oczami.

– Wiesz co? Pieprzmy zwiedzanie domu. Jesteś głodna?

– Jestem – przytakuje. – Apetyt dziwnie mi dzisiaj dopisuje. – Czerwieni się.

– No tak, a ja cię pozbawiłem ostatnich pięciu dań podczas kolacji.

– To ja cię ich pozbawiłam – przypomina. – Uważam, że to lepiej podsumowuje wydarzenia dzisiejszego wieczoru – uśmiecha się. – Nie tylko ty masz kompleks Boga, zapomniałeś? – Puszczą do mnie przekornie oko.

O ludzie, jest przeurocza.

– Chodźmy sprawdzić, co mam w kuchni. – proponuję.

– Masz jabłka? Albo może PB&J? – pyta. – Łatwo mnie zaspokoić.

Przechwytuje moje spojrzenie i nagle oboje zaczynamy się śmiać. O tak, jasne, łatwo ją zaspokoić,

bardzo łatwo. Zaspokojenie dziewczyny, której nigdy w życiu nie udało się osiągnąć orgazmu, jest tak proste jak pstryknięcie palcami.

– No, przynajmniej jeśli chodzi o jedzenie. – Znowu się śmieje, czytając mi w myślach. Przez chwilę rozmowa jest niemożliwa, bo oboje tak bardzo pękamy ze śmiechu.

Wreszcie Sarah cichnie. Wyciera oczy z łez i zarzuca mi ręce na szyję.

– Dziękuję za najwspanialszy wieczór z możliwych. – Wyciska na moim policzku entuzjastycznego całusa.

Nachylam się do jej ucha.

– Wciąż nie wierzę, że cię odnalazłem.

– Obłęd, co? – Puszczam moją szyję. – Nigdy, przenigdy bym nie pomyślała, że będę tu z tobą stała – z samym Panem Zaklinaczem Kobiet.

Wyciągam masło orzechowe, dżem i pieczywo i stawiam na blacie, a ona od razu zabiera się do dzieła.

– Też chcesz jedną? – pyta. – Nie – zaprzeczam. – To wstrętne.

– To dlaczego masz to w domu?

– Przez Josha. Może jeść tylko PB&J i będzie szczęśliwy. Jest tak samo obrzydliwy jak ty.

Uśmiecha się.

– Często do ciebie wpada?

– Zwykle raz czy dwa w miesiącu. Uprawiamy wspólnie wędrówki piesze i wspinaczkę. Przyjeżdża do Seattle rzekomo w interesach, ale zawsze udaje nam się wskrobać kilka dni wolnego, żeby wybrać się na wspinaczkę. W przyszłym roku planujemy zdobyć Kilimandżaro.

Kanapka jest już gotowa, Sarah odgryza spory kęs. Jest cudowna.

– Chcesz do tego mleka? Oreos?

– O tak, proszę, oreos i mleko. Mniemam.

– Żartowałem. No wiesz, nabijałem się z tego całego dzieciennego jedzenia.

Mina jej rzednie.

– Och.

– To świństwo cię zabije, wiesz?

Wzrusza ramionami.

– Uwielbiam oreos.

Zapisuję sobie w pamięci, żeby kupić oreos tak szybko, jak to tylko możliwe. Jeśli mogę temu zapobiec, nie chcę nigdy więcej widzieć wyrazu zawodu na jej twarzy.

– Kilimandżaro, mówisz? – Przez chwilę ma tęskny wyraz w oczach. – Afryka.

– No tak. Szykuje się całkiem niezłe przeżycie. Wody?

Kiwa głową.

– Dzięki.

Wyciągam z szafki dwie szklanki i napełniam lodowatą wodą. Sarah już siedzi przy stole, dołączam do niej. Kiedy stawiam przed nią wodę, dziękuje mi uprzejmie i uśmiecha się.

– Byłeś już w Afryce? – pyta.

– Kilka razy – odpowiadam. – A ty?

– Jeszcze nigdy nie wyjeżdżałam z kraju.

– Poważnie?

Kręci głową.

– Nie masz paszportu?

Znowu przeczący ruch głowy.

– No, Jezusie, musisz mieć paszport. Każę asystentce przysłać ci formularze. Załatwię tak, że wyrobisz ci go szybciej.

– A do czego, na litość boską, potrzebny mi paszport i to jeszcze wyrobiony w przyspieszonym tempie?

– Jej policzki nagle zalewa rumieniec.  
– Żebyś mogła w każdej chwili wyjechać. Nigdy nic nie wiadomo.  
– No, kurczę. Nie wiedziałam, że to przez to nie wybierałam się w nagłą podróż do Afryki – śmieje się. – A niech to. – Udaje rozbawioną, ale nagły rumieniec na jej policzkach mówi sam za siebie. Też się śmieję.  
– Lubię, kiedy się śmiejesz – mówi.  
Przekrzywiam głowę i patrzę na nią. Zwykle aż tyle się nie śmieję.  
Sarah wzdycha i pochyla się do przodu, opierając się na łokciach.  
– Założę się, że czasami ciężko ci przez to, że jesteś taki przystojny. – Odgryza duży kęs kanapki.  
Unoszę brwi. Nie potrafię ocenić, czy się ze mną droczy, czy nie.  
– Nikt w twojej obecności nie może się skoncentrować. Wszyscy zamieniają się w mdlejące zombie, zagubione w labiryncie ubóstwiania. – Milknie na chwilę. Jej głos robi się poważniejszy. – Wszyscy mówią ci tylko to, co chcesz usłyszeć.  
Taak, zdecydowanie mówi poważnie – przynajmniej jeśli chodzi o tę ostatnią część.  
– Mówię zupełnie serio – oznajmia, zgadując moje myśli. – Atrakcyjni ludzie mają łatwiej. Ci, którzy plasują się po środku spektrum dobrego wyglądu. Ludzi do nich ciągnie, są lubiani, bo nikomu niczym nie zagrażają. Z drugiej strony ci, którzy są tacy super cudowni jak ty, ci na krańcu skali urody, znajdują się po złej stronie punktu krytycznego.  
– Jakiego znów punktu krytycznego?  
– Tego, w którym ludzie zaczynają żywić do ciebie niechęć, projektować na ciebie własne emocje i odczuwać zagrożenie. Myślą, że jesteś palantem, chociaż nie jesteś. Albo zaabsorbowanym sobą egoistą. Tylko dlatego, że jesteś tak niedorzecznie cudowny. Oceniają cię inaczej.  
– No zgoda, ale co, jeśli jestem palantem i egoistą?  
– Och, cóż, w takim przypadku masz zwyczajnie przechłapanie.  
Uśmiechamy się do siebie.  
– Ale poważnie, pewnie musisz się niezłe nagimnastykować, żeby udowodnić ludziom, że nie jesteś skończonym dupkiem. To musi być wyczerpujące.  
– Czyli, współczujesz mi, bo jestem atrakcyjny?  
– Nie, już powiedziałam... nie jesteś atrakcyjny. Ja jestem atrakcyjna. Ty jesteś oszałamiający, aż szczęka opada. – Zaciska usta.  
Nachylam się do niej.  
– To ty jesteś oszałamiająca aż szczęka opada, Sarah. – Czy to możliwe, żeby tego nie wiedziała?  
– Oj daj spokój. Nie chodzi mi o to, żebyś prawił mi komplementy. – Wzdycha i zerka na mnie z ukosa.  
– Po prostu próbuję cię rozgryźć. – Bierze kolejny kęs kanapki i wzrusza ramionami. – Jesteś doskonały... poza tym, że co wieczór przelatujesz inną kobietę. To trochę zaburza twój idealny obraz. Ale oprócz tego nie znajduję w tobie żadnych wad.  
Nie wiem, co mam powiedzieć. Skomplementowała mnie i przywaliła w bebechy jednocześnie. Jestem przekonany, że widać po mnie moją konsternację.  
– Nie chcę ci dowalić. Tylko że... jakoś trudno mi pogodzić Jonasa, który chciał mieć życiowy zapas cipek, z Jonaszem, który siedzi tu i przygląda się, jak jem PB&J po tym, jak wynajął dla mnie całą restaurację.  
Niech szlag trafi to cholerne zgłoszenie.  
– Cóż, sądzę, że odpowiedź brzmi, że Jonas, który chciał sobie zapewnić zapas cipek na całe życie, tak naprawdę wcale nie chciał zapasu cipek na całe życie... Po prostu był zbyt głupi, żeby to rozumieć.  
Sarah nagle przestaje przeżuwać kanapkę, nieruchomieje.  
Ja wzdycham.  
– Myślisz, że to możliwe, żebyś zapomniała o moim zgłoszeniu i brała mnie takiego, jaki jestem, tu i



teraz, siedzącego obok ciebie? Bo chcę być właśnie tutaj, z tobą. Tak więc, jeśli nawet widzisz unoszące się nade mną widmo rozpusty, myślisz, że mogłabyś może po prostu postarać się je zignorować i uznać, że mężczyzna, którego widzisz przed sobą, to ten prawdziwy Jonas? To by nam zaoszczędziło mnóstwo czasu.

Przełyka i kiwa głową. Kładzie dłoń na sercu, jakby chciała je uspokoić.

– Świetnie. – Moje serce też bije mocno. – Byłoby naprawdę wspaniale. – Odchrząkuję. – Naprawdę super.

Odchyła się na oparcie krzesła.

Patrzę na nią, czuję pulsowanie w napiętej szczęce.

– Przepraszam – mówi.

Wzruszam ramionami.

– Byłeś dla mnie wspaniały. A ja cię sonduję, czekam na twoje potknięcie. To nie jest w porządku.

– To rozumiała reakcja, biorąc pod uwagę, kim jestem i co o mnie wiesz... i oczywiście wszystko, przez co przeszłaś.

Najeża się.

– A przez co ja przeszłam?

– To znaczy, no nie. Nie wiem, przez co przeszłaś. Mówię tylko, że to zrozumiałe, zważywszy... – milknę, nie kończąc. Już mam zamiar wcisnąć jej jakiś szajs, żeby się ratować, ale wtedy sobie przypominam, że obiecałem, że nigdy jej nie okłamię. – Mam pewną hipotezę odnośnie do twojej osoby, to wszystko. Ale prawdopodobnie nie powinienem się nią kierować.

– Co to za hipoteza?

Znowu odchrząkuję, żeby oczyścić gardło. O cholera. No to się wkopałem.

– Przypuszczam, że twój ojciec musiał być niezłym sukinsynem. Prawdopodobnie widziałaś, jak krzywdził matkę, co musiało wywołać w tobie traumę. Nie wiem, czy ciebie też krzywdził, ale w najlepszym razie na pewno cię porzucił, emocjonalnie lub fizycznie, albo jedno i drugie. I jeśli mam rację, to wystraszyłaś się i niezłe cię to skrzywiło, może bardziej, niż sobie uzmysławiasz, i trudno jest ci zaufać ludziom, zwłaszcza mężczyznom. To prawdopodobnie główna przyczyna twoich... seksualnych... problemów. – O cholera, mam przerąbane.

Mruga szybko kilkakrotnie oczami, jakbym właśnie zafundował jej mentalną chłostę. Milczy dłuższą chwilę.

Czuję skurcz żołądka. Jestem idiotą. Po co ja wygaduję takie rzeczy? Żeby się popisać? Ale ze mnie palant. To zbyt drażliwy temat. Ona nie ufa mi jeszcze aż tak, żebym odgrywał przy niej domorosłego psychologa. Jeśli dziewczyna ma problemy z zaufaniem, potężny kompleks tatusia, nie istnieje lepszy sposób na odstraszenie jej niż gadanie o tych sprawach. Szlag!

– Dokładnie tak – mówi w końcu. – Co do joty.

Spada ze mnie napięcie.

Spogląda na do połowy zjedzoną kanapkę na talerzu.

– Nigdy mnie nie tknął... ale poza tym... wszystko się zgadza. – Wbija we mnie spojrzenie.

Kiwam głową. Serce mi łomocze.

Sarah wzdycha.

– Aż tak łatwo mnie przejrzeć?

– Nie, wcale. – Wzruszam ramionami. Z jakiejś przyczyny po prostu ją czuję.

Przygryza koniuszek palca, przez chwilę jest zagubiona w myślach.

– Taa..., zdecydowanie mam problemy związane z zaufaniem – mówi.

Wypuszczam powietrze. Jestem szczęśliwy, że się na mnie nie wściekła.

– Wiem. Ale to nic nie szkodzi.

– Potrafię komuś zaufać, naprawdę. Tylko że nie szybko. Trochę mi to zajmuje. Dłużej niż powinno.

– W porządku.

– I może jest coś w tym, co mówisz, że to wszystko łączy się jakoś z moimi... problemami... seksualnymi. – Przechyliła głowę na bok. – Nigdy dotąd tego nie łączyłam. Ale prawdopodobnie masz rację.

Biorę głęboki wdech, żeby się trochę uspokoić.

– No więc, Jonasie.

– Tak?

– Mogę mieć do ciebie prośbę?

– Proś, o co chcesz.

– Jeśli zdarzy się, że mi odbije, że... no zacznę cię odtrącać, mógłbyś nie mieć do mnie o to pretensji?

– Tylko wtedy, jeśli obiecasz, że nie będziesz wymawiała mi niekończącej się parady cipek.

Uśmiecha się półgębkiem.

– Zgoda.

– Zresztą już ci odbiło i mnie odepchnęłaś. I to nie raz. A ja się nie obraziłem.

– To prawda. – Jej oczy przez chwilę wpatrują się intensywnie w moje. – Dzięki, że mnie odszukałeś.

– Dzięki, że byłaś do odszukania.

Parska śmiechem, tym lekko ochrypłym.

– Tak się nie mówi.

– Teraz już tak. Jestem Bogiem, zapomniałaś? Ja ustanawiam zasady.

Znowu się śmieje.

– Masz ochotę na coś jeszcze? – pytam. Od dłuższej chwili nie tknęła kanapki.

– Tak. Może pokazałbyś mi jakieś zdjęcie twojej rodziny? – pyta.

Nie o to mi chodziło. Myślałem o jabłku albo krakersach. Chwilę się zastanawiam.

– Jasne – rzucam w końcu. Rozglądam się. – Uhm, no tak. – Idę do salonu, a ona za mną. – Uhm. Tutaj.

To Josh i ja. – Podaję jej magazyn biznesowy sprzed kilku lat ze mną i Joshem na okładce. Redakcja opracowała listę trzydziestu najważniejszych dyrektorów firm w Stanach poniżej trzydziestki. Razem z Joshem zajmowaliśmy dwudziestą piątą pozycję.

– A tak, widziałam to zdjęcie w Internecie.

– Aha. To Josh. Jesteśmy bliźniakami. Dwujajowymi.

– Też jest niesamowicie przystojny – stwierdza. – Ale to jednak ty zwalasz mnie z nóg, zdecydowanie.

– Wydaje odgłos, jakby zlizywała smakowity sos z palców. – Masz w sobie tę... mroczność. Jakąś melancholię w oczach. Nie potrafię się temu oprzeć.

Zamurowało mnie.

– Widzisz to we mnie, naprawdę?

– Oczywiście, że tak. W twoich oczach.

Mówię teraz ciszej.

– I to ci się podoba?

– Żartujesz? To jest najlepsza część.

Skąd ta kobieta się wzięła? Jest wszystkim, czego szukałem, kiedy zapisywałem się do Klubu. Czego szukałem i nawet nie wiedziałem, że szukam.

– Masz jakieś inne zdjęcia? – pyta. – Jeszcze z kimś innym z rodziny?

Już chcę odpowiedzieć, że tylko z wujkiem, ale nie robię tego, tylko kręcę przecząco głową. Z jakiegoś powodu w gardle tworzy mi się gruda.

– Mogę ci pokazać innym razem? – udaje mi się wydusić. Odchrząkuję.

– Jasne – zgadza się. I kładzie mi dłoń na ramieniu.

Kiwam głową. Gruda w gardle jeszcze nie zniknęła.

– Wiesz, na comam teraz ochotę? Chciałabym wziąć twoją twarz w dłoń i zasypać pocałunkami

twoje policzki, oczy, nos i usta.

Wypuszczam powietrze. Nie umiem sobie wyobrazić niczego lepszego w tej chwili.

– Ale ponieważ już wiem, że tak bardzo brzydzisz się masła orzechowego i dżemu, sądzę, że byłabym nieuprzejma, gdybym to zrobiła, zanim umyję zęby.

Jakimś sposobem udało jej się zmusić mnie do uśmiechu, ot tak po prostu.

– Słusznie kombinujesz.

Puka się palcem w skroń.

– Ja zawsze kombinuję, Jonasie – rzuca i puszcza oko.

Parskam śmiechem.

– To niedopowiedzenie roku.

## Rozdział 2

### Sarah

Stoję w łazience Jonasa Faradaya, myję zęby nad umywalką Jonasa Faradaya, patrzę na swoje odbicie w lustrze Jonasa Faradaya. Jak ja się tu znalazłam? Życie jest pełne niespodzianek, to nie ulega wątpliwości.

Zamykam oczy i szoruję zęby.

Ten wyraz na jego twarzy, kiedy zapytałam o rodzinę, ten głęboki smutek, który się zakradł do jego oczu... prawie pękło mi serce. Co się przytrafiło temu biedakowi w dzieciństwie? Ale to jasne, że nie chce o tym mówić, nie ze mną.

Z wywiadu, jaki przeprowadziłam, wiem, że jego ojciec, Joseph, zmarł, gdy Jonas miał siedemnaście lat. Ale nigdzie nie przeczytałam niczego wyjątkowego na temat przyczyn śmierci. I jak się nad tym zastanowić, to nie natknęłam się też na żadną wzmiankę o matce. Pewnie założyłam, że żyje i zasiada w zarządzie jakiegoś szpitala dziecięcego albo urzędu herbatek dla lokalnego oddziału Cór Rewolucji Amerykańskiej. Ale w oparciu o to, co właśnie ujrzałam na twarzy Jonasa, to oczywiste, że matka nie żyje i, no cóż... cokolwiek się wydarzyło, nadal bardzo go boli.

Odkładam szczoteczkę na blat obok zlewu i płuczę usta.

Słuchać ciche pukanie do drzwi.

– Sarah?

– Wejdz.

Wchodzi.

– Wykąpiesz się ze mną? – pyta.

– Z wielką chęcią.

Podchodzi do mnie jak pantera, mięśnie naprężone, ich widok budzi niepokój.

– Ale najpierw... – Sięgam do niego i ujmuję jego twarz w obie dłonie. – Chciałam to zrobić przez cały wieczór. – Całuję go delikatnie w usta. Pocałunek nie jest namiętny – raczej dodający otuchy. Pocałunek, który mówi: nieważne, jaki jesteś pokrecony, Jonasie Faradayu, i tak cię pragnę.

Zamyka oczy i wzdycha głęboko, gdy prześlizguję się ustami po jego ustach, po powiekach, brwiach i czubku perfekcyjnie wyrzeźbionego nosa. Podnoszę dłonie i przeciągam palcami po czole, kolejny raz zachwycając się doskonałą symetrią jego rysów.

Znowu wzdycha, roztapiając się pod moim dotykiem. Kiedy w końcu otwiera oczy, patrzy na mnie z takim pożądaniem, tak żarliwym, szczerym, bezbronnym, że przytulam go do siebie, jakby był dzieckiem, które zgubiło się w zatłoczonym centrum handlowym i wreszcie odnalazło.

Odwzajemnia mój gorący uścisk i wzdycha z ustami przy moich włosach.

Stoimy tak przez chwilę w milczeniu, obejmując się. Potem on się odsuwa i gdy znowu zagląda mi w twarz, na jego własnej natychmiast pojawia się wyraz zatroskania.

– Co się stało? – pyta.

Potrząsam głową. Jeśli o mnie chodzi, nie stało się nic złego. Tylko że trudno mi zignorować buzujące we mnie silne emocje.

– Nic – odpowiadam szeptem i próbuję się uśmiechnąć.

Wypuszcza mnie z objęć na krótko, żeby puścić gorącą wodę w prysznicu.

Potem wraca i odgarnia mi grzywkę z oczu.

– Jak się czujesz? – pyta.

Wzruszam ramionami.

Jeśli odpowiem, moja strategia na wieczór rozpadnie się.

Uśmiecha się półgębkiem.

– Mam na myśli fizycznie. Tam na dole.

Na dole? Takie coś z ust faceta, który wypływa z siebie słowa „cipka”, „pizda” z taką swobodą, jakby to było „cześć” albo „do widzenia”?

– O rany, miłszy, delikatniejszy Jonas – mamroczę.

Robi zażenowaną minę.

– Podoba mi się to – uspokajam go. – Jestem trochę obolała – wyznaję. – Całkiem nieźle mnie dzisiaj przyszpiliłeś, chłoptasiu.

– No tak. – Oczy mu się rozpromieniają. – Dwukrotnie.

Parskam śmiechem.

– Może doładujmy trochę akumulatory – proponuje. – Nawet ja potrzebuję złapać drugi oddech. Inaczej mnie wykończysz.

– Starzec – rzucam kpiąco.

Posyła mi krzywy uśmiech.

– Nigdzie się przecież nie spieszymy. Mamy czas.

– Więcej niż dwie do siedmiu godzin? – Uśmiecham się, żeby wiedział, że próbuję być dowcipna. Ale tak naprawdę to się denerwuję. Jeśli błędnie odczytuję sytuację, jeśli to jest tylko jednorazowa randka, jeśli traktuje mnie jak kogoś w rodzaju Kopciuszka na balu, to będę załamana. Czy czuję się, jak wszystkie kobiety po zbliżeniu z boskim Jonaszem Faradayem? Czy to, co teraz odczuwam, to właśnie ten „problem”, o którym pisał w zgłoszeniu – niemożność kobiet do odróżnienia pociągu fizycznego od romantycznej bajki? Czy uczucia, jakich doznaję, są dokładnie tym, co pchnęło go do zapisania się do Klubu?

– Tak, więcej – odpowiada czule.

Niejasna odpowiedź, to prawda, ale, hej, przyjmę i taką.

– Chcę teraz tylko dotknąć twojej skóry. Dobrze? Tylko to na razie.

Kiwam głową. Dzięki Bogu. Naprawdę, naprawdę nie chcę go zawieść – i oczywiście, udawanie orgazmu nie wchodzi w grę – ale po prostu nie sędzę, żebym miała jeszcze siłę na to całe trzepotanie motyli trzeci raz z rzędu w jeden wieczór. W końcu jestem tylko człowiekiem.

Para zaczyna wypełniać łazienkę i przysyłaniać lustra.

Jonas sięga do moich pleców i rozpina mi sukienkę. Inaczej niż w łazience w restauracji podciąga ją delikatnie i przeciąga przez głowę, zmuszając mnie do podniesienia rąk. Kiedy już jestem bez sukienki, przygląda się mojemu ciału z żarem w oczach. Jednym szybkim ruchem sięga do pleców i rozpina mi stanik, uwalniając piersi. Na ich widok jego oddech zamiera.

Przygryza dolną wargę.

Nieproszona, ściągam stringi i stoję przed nim ubrana tylko w uśmiech. Lustruje mnie od stóp do głowy, mruga powoli, jakby próbował się powstrzymać, żeby się na mnie nie rzucić.

– Jesteś niesamowita – mówi głosem ociekającym pożądaniem.

Wyciągam drżącą dłoń i rozpinam mu koszulę, potem wolno ściągam mu ją z ramion. O ja cię kręcę, jego tors to dzieło sztuki. Nie potrafię sobie wyobrazić, ile godzin musiał spędzić w siłowni, żeby tak wyrzeźbić ciało. To zapierający dech w piersi przykład pięknej męskiej sylwetki.

Przeciągam palcami po wytatuowanym na lewym przedramieniu długim napisie. Teraz, z bliska, widzę,

że jest po grecku. Ale to nie pora pytać go o to... nie czas na słowa. Zresztą i tak chyba wiem, co tam jest napisane. Przeciągam po drugim tatuażu, na prawym przedramieniu – też greka. Nie wiem, co znaczy ten drugi napis, nawet się nie domyślam, ale, jak już zauważyłam, teraz nie muszę tego wiedzieć.

Sięga w dół, ściąga spodnie i slipy i rzuca je nonszalancko przez łazienkę.

Śmieję się. Ale kiedy odwraca się z powrotem i stoi bezpośrednio przede mną, spięty, z pełną erekcją, przestaję się śmiać. Kurczę blade. Nigdy nie widziałam faceta wyglądającego bardziej spektakularnie. I patrzy na mnie, jakbym i ja była ucieleśnieniem piękna.

Głośno wypuszcza powietrze z płuc, bierze mnie za rękę i prowadzi pod parujący prysznic. Gorąca woda leje mi się na twarz, spływa po piersiach, a on stoi za mną i wodzi rękoma po moich mokrych biodrach, pośladkach, plecach, szturcha mnie naprężonym członkiem. Rozsuwam lekko nogi i szykuję się na to, że we mnie wejdzie, ale nie robi tego, odwracam się więc do niego z powrotem twarzą, gorąca woda zalewa nas strumieniami. Jego usta natychmiast zamykają się na moich, dłonie odszukują piersi.

Nie uwierzyłabym, że to możliwe po ostrym seksie, jaki już dzisiaj odbyliśmy, ale jednak znowu go pożądam. W chwili, gdy mam zamiar chwycić go za penisa i pokierować w swoje wnętrze, odsuwa się i sięga po myjkę. Nalewa na nią żel do kąpieli i zaczyna mi myć plecy, schodząc aż do pośladków.

– Najpiękniejsza dupcia świata – szepcze mi do ucha.

Wzbiera we mnie wszechogarniający ból. Znowu go pożądam. Nie obchodzi mnie, że jestem w środku otarta. I na pewno nie myślę o orgazmie. Chcę tylko znów go w sobie poczuć, być z nim tak blisko, jak to tylko możliwe. Chcę dotknąć jego erekcji, ale odsuwa moją rękę łagodnie.

Karcę go wzrokiem, a on się uśmiecha.

Nalewa żel do dłoni i wsuwa ją między moje nogi. Zapiera mi dech, czekam na więcej... chcę więcej... ale on tylko mnie myje, bardzo delikatnie, a potem zabiera dłoń. Zdejmuje głowicę prysznica i dokładnie spłukuje pianę z każdego milimetra mojej skóry. Wsuwa mi głowicę między nogi i przez chwilę pozwala, żeby ciepły silny strumień pieścił mnie tam. Jego pocałunek staje się coraz bardziej namiętny. Podnoszę nogę, znowu boleśnie pragnąc, żeby we mnie wszedł... ale odsuwa głowicę. Zakręca wodę i uśmiecha się.

O co mu chodzi, do diabła?

Wychodzi spod prysznica, zostawiając mnie w kabinie. Ocieka wodą, dyszy. Zdejmuje z wieszaka gruby biały ręcznik.

Nie tego się spodziewałam.

Owija mnie troskliwie ręcznikiem i sięga po drugi dla siebie. Bez słowa bierze mnie za rękę i pomaga wyjść z kabiny.

A niech to wszyscy diabli. On naprawdę chciał wziąć prysznic pod prysznicem.

– Powolne rozpalanie, skarbie – szepcze, czytając mi w myślach. Puszczą oko. Wyciera nas oboje i wyprowadza mnie z łazienki do sypialni.

– Proszę – pokazuje łóżko.

Przyjmuję propozycję ochoczo. Robię pokaz i kokieteryjnie wczołguję się na pościel. Wyginam plecy i wystawiam pośladki, jakbym była panterą podchodzącą ofiarę. Po chwili, uśmiechnięta od ucha do ucha, odwracam twarz, żeby na niego spojrzeć.

Ale on się nie uśmiecha. Nie, wpatruje się we mnie żarliwie, jego członek pręży się w erekcji. Spojrzeniem mógłby ciąć szkło.

O ludzie, wystarczy samo takie spojrzenie, a cała płonę. Przekręcam się na plecy i rozkładam na łóżku, zapraszając go, by do mnie dołączył.

Ale nie kładzie się.

Zerkam na niego.

Przewierca mnie wzrokiem.

Przenoszę ramiona nad głowę i szeroko rozsuwam nogi.

– Jestem cała do twojej dyspozycji – mówię.

Penis mu pulsuje, ale stoi tam dalej jak głaz, nie odrywając ode mnie oczu.

Na co on czeka?

Bierze głęboki oddech i zdecydowanym krokiem przechodzi przez pokój do laptopa. Rozbrzmiewa *Roztopię się z tobą*, Modern English, jedna z moich ulubionych piosenek wszechczasów. Zaciska mi się serce. Nigdy bym się nie spodziewała, że puści dla mnie właśnie ten utwór. Bardziej pasuje mi do kogoś, kto lubi Nine Inch Nails.

Jonas jest drapieżnikiem z dżungli. Ja jego łupem. Wczołguje się na mnie wolno, a w tym samym czasie leader Modern English zawodzi o nas roztapiających się w swoich objęciach. W mgnieniu oka jego majestatyczne ciało zawisa nade mną, mięśnie prężą się i pęcznieją, gdy układa przedramiona po obu stronach mojej głowy.

Piosenka mnie uwodzi, wiruje dokoła, zniewala.

– Uwielbiam ten kawałek – mamrocze mu w usta.

– Najlepszy z najlepszych – zgadza się, całując mnie leniwie.

Myślałam, że będzie mnie pieprzył jak bestia, a on chce przerwać ten idealny moment i się ze mną stapiać? Serce pęka mi ze wzruszenia.

Jonas znowu mnie całuje. Tym razem żarliwiej. I pieści każdy milimetr mojego ciała.

Jęczy z rozkoszy.

– Sarah – mamrocze, nie przerywając pocałunku. – Och, mój Boże.

Zamykam oczy. Słowa piosenki, jego silne ciało napierające na mnie, dłonie na mojej skórze, miękkie wargi czule mnie całujące. To wszystko wiruje dokoła mnie, nade mną i we mnie, przenosząc do innego wymiaru. To może być najbardziej podniosła chwila w całym moim życiu.

– Jesteś doskonała – mówi.

Nie mogę odpowiedzieć. Płynę, wiruję, frunę.

Jego dłonie odnajdują wilgoć pomiędzy moimi udami. Pieści mnie delikatnie, prawie nie dotykając. Z ust wydiera mi się cichy jęk.

Podążam za jego śladem i dotykam go wolno, lekko.

Wypuszcza długi drżący oddech.

Nagle zaczynam się denerwować. To jest to. Będzie próbował doprowadzić mnie do orgazmu, ale ja wiem, że to się teraz nie stanie. Jestem obolała i wykończona. Nigdy w życiu tyle się nie kochałam. Nawet jeśli osiągnięcie orgazmu przeze mnie byłoby możliwe, co wcale nie jest pewne, to co, jeśli moje ciało nie ma na to teraz ochoty? Nigdy nie wiem, czy ponoszę porażkę, bo ono jest zmęczone, czy po prostu, bo nie jestem do tego zdolna, kropka.

– Po prostu rozluźnij się – zachęca mnie czule. – Nie staramy się tu niczego osiągnąć. Tylko się pieścimy, to wszystko.

Całuje mnie, a ja zaplatam mu nogi na biodrach.

– Do niczego nie musimy się zmuszać – szepcze, skubiąc mi ucho ustami. – Tylko się pieścimy.

Nie chcę, żeby ta magiczna noc skończyła się dla niego zawodem. Ja też nie chcę się zawieść. Chcę być demonem energii, tak jak on o mnie myśli. Ale jeszcze nigdy nie kochałam się jednej nocy trzy razy pod rząd i tracę parę. Jeśli zacznie się teraz ze mną kochać, a to jest to, co lubi robić bardziej niż cokolwiek innego, i absolutnie nic się nie wydarzy, to co wtedy? Inni moi partnerzy też próbowali i też ponieśli porażkę. Co jeśli ja po prostu nie mogę? Chcę popróbować tej macanki jak w ogólniaku, ale wolałabym mieć więcej siły.

Gładzi mnie po policzku.

– Będziemy dzisiaj udawali, że jesteśmy nastolatkami. Będziemy się tylko pieścili.

Jakby czytał mi w myślach. Kiwam głową i zamykam oczy.

Piosenka czaruje.

Czuję jego usta na szyi, potem na piersiach. Liże mi brodawki, nie mogę się powstrzymać i z rozkoszy wyginam się w łuk. Jego język jest ciepły, porusza się pewnie. Pieści mi biodra, brzuch, pośladki (które z entuzjazmem ściska). Potem palce powracają do coraz większej wilgoci między moimi nogami.

Znowu wrywa mi się cichy jęk. I nagle ogarnia mnie silne pragnienie, żeby wsunął we mnie palce – nieważne, że jestem obolała po naszej wcześniejszej eskapadzie. Wiercę się od przyjemności, wypycham do niego biodra. Sięgam w dół i delikatnie go masuję.

Jęczy.

W głowie mi wiruje. Podoba mi się, że czuję w dłoni jego erekcję. Lubię czuć na sobie jego ciepłe twarde mięśnie. Lubię, gdy obsypuje mnie całą pocałunkami, lubię jego palce. Och Boże, te palce właśnie znalazły dokładnie to miejsce, którego pobudzenie doprowadza mnie do szaleństwa. Jęczę. O rany boskie, jest w tym tak cholernie dobry.

Przejeżdża mi językiem po piersiach, sutkach, a potem schodzi do brzucha. Omiata pępek i kieruje się do wewnętrznej strony ud. Wyprężam się do tego ciepłego języka, chcę, żeby przesunął się w lewo i znalazł moje epicentrum, ale język, drocząc się ze mną, pozostaje na udzie. Cała wibruję od pożądania, na chwilę zapominam o dręczących mnie wątpliwościach.

Jonas głośno wypuszcza powietrze. Twarz trzyma między moimi udami. Czuję na nich jego ciepły oddech. Rozsuwam nogi szerzej, pragnę go. Nieruchomieje z ustami zawieszonymi tuż nade mną. O mój Boże, cała dla niego tętnię. Nieważne, co mówiłam o powstrzymywaniu się. Przesuwam się, żeby się lepiej ułożyć, by miał łatwiejszy dostęp. Unoszę do niego biodra.

Drzę.

On głośno wzdycha.

Otwieram oczy i spoglądam na niego.

Jego twarz tkwi między moimi nogami. Oczy mu płoną. Znowu ostro wypuszcza powietrze, a ja czuję łaskotanie.

Oblizuje sobie wargi. Wygląda teraz jak wielki kot.

– Nie ma pośpiechu. – Widać, że mówi to bardziej do siebie niż do mnie. Dotyka mojej łechtaczki i zaczyna ją pieścić, ale bardzo delikatnie.

Wstrząsa mną dreszcz. Tylko że ja już nie chcę jego palców. Chcę języka.

Oblizuje usta.

– Muszę cię posmakować, tylko raz. Muszę sprawdzić, jak smakujesz, bo inaczej zejść tu zaraz na zawał.

Kiwam głową i zamykam oczy. Od chwili gdy w zgłoszeniu przeczytałam o jego rzekomo oszałamiającym talencie w posługiwaniu się językiem, wielokrotnie fantazjowałam o tym, że wypróbuję go na mnie, a jego melancholijne oczy zerkają na mnie spomiędzy moich nóg.

– Tylko jedno liźnięcie.

Znowu kiwam głową. Nie mogę nabrać oddechu. Dyszę.

Nic.

Dlaczego nie zabiera się do dzieła? Otwieram oczy i spoglądam w dół. Przygląda mi się, wyraźnie tocząc ze sobą jakąś wewnętrzną walkę.

– Tak bardzo chcę cię polizać – mówi.

– Więc zrób to. Jezu.

Wypuszcza powietrze jak bokser, który ma wyjść zaraz na ring. Robi wielki show z luzowania szczęki.

– To nie będzie to, okej? Zrobię to tak jak należy później, kiedy nie będziesz otarta i zmęczona. Teraz to tylko dla mnie – bo jestem idiotą i nie potrafię ci się oprzeć. Nie wpadaj przez to w żadne kompleksy, dobra? Nie będziesz teraz miała orgazmu, więc nie wbijaj sobie jakichś głupot do głowy, w porządku? To nie będzie to.

Kiwam głową na zgodę. Nie ma ciśnienia. Chce mnie tylko posmakować. Kapuję.



– Nie myśl.

Znowu kiwam głową, kładę się i zamykam oczy.

– Dawaj.

Bez ostrzeżenia jednym posuwistym liźnięciem przeciąga po mnie językiem, jakbym była roztopiającym się ciekącym lodem w upalny letni dzień.

Wyrywa mi się głośnie stęknięcie. O ja cię kręcę, jakie to przyjemne. Całe moje ciało podryguje gwałtownie pod wpływem szoku.

Jonas wydaje niski gardłowy pomruk, a potem penetruje mnie językiem, pożera wargami. I tak po prostu zaczynam odchodzić od zmysłów. Co tam jakieś trzepotanie motyli skrzydeł... gdzieś głęboko we mnie swoje silniki uruchomił z rykiem sam bombowiec. O ja pierdzielę.

Niespodziewanie jednak przerywa najazd na moją cipkę i nagle jego twarz jest milimetry od mojej.

– Spróbuj, jak smakujesz – mówi szeptem, przyciskając usta do moich. – Sam miód. – Wsuwa mi język do środka, a ja stoję w płomieniach. Nigdy wcześniej nie próbowałam własnych soków. Ledwie je czuć na jego języku, ale jednak. I są wspaniałe.

Piosenka znowu opowiada o tym, jak bardzo Jonas chce wszystko przerwać i zlać się ze mną w jedno.

– Chcę, żebyś we mnie wszedł – mówię zduszonym głosem.

Nie muszę prosić dwa razy. Na początku się krzywię, jestem dość obolała, ale gdy zatapia się głębiej, rozluźniam się i przyjmuję go w siebie. Eksplorując językiem wnętrze moich ust, porusza się we mnie rytmicznie, ale zarazem wolno i delikatnie.

– Tak może być? – pyta cicho łamiącym się głosem.

– Jest idealnie. – Chcę się z nim stopić, połączyć w jedno.

Cały jest ciepły i sprężysty, umięśniony tam, gdzie trzeba. Całuje mnie, pieści, porusza się we mnie. Zatracam się w tej chwili. Zatracam się w nim.

Piosenka rozpoczyna się od nowa. Musiał ją włączyć na odtwarzanie w pętli. Oplatam go nogami i przyciągam. Jego dłoń wędruje w dół i ląduje na spodzie moich ud, na pośladkach.

Jęczy i wbija się we mnie nawet jeszcze głębiej.

– Tak mi w tobie dobrze – szepcze. Otwieram oczy i widzę, że jego, błękitne, są centymetr ode mnie. Porusza się we mnie i na mnie patrzy, a wokół rozbrzmiewa muzyka.

Och Boże, wokalista ciągle powtarza, że Jonas chce się ze mną stopić.

W żyłach czuję naelektryzowanie. Serce wali mi mocno, przepełnione radością, uczuciem ulgi i zachwytem z tego, że jestem tu, w jego domu, w jego łóżku. Obejmuję go i przyciskam, chcę go w siebie wchłonąć. Poruszam biodrami w przód i w tył w zgodzie z jego ruchami, pragnąc, by nasze ciała stały się jednością.

– Sarah – szepcze.

Nie wiem, co się między nami dzieje, ale nie chcę, żeby to się kiedykolwiek skończyło.

Z cichym pojękiwaniem żarliwie pożera moje usta, językiem naśladowując posuwiste ruchy naszych połączonych ciał.

To dalekie ćmienie w środku znowu nieśmiało daje o sobie znać. Podciągam nogi jeszcze wyżej, tak wysoko, jak to tylko możliwe, żeby mógł wejść we mnie jak najgłębiej. Ale to wciąż za mało. Muszę znaleźć się na górze.

Jonas przerywa pocałunek i patrzy na mnie intensywnie.

– Chcę cię znowu posmakować – mówi ochryple.

Kręcę głową.

– Nie tym razem.

Dotyka moich włosów.

– Chcę cię posmakować.

Nie zgadzam się. Jeśli naprawdę jestem z grupy dziesięcioprocentowej, nie chcę, żeby zostało to teraz

niezaprzeczalnie udowodnione – ta magiczna noc nie może się tak zakończyć.

– Następnym razem – dyszę. – Obiecuję. – Odpycham go. – Ja na górze – mówię szeptem.

Obejmuje mnie silnymi ramionami i jednym, płynnym ruchem przekręca się na plecy. Jestem na nim, dosiadam go, ujeżdżam, odchodzę od zmysłów. Trzyma mnie mocno, wbija się we mnie, całuje, jęczy, a ja kręcę biodrami, żeby wszedł jak najdalej. Dotyka łechtaczki, a niech to szlag, dobry jest, i to jest to. Już po mnie. Nie mogę myśleć, nie mogę sformułować słowa. Tracę zmysły. Rozkosz, jaką odczuwam, jest niesamowita.

Coś we mnie wzbiera. Czuję się jak zwierzę. Odrzucam głowę w tył i wydaję głośny pomruk. Tracę kontrolę. Nie jestem sobą. Wykrzykuję jego imię. I jeszcze raz. O mój Boże, nie jestem w stanie nad sobą zapanować. Dyszę. Serce bije mi jak oszalałe. Mam zawroty głowy.

– Sarah – słyszę jego zduszony okrzyk.

Ogarniają mnie konwulsje, wstrząsa mną gwałtowny dreszcz. Tylko jeden, ale silny, niezaprzeczalny.

– Och Boże – jęczy. Czuję jak pod wpływem uwolnienia drży i pulsuje we mnie.

Potem długa przerwa. Oddech ma urywany. Jego mięśnie lśnią pode mną.

Piosenka znowu dociera do refrenu, ponownie opowiada, co Jonas do mnie czuje.

Przygryzam wargę. W dole brzucha pulsuje lekki ból. Nadal wszystko we mnie tętni. Tęsknie. Pożądliwie. Jeszcze nie skończyłam.

Jonas przyciąga mnie do swojej twarzy. Całuje powieki, nos, policzki.

– I nici z „powolnego spalania” – mamrocze.

Wybucham śmiechem.

– A niech to cholera – rzuca i wzdycha. – Dobijasz mnie. – W jego oczach pojawia się błysk, którego nie potrafię odczytać.

– O czym myślisz? – pytam.

Wzdycha.

– Że ciągle wszystko chrzanię.

– O mój Boże, nie, to była najlepsza noc...

– Nie, serio. Dałem plamę. Ale wkrótce, już niedługo, posmakuję cię, nauczę i poprowadzę do światła.

– To jest światło. Tu i teraz.

Wzdycha.

– Nie, wciąż tkwisz w jaskini. Mówiłem ci, chcę ci zapewnić ten cały „walentynkowy szajs” i „wycie wściekłych małp”, ale drugiej części jeszcze nie udało mi się zrealizować.

Jak to możliwe? To była najromantyczniejsza noc w moim życiu i też najlepszy seks. No tak, jasne, formalnie rzecz biorąc, nie szczytowałam. To znaczy, tak mi się wydaje, że nie... wiedziałabym przecież, gdybym szczytowała, no nie? Ale na pewno byłam bliżej niż kiedykolwiek. A poza tym to naprawdę nie ma znaczenia. Postanowiłam, że nie będę się przejmowała orgazmem. To, co właśnie zrobiliśmy, wystarcza mi aż nadto.

– Jeśli o mnie chodzi – mówię – właśnie odbyliśmy „małpi seks”. Nic więcej ze mnie nie wyciągniesz.

Uśmiecha się półgębkiem.

– Och, Sarah. Moja biedna mała harcerczko.

Parskam głośnym śmiechem.

Jonas potrząsa głową i wzdycha z frustracją.

Och, nie podoba mi się to westchnienie. Uśmiecham się do niego, ale jestem zaniepokojona. To jasne, że zacznę go zawodzić.

– Nie potrafię sobie wyobrazić niczego lepszego od tego, co właśnie zrobiliśmy, Jonasiu – mówię, ale już w trakcie dociera do mnie, że go nie przekonam. Ten mężczyzna chce tego, czego chce. Dlaczego, och dlaczego, tak strasznie skupia się na tym, żebym miała orgazm? Czy dzisiejsza noc nie była niesamowita? Nie wystarcza mu to? Ten wieczór był dla mnie. Gdybym miała wybierać między powtarzaniem go raz za

razem a jakimś mitycznym orgazmem, który ma mnie uwolnić w jakiś niejasny sposób, którego nie rozumiem, za każdym razem wybierałabym ten wieczór. Żaden orgazm nie pobije tego, co teraz czuję.

Wszystko się zatrzymało, a my stopiliśmy się w jedno.

Jonas całuje mnie delikatnie.

– Poczekamy, aż zobaczysz światło przed wejściem do jaskini, maleńka – śmieje się jak zły charakter z kreskówki. – Buhahaha!

Nie mogę się powstrzymać i też się śmieję. Lubię, gdy się wygłupia. Ale jestem niespokojna. Co on mi właściwie obiecuje? Zastanawiam się, jak długo będzie próbował, zanim wyrzuci ręce w górę i powie: „Zapomnij”.

– Ale teraz muszę iść się wysikać – oznajmia.

Przekręca się gwałtownie na bok, strącając mnie z siebie na pościel. Ześlizguje się z łóżka i idzie do łazienki, pogwizdując coś wesołego pod nosem. Po drodze wyłącza muzykę.

Ja zostaję w łóżku i gapię się w sufit. Nigdy nie czułam takiego kompulsywnego pociągu do innej istoty ludzkiej jak teraz. Nie chcę, żeby to się skończyło... ale, co jeśli nie uda nam się zdobyć tego jego „Świętego Graala”?

Jonas wraca i kładzie się obok mnie. Ma ze sobą laptop. Posyła mi łobuzerki uśmieszek.

– Pomyślałam sobie, że moglibyśmy zerknąć na moją pierwszą odpowiedź do agencji, Moja Zjawiskowa Pani Rekruterko. Sprawdzimy, co takiego sprawiło, że postanowiłaś do mnie napisać, błagając, żebym cię odnalazł.

Daję mu kuksańca w ramię.

– Uznałam, że jesteś narcystycznym świrem.

– Cóż, byłem nim. Jestem. Ale ty i tak mnie zapragnęłaś, no nie?

Przytakuje z zapalem.

– Zgadza się.

– W takim razie zróbmy sobie przyjemność i poczytajmy razem moje wypociny. – Klika na konto mailowe, żeby otworzyć plik. – Och, wow – rzuca z zaskoczeniem. – Klub przysłał mi maila. Cudownie.

Każdy włos na moim ciele natychmiast staje dęba.

– Szanowny panie Faraday – zaczyna, odczytując na głos tekst maila widniejący na ekranie. – Z naszych wykazów wynika, że nie wykorzystuje pan swojego członkostwa w naszym Klubie. Być może ma pan jakieś pytania lub wątpliwości? Prosimy o informację, jeśli potrzebuje pan jakiegokolwiek pomocy z naszej strony.

Żołądek mam związany w twardy supeł.

– Pieprzcie się – mamrocze Jonas w stronę ekranu, potem spogląda na mnie z uśmiechem. Ale ten natychmiast znika. – Dlaczego masz taką minę?

– Kto normalny wydałby na coś dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów i potem z tego nie korzystał? – Zaczyna mnie mdlić.

– Może ja nie jestem normalny.

– Ale oni na pewno się dziwią.

– Dostali kasę, tylko na tym im zależy.

Ciągle dręczy mnie to uczucie, a może przecucie, że naruszanie zasad klubowych nie przechodzi bezkarnie.

– Sarah, o co chodzi? Co się stało? – niepokoi się.

Wzdycham.

– Nie wiem. Nieistotne. Pewnie tylko histeryzuję.

– To znaczy?

– Cały czas mam wrażenie, że spotkają mnie jakieś konsekwencje za to, co zrobiłam.

– A co ty takiego zrobiłaś? Sarah, wiem, że jesteś popieprzona, ale chyba nie aż tak. Nie jesteś

szurniętą wariatką.

Nie odwzajemniam jego uśmiechu.

Na twarzy znowu pojawia mu się wyraz z troskaniem.

– Nie sprzeniewierzyłaś się Kościołowi. Złamałaś zasady zwykłego klubu. To spora różnica. – Nie jestem przekonana. Nadal mam przeczucie, że może być gorąco, i to raczej szybciej niż później.

– Jest coś, o czym mi nie powiedziałaś?

Kręcę głową.

Przygląda mi się podejrzliwie.

– To na pewno tylko moja paranoja. Zapomnij o całej sprawie – zbywam go. – Lepiej przeczytaj mi tę swoją zarozumiałą wiadomość. Chętnie się pośmieję.

Zamyka laptop i odstawia go na stolik nocny.

– Chodź tu – mówi i przyciąga do siebie moje nagie ciało. Kocham czuć dotyk jego ciepłej skóry. Kładę mu głowę na piersi.

– Zrobiłaś coś dobrego – mówi, głaszcząc mnie po włosach. – Coś bardzo dobrego. – Całuje mnie w czubek głowy.

Zamykam oczy, zachwycona, że mnie obejmuje.

– Nie mogłaś zrobić nic lepszego.

Niepokój, który mnie dręczył, znika. Rozluźniam się.

– Jesteś bezpieczna.

Nie mogę uwierzyć, że jego pierwsza wiadomość do mnie, no nie do mnie, tylko do jakiejś bezimiennej anonimowej „rekruterki”, która okazała się być mną, doprowadziła do tej wyjątkowej chwili.

Jego dłoń zsuwa się na dół moich pleców i tam pozostaje.

– Jesteś bezpieczna – powtarza szeptem.

– Mmm – mruczę. Odpływam.

Oddech Jonasa pod moją głową staje się rytmiczny.

Unoszę się między jawą a światem snu, słowa tamtej pierwszej wiadomości przesuwiają mi się przez głowę jak wiadomości dziennika telewizyjnego na pasku: Delikatnie i powoli... tak jak zawsze marzyłaś... tak jak żaden mężczyzna jeszcze nigdy... podporządkować się totalnie i całkowicie. Nigdy, przenigdy nie pomyślałabym, że będę leżała tutaj z autorem tych słów, wtulona w jego nagie ciało, nasłuchując bicia jego serca.

Jonas zasnął. Jego klatka piersiowa wolno unosi się i opada.

Ja też zaczynam tak oddychać.

Czuję, że tracę świadomość.

Spadam, spadam, spadam. Pochłania mnie ciemność. Ale zanim w pełni jej się oddam, zanim osunę się w stan błógiego niebytu, przemyka mi ostatnia myśl, a raczej wyznanie, dokładnie to, o którym Jonas, przewidując rozwój wydarzeń, pisał w swojej pierwszej aroganckiej wiadomości: Może i jesteś zarozumiałym-złamasem-dupkiem-i-sukinsynem, ale jesteś też mężczyzną, o jakim marzę.

# Rozdział 3

## Jonas

**M**mm – mruczy Sarah.

Jest rano. W okna sypialni bębni głośno deszcz. Leżymy w moim łóżku razem, nadzy, zaplątani w kołdrę. Nie wiem kiedy wczoraj zasnęliśmy. Ostatnie, co pamiętam, to że głaskałem ją po włosach, kiedy oparła mi głowę na ramieniu.

Nie śpię już od kilku minut, wsłuchuję się w odgłos deszczu i rozkoszuję dotykiem jej nagiej skóry. Dostałem wzvodu od razu, kiedy się obudziłem, ale dałem jej spać. Niestety dzisiejszego poranka mam ograniczony czas. Za godzinę mam coś bardzo ważnego w firmie, a ponieważ postanowiłem, że układ „Jonas ma orgazm, ale Sarah nie” jest dalej niedopuszczalny, seks po prostu tego poranka się nie wydarzy. Nie będzie więcej żadnych szybkich numerków... żadnych wygłupów. Od teraz będę postępował tak jak należy. Leżąc obok niej, czując jej gładkie ciało przy sobie, wsłuchując się w jej oddech, podjąłem decyzję, że nie będę się z nią kochał, dopóki nie będę pewny, że sytuacja dojrzała na tyle, że będzie miała orgazm. Cokolwiek by się działo. Ona nie wie, co przegapia, ale ja to wiem. I nienawidzę tego, że nieustannie zostawiam ją stojącą przy przysłowiowym krawężniku, a sam odjeżdżam ferrari. To nieuczciwe wobec niej.

Sądziłem, że to ja będę wszystkim dyrygował, ale okazało się, że wyszło inaczej. A niech to, jak ona lubi się rządzić. Dopiero wczoraj w pełni załapałem ten aspekt jej osobowości. Gdyby pozwoliła mi kontrolować sytuację tak jak chciałem, leżałbym teraz tutaj i na okrągło odtwarzał w pamięci jej pierwszy orgazm. I zafundowałbym jej poranną powtórkę. Ale nie. Ona musi dowodzić, a ja musiałem być dupkiem i jej uległem, i teraz ma już nawalone w głowie. Jak nic nabawiła się „tremy scenicznej”. A wszystko przez to, że nie potrafię jej się oprzeć. Muszę bardzo uważać przy kolejnych krokach. Jesteśmy w punkcie krytycznym i nie chcę tego schrzanić.

Jest tak blisko. O mój Boże. Wczoraj czułem, jak jej cipka zaciska się, osuwa na mnie i drży wokół mojego fiuta. Tak było. Trwało to krótko, to był tylko jeden raz, ale za to gorący. Gdyby tylko mnie posłuchała, zrobiła tak, jak jej mówiłem, już by była po orgazmie, jestem tego pewien, ale nie, mój szalony mały wierzgający mustang musi się sprzeciwiać za każdym razem. A ja ulegam jej woli, bo, mówiąc szczerze, jestem jej niewolnikiem. A niech to diabli. Naprawdę tak jest. A najgorsze, że na rozum to ja doskonale wiem, na jakie guziki naciska, wiem, jaki mechanizm obronny wchodzi w grę, a mimo to nadal nie potrafię jej się oprzeć. Jest tak, jakbym grał w szachy z dziewczyną, która mówi mi otwarcie: „Ja ruszam się tutaj, więc ty rusz się tu, żebyś mogła ci zbić króla. A ja mimo wszystko dalej jestem takim durniem, że przesuwam się dokładnie tam, gdzie mi każe. Jestem kretyńcem czy po prostu zwariowałem? Chyba to drugie. Mam wrażenie, że pogrążam się w pewnego rodzaju obłądnie, przez nią, w pochłaniające wszystko szaleństwo. I to jest po prostu, kurwa, niesamowite.

Znowu ziewa i wyciąga ręce nad głowę.

Kurczę. Gdybym tylko wiedział, że jest tak blisko orgazmu, prawdopodobnie zrobiłbym wczoraj inaczej. Lizałbym ją delikatnie, powoli, tak jak planowałem od samego początku. Po prostu wczoraj przekombinowałem, to wszystko. Tak się martwiłem, że jest zmęczona i nie chciałem, żeby nabawiła się

kompleksów, gdyby się nie udało. Ale popełniłem błąd. Gdybym tylko zrobił to jak należy, gdybym pozwolił jej dojrzeć, poczekał, żeby zapragnęła spełnienia, jakby od tego zależało jej życie, udałoby się nam wczoraj. Jest gotowa, w każdej chwili mogła wybuchnąć jak dynamit. Ale nie, musiałem od razu przejść do rzeczy, wpakowałem się w nią i zerznąłem tak jak tego chciała. Dlaczego nie potrafię się przy niej kontrolować?

Opiera się na łokciu i patrzy na mnie; ciemne włosy opadają jej na nagie ramiona.

– Dzień dobry, Jonasie – mówi wesoło z udawaną uprzejmością, jakbyśmy się dopiero poznali.

– Witam cię, Sarah – odpowiadam, naśladowując jej ton. – Bardzo mi miło widzieć cię z rana. Wyglądasz pięknie.

Wzdycha głośno.

– Rzeczywiście miło – uśmiecha się.

Oglądam się na zegar i stękam. Cholera. Muszę iść do firmy. Jeśli wszystko potoczy się zgodnie z planem, dzisiejsze zebranie może zmienić całe moje życie.

Podąża za moim spojrzeniem i zaciska usta.

– Za godzinę mam zajęcia – oznajmia, przeciągając wierzchem dłoni po moim policzku. – Ale mogę chyba jedno opuścić, jeśli tylko tragicznie przystojny facet o smutnym spojrzeniu i napakowanych bicepsach jest w nastroju i zechce pokazać mi „szczyt ludzkich możliwości”. Posyła mi zalotny uśmiech i nachyla się do pocałunku.

Krzywię się. O rany. To najgorsze zgranie w czasie w historii świata.

– Mam ważne spotkanie – mówię... i w chwili gdy ostatnie słowo opuszcza moje usta, wiem, że zabrzmiało to jak splawienie.

Próbuje nałożyć na twarz maskę nonszalancji, ale nie jest w stanie ukryć ognistego rumieńca. Odsuwa się, chociaż wciąż się uśmiecha.

– Och, no tak, ja też powinnam jednak pójść na te zajęcia. – Policzki jej płoną. Zaczyna się wyplątywać z moich objęć. Widać, że chce wstać i wynieść się stąd tak szybko, jak to tylko możliwe.

Łapię ją za ramię.

– Sarah, nie.

Odwraca się i przywołuje na twarz wesoły uśmiech.

– Nie, nie, w porządku.

– Posłuchaj mnie. Chodzi o dużą sprawę z Joshem i tymi gośćmi, którzy przyjeżdżają z Kolorado. Możliwe że wpłynie na całe moje życie. Gdyby to było coś innego, cokolwiek, przysięgam, wymazałbym z kalendarza wszystko na cały dzień, cały tydzień, i każdą sekundę spędziłbym z tobą, tutaj, w tym łóżku, dokonując eksploracji twojego ciała milimetr po milimetrze, dniami i nocami. Niczego bardziej nie pragnę niż być z tobą.

Dotąd nigdy nie powiedziałem czegoś choćby nawet odrobinę zbliżonego do tych słów żadnej kobiecie, nigdy. Nigdy nawet w najmniejszym stopniu nie czułem potrzeby powiedzenia czegoś takiego, ale teraz to mówię i wiem, że to stuprocentowa prawda.

Widać, że się rozluźniła.

– Och – wzdycha cicho.

Jezu, naprawdę myślała, że chcę się jej pozbyć, wykopać z łóżka? Po takiej wspaniałej nocy? Wzdycham. Jasne, że tak myślała. Przez to głupie zgłoszenie. Żałuję teraz, że je czytała. Wolałbym, żeby to się nigdy nie stało.

Uśmiech, jaki rozlewa się na jej twarzy, tym razem jest szczery. Niekontrolowany.

– No właśnie, och. – Odgarniam jej włosy na plecy. – Przecież ciągle ci powtarzam – nie mogę się tobą nasycić. I błagam uwierz mi wreszcie. Mówię prawdę, zawsze będę ci ją mówił. Dobrą, złą, brzydką, ale prawdę.

Przygryza wargę.

– Ja też nie mogę się tobą nasycić. – Przewraca oczami. – Najwyraźniej.

Czuję, że fiut mi twardnieje. No cóż, może jednak mam trochę czasu?

Znowu zerkam na zegar. Cholera. Nie. Nie mam. Już i tak jestem spóźniony. Jasne, Josh może rozpocząć zebranie beze mnie, ale zdecydowanie muszę tam dotrzeć. Josh jest Panem Osobowością, Panem Zamykającym Transakcję, ale to ja znam się na cyferkach. Josh mnie potrzebuje. A ten kontrakt to interes mojego życia.

Wzdycham, przygnębiony sytuacją. Sarah jest dojrzała jak letnia brzoskwinia. Jeśli dorwałbym się teraz do jej słodkiej łechtaczki, wylizał ją wolno, ale porządnie, eksploduje jak dynamit. Ale nie mam na to czasu, więc nie powinienem w ogóle się za to zabierać.

– Chcę to zrobić, gdy będziemy mieli czas. Nie musimy się spieszyć. Nic nas nie ciśnie.

Kiwa głową.

– Wiem.

Uśmiecham się.

– Mam dla ciebie propozycję.

– Tak, jaką?

– No to bardziej decyzja.

– Och? Coś postanowiłeś, tak?

– Tak.

– Oświeć mnie więc, mój panie i władco. Co takiego postanowiłeś?

– Odtąd nie będę miał orgazmów, jeśli i ty ich nie będziesz miała.

Odsuwa się gwałtownie.

– Co takiego?

– Nie dojdę, jeśli ty nie dojdiesz. Od tej chwili chodzi tylko o ciebie. Kropka.

– Jonasie, nie. Nie możesz tego zrobić. Kto wie, ile mi to zajmie? Nie, twój pomysł jest zwyczajnie głupi.

– Nie będziemy musieli czekać długo, zaufaj mi. Następnym razem, jeśli zrobię to jak należy, kiedy będziesz zrelaksowana i nie będziemy skrępowani czasem, zatańczysz w pięknym słońcu przed wejściem do jaskini. Gwarantuję ci to.

– A co, jeśli nie? Co będzie, jeśli to się nie stanie nigdy?

– Bzdura. Jesteś tuż tuż. – Muszę tylko sprawić, żebyś nie tkwiła w głowie. Muszę działać powoli i pamiętać o „preludium”. – Jesteśmy zespołem. Ty nie masz orgazmów, to ja też nie. Ja tu idę na całość, maleńka, to nie zabawa.

Krzywi się.

– No cóż, kurczę, to spora presja.

Wzdycham z lekkim poirytowaniem.

– Nie, cały plan polega właśnie na tym, że ma nie być żadnej presji. – Stękam. – Jakim cudem to, że chcę się w pełni zaangażować, sprawia, że odczuwasz większą presję?

Wzrusza ramionami.

– Teraz będę się przejmowała także twoją satysfakcją, nie tylko swoją.

– Jezu, kobieto. Jesteś niemożliwa. Po prostu zaufaj mi. Gdybyś pozwoliła mi robić tak jak chcę, zrozumiałabyś, że jestem specem w tych sprawach. Wręcz pieprzonym mistrzem. Arystoteles powiedział: „Jesteśmy tym, co w swoim życiu powtarzamy. Doskonałość zatem nie jest jednorazowym aktem, lecz nawykiem”. W tej konkretnej dziedzinie osiągnąłem mistrzostwo – tylko daj mi robić to, w czym jestem doskonały.

Śmieje się.

– Ciekawe, jak czułby się Arystoteles, gdyby wiedział, że cytujesz go akurat w takim celu.

Wzruszam ramionami.

– Doskonałość w robieniu czegoś, cokolwiek to jest, to ciągle doskonałość. Jestem tym, co powtarzam. Ty też. – Patrzę na nią wymownie, daję jej czas, żeby załapała. – Powtarzałaś pewne zachowanie, które ciągle skutkowało tymi samymi frustrującymi rezultatami. A ja pozwalałam ci kontynuować ten nawyk, bo mam słabą wolę, jestem dupkiem, który nie może ci się oprzeć, tak jak ćpun nie może odmówić sobie działki. Ale podjąłem decyzję. Rzucam ćpanie. Zmienię twoje nawyki seksualne, żebyś mogła osiągnąć inne rezultaty. – Wykonuję zamaszysty ruch ręką. – Od tej chwili, maleńka, w kwestii seksu możesz ode mnie oczekiwać wyłącznie samej doskonałości, „seksmistrzostwa”.

Nie może się powstrzymać i wybucha śmiechem.

– Tak więc, oto co zrobimy, i nie przyjmuję żadnych sprzeciwów, koniec z twoim rządzeniem się.

Przygryza dolną wargę, próbując pohamować śmiech.

– Oznajmiam niniejszym, Sarah Cruz, że zostało ci przyznane członkostwo w Klubie Jonasa Faradaya, jeśli cię to interesuje, to dodam, że jesteś jego jedynym członkiem, a misją klubu jest całkiem i po prostu zapewnienie satysfakcji seksualnej niejakej pannie Sarah Cruz, mojej bogini i muzie.

Z miejsca robi się podekscytowana. O rany. Cóż za błyskawiczna przemiana. Widać, że pomysł naprawdę jej się spodobał.

Tworzę plan na poczekaniu, w trakcie mówienia, ale ja też jestem podekscytowany, zwłaszcza widząc jej minę. O ludzie, ta mina poruszyłaby każdego. Tak, wszystko układa mi się teraz w spójną całość.

– Wypełnisz formularz zgłoszeniowy. Opiszysz w nim wszystkie swoje preferencje seksualne, a ja je zrealizuję.

– Wow – rzuca, policzki jej płoną. – Jak długo ma trwać to członkostwo? – W chwili, gdy kończy pytanie, w jej oczach pojawia się niepokój. Wygląda, jakby chciała cofnąć to, co powiedziała.

O cholera. Czuję nagłe i silne uderzenie serca. O tym nie pomyślałem. Na jak długo chcę się zaangażować w ten nieduży projekt?

Z każdą sekundą mojego zastanawiania się nad odpowiedzią wyraz jej twarzy staje się coraz bardziej niepewny. Cholera. Ale się wkopałem. Do czego ja się właściwie chcę tu zobowiązać? Cholera, cholera. Nie wiem. Ja pierdołę. Po kiego diabła z tym wylazłem, zamiast to najpierw przemyśleć? Moja odpowiedź będzie miała poważne konsekwencje. Muszę uważać, żeby czegoś nie schrzanić. Muszę się chwilę zastanowić.

Jej pierś unosi się gwałtownie i opada. Moja też.

O rany, te jej piersi są niesamowite. Mam ochotę je polizać. Nie, nie wolno mi się rozpraszać. Znowu zerkam na zegar. Cholera. Jestem spóźniony na najważniejsze spotkanie w swoim życiu. Mrowi mnie całe ciało, nie tylko przyrodzenie. Na coś tu wpadłem, ale nie chcę tego spieprzyć. Zaproponowałem jej członkostwo w swoim „klubie” pod wpływem impulsu, bez podtekstów. Ale niech mnie wszyscy diabli, ta jej mina. Nie miałem pojęcia, że zareaguje aż tak. I teraz chcę się wywiązać z tego, na co ona liczy, cokolwiek to jest.

– Chodź, pogadamy o tym pod prysznicem – proponuję.

Kiwa głową, znowu przygryzając wargę. Kurczę, jest urocza.

Gorąca woda leje się na nas. Sarah sądzi pewnie, że przenieśliśmy się z całą zabawą pod prysznic, ale nie taki jest plan. Koniec z szybkimi ostrymi numerkami dla Mojej Wspaniałej Sarah, nie pozwolę jej więcej szaleć, bo ona w ten sposób tylko maskuje swoje obawy. Sprowadziłem ją tu z trzech powodów. Po pierwsze, mam spotkanie i jestem spóźniony, i naprawdę muszę się wykąpać i stąd ewakuować. Po drugie, potrzebowałam po prostu zmienić scenerię, chwilę się zastanowić. I po trzecie, najważniejsze, chciałem jej znowu dotknąć. Nikt by się chyba nie dziwił, że po gapieniu się przez całą rozmowę na jej cycki, mam ochotę sprawdzić towar organoleptycznie.

Jej skóra jest śliska od wody. Namydlam ją, zsuwam ręce do tyłka, skubię zębami w kark, całuję w



usta, szturcham erekcją. To tortura, że nie przechodzę dalej, ale za to jaka cudowna. To że będę działał powoli, że nie pozwolę jej robić tego, do czego jest przyzwyczajona, może jej się nie spodobać, ale tego potrzebuje. Wiem to na pewno. Tak twierdzi Arystoteles i to samo mówię ja, Jonas Faraday. I kto wie, może mnie też przyda się takie spowolnienie. Może właśnie tego mi trzeba. Całuję ją, ciepła woda przyjemnie nas opływa, ale czuję, że Sarah jest spięta, chce już usłyszeć moją odpowiedź na pytanie, jak długo będzie trwało jej członkostwo w klubie.

– Miesiąc – szepczę jej do ucha i natychmiast tego żałuję. Za krótko. To obraźliwe. Wpadnie w popłoch i zacznie się sabotować, i odtrąci mnie.

Ale nie, zupełnie nie. Jej twarz rozpromienia się radością. A niech mnie, jest zachwycona. Co ona sobie myślała, że co ja odpowiem?

Piszczy. Naprawdę piszczy. Kiwa z zapałem głową i rzuca się na mnie. Całuje mnie, jakby się paliło. Mocno do mnie przywiera. Och mój Boże, atakuje mnie.

– Miesiąc – mamrocze.

– Miesiąc – przytakuję. – I wszystko robimy po mojemu – dodaję.

Śmieje mi się przy uchu.

– Oczywiście – zgadza się. – Ale co powiesz na jeszcze ostatni radosny numerek, zanim mój miesiąc oficjalnie się rozpocznie, gdy będziesz rozpatrywał moje zgłoszenie. – Łapie mnie za przyrodzenie i klęka, uśmiechając się jak kot z Cheshire z *Alicji z Krainy Czarów*.

Nie pyta o pozwolenie. Nie waha się. Bierze mnie w usta i natychmiast zaczyna pożerać.

Nogi się pode mną uginają. O ja cię....

Wiem, że powiedziałem, że będziemy robili wszystko po mojemu. Ale... och, taak, wow... ale mi dobrze. Ot tak, po prostu dobrze. Och, niezła jest. Jest... och... potrafi to robić. Wiem, że powiedziałem... Jest naprawdę, naprawdę zręczna. Odrzucam głowę w tył. Gorąca woda spływa po mnie, spada kaskadą na pierś, aż skóra robi mi się czerwona i gorąca. Jej usta są śliskie i wilgotne, język nienasycony. Woda jest taka gorąca i mokra, i tyle jej w ustach Sarah...

Nie mogę pozwolić, żeby dalej...

Ma talent. Naprawdę jest uzdolniona. O cholera. I nieugięta. O kurwa.

Jęczy.

Miękną mi kolana.

Spoglądam w dół. Jedną ręką trzymam mnie, drugą ma między własnymi nogami.

Na ten widok przechodzi mnie dreszcz.

Sięgam do niej i chwytam za mokre włosy, przyciskam jej twarz do siebie. Znowu jęczy.

Kurwa. Zaraz oszaleję. Jestem na skraju. Tak. Tak. Tak.

Nie, zaraz, nie, nie, nie. Nie chcę jeszcze dochodzić. Nie ma o tym mowy, kurwa. Nie ma mowy, żebym ją dzisiaj stąd tak wypuścił. Tak się nie stanie, do diabła.

Pociągam ją za włosy, delikatnie, i odsuwam od siebie. Spogląda na mnie, oblizuje wargi. Wygląda, jakby była pijana.

– Jeszcze nie skończyłam – mówi. – Podoba mi się to. – Znowu oblizuje usta. Oczy jej płoną. – Podoba mi się, Jonasie. – Dłoń wciąż ma między nogami, pieści się.

– Chcę cię przez chwilę posmakować.

Dyszy. Nie muszę prosić powtórnie. Podnosi się i opiera o marmurową ścianę łazienki, pieści sobie brodawki. W ramach zaproszenia stawia jedną nogę na brzegu brodzika.

Pochyliłam się i zaczynam ją lizać, gorąca woda zalewa mi głowę i spływa po plecach. O kurwa, smakuje cudownie.

Słyszę jej głośne stęknienie, wwierca mi się cipką w język.

– O tak – dyszy, głos ma przytłumiony wodą. – Och, Boże, Jonas, tak. – Wczepia mi palce we włosy. Wychyla do mnie miednicę. Przyciąga do siebie twarz. Odnajduję językiem jej słodki guziczek. Jęczy. –

O mój Boże. – Liżę ją trochę mocniej. Drży gwałtownie. Jęczy i wiję się jak szalona.

Kurwa. Muszę się zdecydować. Jeśli będę ją pobudzał dalej, a ona nie dojdzie, zacznę panikować, uzna, że jest beznadziejna. Lepiej to przerwać, niech będzie niezaspokojona. Na rozchodniaka sę łechtaczkę. W reakcji głośno krzyczy, wstrząsa nią mocny dreszcz.

Podnoszę się i natychmiast się w nią wbijam. Obłapuje mnie, chwyta za barki, podnosi nogę, żebym mógł w nią łatwiej wejść. Łapię ją za pośladki i wsuwam się głęboko, gorąca woda jest wszędzie.

Ona liże mnie po ramieniu, uderza we mnie całym ciałem. Nagle gryzie w szyję, a mnie przechodzi prąd.

Sięgam w dół i zaczynam ją pieścić, nie przestając się w niej poruszać. Krzyczy na cały głos.

Jestem w szoku. Co tu się dzieje, do diabła?

Jest rozpalona, szalona. Jej ruchy są gwałtowne, dzikie. Jest kompletnie pozbawiona hamulców. Och Boże, tak mi w niej dobrze. Pasujemy do siebie, jakbyśmy byli dla siebie stworzeni.

– To ostatni raz – dyszę. – A potem będziesz liczyła się tylko ty.

– Przestań już o tym gadać, do cholery, tylko mnie pieprz – warczy.

Podskakuje i mnie dosiada. Trzymam ją na rękach i wbijam się w nią. Jeszcze nigdy nie byłem tak głęboko w żadnej kobiecie. O Boże, jak mi dobrze. Ujeżdża mnie, w górę, w dół, w górę, w dół, jej piersi podskakują w rytm, od wody jest cała śliska. Przyciskam ją do ściany, rżnę, jakby od tego zależało moje życie.

Wykrzykuje moje imię.

O rany, jestem w niebie.

Jest jak spuszczone ze smyczy. Odrzuca głowę do tyłu i uderza nią w ścianę. Podskakuje na mnie gorączkowo, ślizga się na moim fiucie, w moich ramionach. Jest jak w transie.

– Tak – stęka. – Nie przestawaj.

Zaczynam się w nią wbijać.

– Tak! – krzyczy. Jej ciało szaleje.

Jestem w tej chwili tak podniecony, że nie mogę... nie mogę... O Jezu, nie mogę nawet... Wbijam się w nią i wbijam, trzymam ją całą w ramionach, a ona szarpie się na mnie; jej mokra, śliska skóra ociera się o moją. Tonę w gorącej wodzie, w delirium, w niej. Szykuje się do wycia. Czuję to. O mój Boże, jesteśmy blisko. Nie widziałem jej jeszcze takiej. Odrzuca głowę i jęczy głośno. Znowu wykrzykuje moje imię, na całe gardło.

Stoję na skraju. Dłużej nie mogę się powstrzymać. Jestem tylko człowiekiem.

Całe jej ciało drży od środka, raz, ale potem przestaje. Nie mogę czekać. Nigdy w całym swoim życiu nie byłem tak podniecony. O kurwa, nie mogę powstrzymać orgazmu. Już po mnie.

Wykrzykuje moje imię, gwałtownie się rzucając.

Ale ja już jestem po.

Ona jęczy, jest zawiedziona.

Kurwa, kurwa, kurwa!

Była tak blisko. Była na skraju. A ja nie dałem rady, nie zczekałem. Po prostu nie mogłem. Chcę dotknąć jej łechtaczki, jest tak blisko, chcę ją popchnąć w przepaść, ale ona odtrąca moją dłoń.

Głos ma ostry, prawie ochrypły.

– Teraz się nie uda.

Opuszczam rękę.

– Kurwa! – Kręcę głową. – Kurwa. Przepraszam.

– Nie, nie. – Spuszcza nogi. – Widziałam światełko w oddali, Jonasie. – Oczy jej płoną. – Widziałam je. Ja... wyobraziłam je sobie. Biegłam ku niemu. – Mówi nieskładnie, dyszy, jest w euforii. – To się stanie. Wiem, że tak będzie. – Szybkim ruchem sięga po głowicę prysznicową i nie przestając mówić, obmywa się między nogami. – Teraz już wiem, co robię, dokładnie wiem, co lubię. Wiem, co mam sobie

wyobrażać, Jonasie. Patrzy na mnie rozpromieniona.

Wychodzimy spod prysznic, zaczynam ją wycierać. Wciąż jest rozemocjonowana, trajkocze, praktycznie bez ładu i składu.

– To się wydarzy – powtarza. Entuzjazm się z niej wylewa.

– No wiem, mówię ci to przez cały czas.

Chichocze. Paliła coś czy jak? Wygląda, jakby była na haju.

– Odwróć się – rozkazuję. Wykonuje moje polecenie, a ja jej wycieram plecy. – No dobra, wystarczy tego. Twoje członkostwo właśnie się rozpoczęło. Twoje zgłoszenie zostało rozpatrzone i przyjęte. Odwróć się z powrotem.

Robi to, policzki jej płoną.

– I podstawową zasadą klubu jest, że to ja tu rządę. Koniec z twoją apodyktycznością.

– Jaką apodyktycznością? Ja przecież nigdy nie jestem apodyktyczna.

Przechylam głowę na bok i zezuję na nią.

Śmieje się. Zarzuca mi ręce na szyję, a ja obejmuję ją w pasie.

– Boże, jeszcze nigdy tyle się nie kochałam. – Znowu wybucha śmiechem.

– Mam nadzieję – rzucam. Nawet ja nie uprawiałem tyle seksu w tak krótkim odcinku czasu. Jestem uzależniony od Sarah, jestem ćpunem, który dał się ponieść nałogowi.

Sarah zamyka oczy, coś rozpamiętuje.

– Moje ciało było, jakby... jakby wyrwało się spod kontroli.

– Porwała cię namiętność.

– Czuję się wolna, tak jakbym mogła zwyczajnie odpuścić i... nie wiem. Byłam taka podniecona i moje ciało było tak... – piszczy.

Zanoszę się śmiechem.

– Byłaś na samym skraju, tak blisko, jak tylko mogłaś. Nie mogę się już doczekać, gdy następnym razem zepchnę cię w przepaść.

– Pocałuj mnie – mówi.

– Dyktatorka.

Wywraca oczami.

Całuję ją oczywiście. Wow, coś się zmieniło. Jest jak zwierzę uwolnione z klatki.

– Kiedy mogę zrobić to znowu? – pyta. – Chcę to zrobić jeszcze raz i jeszcze, i jeszcze. Jak najszybciej. Kiedy skończysz zebranie?

– Akurat to spotkanie może się zakończyć zaraz, ale może też ciągnąć się przez wiele dni. Wszystko zależy od tego, jak się potoczą rozmowy. Ale ty i tak nie masz nic do powiedzenia. Pamiętaj, teraz ja tu rządę.

Kiwa głową.

– Powiedz to.

– Teraz ty tu rządzisz.

– Mówię serio. Mam teraz misję. Nie będę miał orgazmów, dopóki ty ich nie będziesz miała. Dlatego nie utrudniaj mi zadania. Mam do zyskania tyle samo, co ty.

Znowu kiwa głową. I śmieje się tym swoim ochryplym śmiechem.

– Powiedz mi, co cię tak podnieciło ostatnim razem? Chodziło o to, że byliśmy pod prysznicem?

Sznuruje usta, zastanawia się.

– Nie. To znaczy ten prysznic był szalenie seksy, ale to nie było to. Chodzi o „miesiąc” – wyznaje. – Kluczowa jest świadomość, że jesteśmy ty i ja przez cały miesiąc, bez względu na wszystko. – Uśmiecha się. – Presja zniknęła. Puff. Już mi nie wisi nad głową „dwie do siedmiu godzin”.

No jasne. To oczywiste. Jak mogłem się nie zorientować, jak bardzo potrzebowała tego rodzaju zabezpieczenia od samego początku? Podkładam jej dłoń pod brodę i zmuszam, żeby na mnie spojrzała.

– Mamy tyle czasu, ile tylko chcemy.

Rozpromienia się.

– Miesiąc – mówi i wtula mi się w szyję.

Chcę coś powiedzieć, ale milczę. Mam coś na czubku języka, coś, co chce się wydostać z moich ust, ale nie jestem do końca pewny, co to takiego. Ani czy jestem naprawdę gotowy to powiedzieć.

Sarah chyba nie zauważa, że coś przemilczałem. Wciąż jest rozentuzjasmowana.

– Naprawdę chcesz wytrwać cały miesiąc bez orgazmu?

– To nie zajmie nam miesiąca.

– Ale załóżmy, że by zajęło, powstrzymałbyś się?

Chwilę się zastanawiam. Nie ma takiej opcji, żebym przeżył bez ulżenia sobie cały miesiąc. Nie wiem, czy wytrwam dwa dni przy tej kobiecie. Kiedy deklarowałem, że nie będę miał bez niej orgazmów, myślałem, że czekają nas jeszcze co najwyżej dwie próby.

– No cóż, tak – odpowiadam, ale bez przekonania. Przecież to raczej niemożliwe, żeby zajęło nam to miesiąc. – Jeśli ty nie będziesz miała orgazmów, to ja też nie. – Ciężko przełykam ślinę. Nie wytrzymam cały miesiąc, nie ma takiej możliwości. – To znaczy podczas seksu – wyjaśniam. – Ale mówiąc hipotetycznie, jeśli to zajmie jakąś chwilę, chociaż tak nie będzie, to w międzyczasie raz czy dwa być może zrobię sobie dobrze.

Parska głośnym śmiechem.

– Oto Jonas, którego znam.

– Ale coś ci powiem. Jeśli będę się brandzłował, będę to robił, patrząc na zdjęcie z twoim cyckiem.

Znowu się śmieje.

– Ach, jakież to słodkie.

– To co, umawiamy się? Ty wstępujesz do mojego klubu, a ja od tej chwili rządę.

– Przez cały miesiąc?

– Tak.

Krzywi się.

– No co?

– Cały miesiąc to długo, żeby dać ci nad sobą pełną kontrolę.

Wzdycham. Znowu stwarza problemy.

– Powiedz to.

– No już dobrze, dobrze. Zgadzam się, żebyś rządził przez cały miesiąc.

– To poważna deklaracja, musisz dotrzymać słowa. A ja ci obiecuję: jeśli pozwolisz mi robić to, w czym jestem doskonały, zostawisz ognisko i zatańczysz w blasku słońca przed jaskinią.

Chichocze.

– No co znowu?

– Ty i te twoje metafory. Jesteś słodki.

Patrzę na nią z poirytowaniem.

– Przepraszam. Kontynuuj. Taniec, słońce przed jaskinią...

– Nie jestem słodki.

Patrzy na mnie z ukosa.

– A właśnie, że jesteś. Ale proszę, mów dalej. Będę tańczyła w słońcu przed jaskinią i biegała w poorgazmicznej euforii po łące z żonkili, lilii i stokrotek, otoczona radosnym brzęczeniem pszczoł. Jesteś cholernie uroczy, Jonasie Faradayu, wiesz chyba o tym?

Odpuszczam i uśmiecham się. No zgoda, moje metafory faktycznie są czasami przesadzone. Ale tak już działa mój umysł – zawsze tak działał. Nic na to nie poradzę.

Sarah uśmiecha się.

– To ile będzie mnie kosztowało wstąpienie do tego twojego klubu? – Przymruża oczy.

– Hm. – O tym nie pomyślałem. Muszę się zastanowić.

– Pogadajmy o tym przy śniadaniu – proponuję.

– Myślałam, że musisz wychodzić.

– Bo muszę. Ale jestem już tak spóźniony, że kolejne pół godziny niczego nie zmieni. Zresztą nie wyślę dziecka do szkoły bez porządnego śniadania, no nie? To przecież najważniejszy posiłek dnia. – Mrugam do niej, a ona się czerwieni.

# Rozdział 4

## Jonas

Omlet z białek będzie dobry? Szpinak, brokuły, kiełki, pieczarki?

– Ach, to dlatego wyglądasz, jak wyglądasz.

– Moje ciało jest moją świątynią. No, było, teraz jest nią twoje ciało.

Sarah posyła mi promienny uśmiech.

Wyciągam szybko składniki z lodówki i zabieram się do pracy.

Oboje jesteśmy w T-shirtach i bokserkach, ale ona w moich ciuchach wygląda o wiele lepiej niż ja.

– W porządku, no więc opłata za członkostwo – zaczynam. – Nie możesz dostać darmowego wstępu, bo nie będziesz doceniała uczestnictwa w klubie, to podstawa psychologii marketingu. Musisz coś zainwestować. Zaryzykować własną skórą.

– Jestem zdecydowanie za. – Posyła mi zalotny uśmieszek.

– Tylko żeby skóra była twoja. – Zerkam na jej udo pod stołem wystające spod moich bokserek. – No więc wyobrażam sobie coś takiego. – Staram się jak mogę zachować swobodny, żartobliwy ton. – Zrezygnujesz z pracy w Klubie i na ten miesiąc zamieszkasz u mnie.

Opada jej szczęka.

Odwracam się do jajek na patelni, serce mi wali.

– Oczywiście będziesz chodziła na zajęcia i uczyła się, a ja do pracy i na siłownię, ale poza tym będziemy żyli na luzie, powoli, tylko my dwoje w naszym małym klubie.

Milczy.

Jestem skupiony na smażeniu omletu, ale w żołądku czuję wiercenie niepokoju. Wiem, że mam czerwone policzki.

– Nasz mały klub tylko dla nas dwojga – dodaję niepewnie, przekładając omlet na drugą stronę.

Sarah nadal milczy, zerkam więc na nią.

Nie jest szczęśliwa. Nie takiej miny się spodziewałem. Myślałem, że się ucieszy.

Próbuję ratować sytuację.

– O nic nie musisz się martwić. Opłacę wszystkie twoje wydatki. Czynsz, cokolwiek będzie trzeba, żebyś mogła u mnie zostać, nie przejmując się niczym i...

Nie potrafię odczytać jej spojrzenia.

– Być moją seksniewolnicą – dodaję z nadzieją, że ją rozśmieszę. Och, to jej nie rozbawiło.

– Nie zrezygnuję z pracy – oznajmia stanowczo. – Tak, płacę za te wszystkie głupoty, no wiesz, chesne, czynsz, jedzenie. Nie jestem z tobą dla jałmużny.

Cóż, jasne, że nie. Nawet przez chwilę tak nie pomyślałem. Walnąłem straszną głupotę.

– Daj mi wyjaśnić, dobrze? Rozumiem cię doskonale, ale rzecz w tym, że tu chodzi o mnie, jestem samolubny.

Otwiera usta, żeby zaprotestować.

– Chcę przez ten cały miesiąc mieć cię tylko dla siebie. Nie chcę się tobą dzielić z nikim i z niczym. A przyrzekłaś, że zrobisz wszystko, co ci każę.

Jej mina wyraźnie mówi: ale nie to.

Zostawiam dochodzący na patelni omlet i przysiadam się do niej przy stole.

– Chcę, żebyś tu ze mną była, a nie łąziła za każdym dewiantem w Seattle, marzącym o zerznięciu królowej Anglii przebranej za oślicę.

Nie potrafi zdusić śmiechu.

– Hej, też czytałeś tamto zgłoszenie?

Uśmiecham się.

– Chcę cię tutaj – mówię cicho. Dotykam jej uda pod stołem. – Ze mną, w moim łóżku, na moje skinienie i wezwanie.

Uśmiecha się szerzej.

Rozchyłam jej uda.

– Zrób orła.

Chichocze.

– Sarah, po prostu chcę, żebyś tu była ze mną – powtarzam. – To jest twoja zapłata za członkostwo.

Wzdycha.

– Nie zrezygnuję z pracy.

– I tak ją rzucisz po skończeniu roku szkolnego, sama to mówiłaś. Co z tego, że zrobisz to trochę wcześniej niż planowałaś? Ja za wszystko zapłacę, żebyś ty tylko mogła uprawiać ze mną seks dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Odchyła się na oparcie.

– Wiem, że nie to miałaś na myśli, ale właśnie poprosiłeś mnie, żebym była Julią Roberts z *Pretty Woman* – i nie z tej części pod koniec, kiedy Richard Gere przyjeżdża po nią w białej limuzynie, z tej części na początku, kiedy ona sprzedaje się na ulicy w obcisłych wysokich botkach.

Wzdycham z frustracją.

– Sarah, nie traktuję cię jak prostytutki. – Wyrzucam ręce w górę. – Nie rozumiesz? Traktuję cię jak swoją dziewczynę.

Robi wielkie oczy.

Przez chwilę przyglądamy się sobie. Nie mogę uwierzyć, że to powiedziałem. Jestem tym nie mniej zaskoczony od niej. Zapada długa cisza. Cholera. Co ja do diabła wygaduję? Już do końca mnie popierdoliło? Ogarnia mnie nagła panika.

Sarah wstaje i siada mi na kolanach. Po sekundzie zaczyna zasypywać moją twarz pocałunkami, tak jak to robiła wczoraj wieczorem w łazience. Zamykam oczy i pozwalam, by te pocałunki przeniosły mnie w inny wymiar. Panika, która już zaczynała mnie przytłaczać, rozwiewa się.

– Jonas – mówi bez tchu, obcałowując mi policzek, ucho, brwi, powieki, nos. Drzę pod ciepłym dotykiem jej ust.

– Jesteś piękny, wiesz to, prawda? – mówi, nie przestając mnie całować. – W środku i na zewnątrz.

Serce łomocze mi tak mocno, że boję się, że strąci mi ją z kolan.

– Zostań u mnie – proszę szeptem.

– Nie mogę rzucić pracy. – Ton jej głosu mówi jasno, że ta kwestia nie podlega negocjacji.

Serce mi się zaciska. Przez chwilę byłem przekonany, że zdołam zatrzymać świat i stopić się z nią w jedno. Przez miesiąc. W moim domu. Tylko my dwoje. Nie oglądając się na nic, pieprząc wszystko i wszystkich. Ale to były tylko mrzonki. Myślenie życzeniowe. Cholera. Zresztą i tak pewnie bym to schrząnił. Prawdopodobnie, odmawiając, zrobiła nam obojgu przysługę.

– Omlet – przypominam sobie. Sarah zeskakuje z moich kolan, a ja rzucam się do kuchenki.

Omlet jest w porządku – wyszedł bardziej suchy, niż chciałem, ale da się go zjeść. Szczęśliwie zostawiłem go na małym ogniu.

Przynoszę talerze do stołu, Sarah wydaje jęk zachwyty.

– Wygląda wspaniale – chwali. – Wow. – Odkrawa kęs i zjada. – Mniam. Pycha.

Przyglądam się jej, ucieszony jej nieokiełznanym entuzjazmem. Kręci mnie nawet wtedy, gdy je.

– Co? – pyta.

– Niezły z ciebie łasuch.

– Przez ostatnie dwanaście godzin spaliłam z osiem tysięcy kalorii. Poza tym ten omlet jest doskonały.

Pełny podziw, że potrafisz gotować.

– Nic w tym zaskakującego.

– Jak to nic? Nie znam faceta, który potrafi.

– Bo to neandertalczyki.

– Mama dobrze cię wychowała, Jonasie Faradyu.

Krzywię się lekko. Odwracam wzrok. Czuję, że się czerwienię.

– Och – wzdycha i parska z frustracją, jakby była zła na siebie.

Wiem, że na mnie patrzy, ale ja nie mogę na nią spojrzeć. Muszę się ogarnąć. Wstaję. Powinienem wyjść na chwilę do innego pokoju. Czuję, że policzki mi płoną. Przyłapała mnie, gdy byłem słaby, miękki, nie pilnowałem się. Normalnie nie zareagowałbym na przelotną uwagę w ten sposób.

Ona też wstaje i mnie obejmuje. Chcę się odsunąć, ale mi nie pozwala. Jej usta lądują na moim policzku, potem na wargach. Oddaję pocałunek. Rozpływam się.

– Słodki, słodki Jonas – mamrocze mi w usta. – Taki smutny mały chłopczyk.

Kiwam głową, całując ją.

– Powiesz mi dlaczego? – Odchyła się i zagląda w twarz. – Powiesz?

Kręcę głową. Jestem przytłoczony silnymi emocjami.

Dotyka czołem mojego czoła i wzdycha.

Dlaczego nie chce u mnie zamieszkać? Chciałbym ją mieć tylko dla siebie. Byłoby jej tak dobrze, gdyby mi tylko pozwoliła. Mógłbym usunąć jej ból.

Przeciąga mi dłońią przez włosy.

– Słodki Jonas – powtarza. Ujmuję moją twarz w dłonie.

Całuje, milimetr po milimetrze.

Zamykam oczy.

Znowu zasypuje mnie pocałunkami.

Jezu, mam ochotę się rozpłakać. Dlaczego jestem przy niej taki słaby? Gdzie się podział zarozumiały skurwiel, którym jestem przy wszystkich innych? Ten arogancki jebaka zajmuje się na co dzień intratnymi inwestycjami wysokiego ryzyka i wspina się na wysokie góry bez żadnego oprzyrządowania. Jest skurwielem, nie cipą. Tego gościa lubię. Dlaczego nie potrafię być nim przy niej? Jest tak, jakby odkryła i otworzyła we mnie okno i ciągle, ilekroć nie patrzę, zagląda przez nie do mojej duszy.

Koniec z tym. Zachowuję się jak dupek. Jestem miękki. Muszę się ogarnąć. Muszę odzyskać kontrolę.

Wyswobadzam się z jej objęć. Cmokam w policzek i idę do lodówki.

– Sok pomarańczowy? – pytam, wcześniej odchrząkując.

Wolno kręci głową.

– Kawy? Cappuccino?

– Uhm, tak, cappuccino chętnie – odpowiada. Siada z powrotem na krześle. Wygląda na zmartwioną.

Wyciągam kubek i wciskam w ekspresie tryb parzenia cappuccino. Dla siebie nalewam szklanekę soku.

Potem oba napoje przynoszę do stołu.

– Dzięki – rzuca, usta ma zaciśnięte.

Zapada długa cisza.

Słabość, jaką odczuwałem jeszcze chwilę temu, już mi przeszła. Znow jestem sobą.

– W porządku, nowy pomysł. Skoro nie chcesz przystać na preferowany przeze mnie plan zapłaty – mówię – to mam inny. – Siadam na krześle.



Ona zasznurowuje usta. Patrzy na mnie tak, jakby mogła mnie przejrzeć na wylot, jakby miała rentgen w oczach, jakby moje bredzenie nawet na moment jej nie zmyliło. O tak, zapomniałem o nieomylnym detektorze bredni.

– No to słucham – rzuca ostrożnym tonem. – Na jaki to wspaniały pomysł wpadłeś, mój ty panie i władco? – Krzyżuje ręce na piersiach. To jasne, że zamierza odrzucić wszystko, co zaproponuję. Cóż, w takim razie, muszę jej złożyć taką propozycję, której nie będzie mogła odrzucić.

– Chcę, żebyś wyjechała ze mną w ten weekend.

Mometalnie wpada w euforię. Próbuje ją zdusić, ale nie może. Opuszcza ręce i nachyla się. Oczy jej płoną.

– Zrobimy sobie długi weekend, wyjedziemy w czwartek. – Tworzę plan na poczekaniu.

Och, rany, jest rozemocjonowana, w pozytywnym sensie. To dobrze.

– I zdążymy jeszcze wyrobić dla ciebie paszport, jeśli przyspieszymy procedurę.

– Pojedziemy za granicę? – Jest zachwycona. – O mój Boże! – O tak, zdecydowanie jest w siódmym niebie. Piszczy z radości. Podoba mi się to.

Kiwam głową.

– Hej, członkostwo w tym klubie nie jest darmowe.

– Dokąd pojedziemy?

– A czy to ważne?

Śmieje się.

– Nie, zupełnie nie.

Chwilę się zastanawiam. Nie mam pojęcia, dokąd pojedziemy. Chwila. Wiem doskonale, dokąd ją zabiorę. O mój Boże, jestem pieprzonym geniuszem.

– Pojedziemy do jednego z moich najbardziej ulubionych miejsc na świecie – wyjaśniam. – I więcej wiedzieć nie musisz. – Cholera, będzie idealnie. To dopiero metafora.

Znowu piszczy.

– No, no, stawia pan twarde warunki, szanowny panie biznesmenie. – Wybuchą śmiechem, tym ochryłym, który tak uwielbiam. – Mam nadzieję, że lepiej negocjujesz umowy w firmie, bo z tego, co widzę, to nie do końca rozumiesz, o co chodzi w pojęciu zapłaty.

Śmieję się. Tak, znowu jest mi dobrze. Zupełnie jakby moje bliskie załamanie sprzed minuty nigdy nie miało miejsca. Znowu jestem sobą. Kontroluję sytuację.

– I jeszcze jedno. Zanim wyjedziemy, chciałbym, żebyś wypełniła formularz zgłoszenia, do Klubu Jonasa Faradaya, w którym ze szczegółami opiszesz wszystkie swoje seksualne preferencje.

Wzdycha.

– Oko za oko – szczerzę się do niej.

– To zupełnie zbędne – oznajmia. Minę ma kamienną.

Dlaczego mnie to dziwi, że znowu robi problemy? Z tą kobietą nic nie jest łatwe. Dlaczego nigdy nie może zrobić tak, jak mówię?

– Wręcz przeciwnie – upieram się przy swoim. – Chcę wiedzieć o tobie wszystko, chcę znać każdą twoją...

– Nie, nie, mam na myśli to, że nie muszę tego pisać. – Wzrusza ramionami. – Mogę cię powiedzieć, jakie są moje preferencje już w tej chwili.

Zamierzam zaprotestować, wyjaśnić, że nie ma teraz czasu na szczegółową rozmowę, że nawet gdyby był, to wolałbym mieć to na piśmie, żebym mógł to później czytać sobie w samotności w łóżku. Ale ona mnie uprzedza i odzywa się pierwsza.

– To, co mam do powiedzenia na temat moich preferencji seksualnych, jest niedługie i całkiem urocze.

Przygryzam dolną wargę. Nie mam pojęcia, o czym mówi. Ale zdecydowanie mnie zainteresowała.

– Moje preferencje można ująć w dwóch słowach. – Zakręca na palcu pukiel włosów. Oczy jej

błyszczą. A niech to, jest taka piękna.

Słucham jej z zapartym tchem. Nawet pod groźbą śmierci nie zgadłbym, jak brzmią te dwa słowa. Na górze? Na pieska? Ostro i szybko? Chociaż formalnie rzecz biorąc to są trzy słowa. Ja rządę? Wszystko dozwolone?

Unosi oczy do sufitu, jakby nie wierzyła, że jeszcze się nie domyślam.

– Jonas Faraday – rzuca. – Moją preferencją seksualną jesteś ty, Jonasie, proste jak drut. Ty. – Posyła mi przebiegły uśmiezek. – Ty, Zaklinaczu Kobiet.

# Rozdział 5

## Sarah

Zbieram podręczniki i wrzucam do plecaka. Wokół jest rozgardiasz, studenci opuszczają salę wykładową. Właśnie skończyłam wyjątkowo interesujące zajęcia z prawa konstytucyjnego o prawach podstawowych zapisanych w Konstytucji Amerykańskiej porównywanych z prawami zapisanymi w konstytucjach poszczególnych stanów. Sprawy rozpatrywane przez Sąd Najwyższy, które omawialiśmy, były bardzo ciekawe, prowokowały do myślenia. Podobała mi się każda minuta dyskusji. A jednak, kiedy pod koniec zajęć spojrzałam na swój zeszyt, zobaczyłam, że na marginesie nabazgrałam całą serię serduszek z imieniem Jonasa w środku i nie pamiętałam, że to robiłam. Co ja jestem, czternastolatka?

– Będiesz wieczorem na kole naukowym? – pyta mnie kolega, gdy pakuję laptop.

Zastanawiam się. Nie wiem, czy Jonas do wieczora skończy swoje ważne zebranie. Wyglądało na to, że naprawdę nie wiedział, jak długo potrwa. Ale nawet jeśli, to i tak powinnam się dziś uczyć. Podczas naszej czterodniowej wycieczki przegapię sporo zajęć i stracę mnóstwo czasu, który mogłabym poświęcić nauce, a przecież dziś rano opuściłam już jedno zajęcia.

– Tak, będę – odpowiadam, chociaż boli mnie, jak to mówię. O wiele bardziej wolałabym tarzać się nago w łóżku (albo w łazience, limuzynie czy pod prysznicem) z Jonasem niż analizować precedensowe przypadki na kole. Ale muszę trzymać kurs. Jeśli uda mi się zakończyć ten rok jako jedna z dziesiątki najlepszych studentów, będę miała opłacone całe czesne za dwa kolejne lata. Jest o co powalczyć. Dlatego tak naprawdę przed naszym wyjazdem powinnam wykorzystać na naukę każdą wolną minutę, żeby mieć pewność, że gdy mnie nie będzie, nie zostanę beznadziejnie w tyle.

Zarzucam ciężki plecak na ramię i wychodzę z audytorium. Jeśli wrócę do siebie, na pewno się złamię i zaproszę Jonasa, albo, jeżeli jest nadal zajęty, walnę się na łóżko i będę słuchała tego kawałka Modern English zamiast się uczyć. Wzdycham i wykonuję ostry skręt w lewo w kierunku biblioteki.

Jonas chce mieć mnie na wyłączność przez cały miesiąc? Miesiąc! Może powinnam się martwić, co będzie za miesiąc i jeden dzień, ale nie martwię się. Mam to w nosie. Pragnę go i wezmę to, co mogę dostać. Kiedy wczoraj wieczorem przyjechała po mnie limuzyna, żeby mnie zabrać na kolację, byłam przekonana, że to będzie jednorazowa randka. Przez myśl mi nie przeszło, że spędzimy ze sobą kolejną noc, co dopiero mówić o trzeciej czy czwartej. Ale facet zabiera mnie do swojego pięknego domu i proponuje związek na wyłączność na cały pieprzony miesiąc zaledwie po jednej nocy razem? I, o mój Boże, chciał, żebym u niego zamieszkała. Użył słowa „dziewczyna”! To prawda, że o mało nie zemdlał, kiedy mu się ono wymyknęło, strasznie się gubi w tym wszystkim, ale powiedział to, i nie odwołał. Ani nie uciekł. Nie zamknął się w sobie. Wręcz przeciwnie.

I na dodatek do tego całego miesięcznego członkostwa, o rany boskie, prawie miałam orgazm. Prawie doszłam! Och, byłam tuż, tuż. Gdyby został we mnie trochę dłużej, gdyby nadal mnie ujeżdżał i pieścił tak, jak to robił... Przygryzam wargę, rozpamiętując. Ma niesamowity talent, potrafi mnie pieścić jak nikt – ja mu w tym nie dorównuję, to pewne. Skąd on tak dobrze wie, gdzie powinien dotykać, w którym momencie i jak mocno lub jak lekko? Ten chłopak ma magiczne palce. Dzięki niemu byłam dosłownie o włos od poddania się totalnej ekstazie. Czułam się jak dzikie zwierzę.

I chcę się tak poczuć znowu. Jak najszybciej.

Serce wali mi jak oszalałe od samego myślenia o nim. Cholera, muszę się uspokoić i przestawić głowę na tryb nauki.

Docieram do biblioteki. Przed wejściem do środka wyciągam jeszcze z torby telefon.

– Kat – praktycznie krzyczę, gdy Kat odbiera.

– O rany, Sarah. Nie wrzeszcz tak, bo ogłuchnę.

Śmieję się.

– Jak było wczoraj? Umieram z ciekawości, żeby się dowiedzieć.

– Lepiej niż można sobie wyobrazić.

Kat piszczy.

– Wpadłam jak śliwka w kompot, Kat. Po prostu jest już po mnie – wzdycham.

– Masz czas spotkać się na drinka po pracy?

– Nie, nie dzisiaj. Wieczorem idę na koło naukowe. Jutro?

– Jutro ja nie mogę. Mam coś w robocie. – Kat pracuje w firmie PR.

– W środę?

– Środa jest okej. Będę cała do twojej dyspozycji – potwierdza.

– To samo mówił Jonas.

– Co?

– No.

– O rany. Aż tak? – Kat jest zaszokowana.

– Nawet lepiej. Niesamowicie. Ostro. Wspaniale. Oszalamiająco. Romantycznie.

Kat popiskuje z radości.

– Zabiera mnie w czwartek na długi weekend do jakiegoś tajemniczego miejsca poza tym pieprzonym krajem.

– Co? O kurczę blade, dziewczyno. Umieram, żebyś mi o wszystkim opowiedziała.

– Też się nie mogę doczekać, aż ci opowiem. Na temat środy wyślę ci SMS-a, okej? A teraz muszę się trochę pouczyć.

Przekręcam plecak, żeby znaleźć przednią kieszonkę, do której chowam telefon, ale ten w tym momencie dzwoni. Spoglądam na wyświetlacz. Jonas. Serce chce mi wyskoczyć z piersi.

– Hej – witam się radośnie.

– Hej – odpowiada. Och, ten jego głos. Pamiętam, jak mi nim szeptał do ucha, gdy się kochaliśmy.

– Co porabiasz? – pytam.

– Myślę o tobie. Myślę o tym, co chciałabym z tobą teraz zrobić.

Mam nadzieję, że słyszy przez telefon, że się uśmiecham.

– Gdzie teraz jesteś?

– Na uczelni. Właśnie wyszłam z zajęć z prawa konstytucyjnego i idę do biblioteki się uczyć. A ty?

– Wciąż na zebraniu. Przypuszczam, że potrwa do końca dnia, ale może moglibyśmy się zobaczyć wieczorem?

Od tego, co powiem, pewnie mnie zemdli, ale muszę to zrobić.

– Muszę się uczyć całą noc. Naprawdę, naprawdę muszę.

– To może wpadnę do ciebie i ci pomogę przy nauce? – Och, uśmiecha się, czuję to.

Chwilę milczę.

– Sprawa wygląda tak – podejmuję w końcu temat. – I uwierz mi, że ciężko mi to mówić, ale naprawdę muszę przysiąc do nauki przed wyjazdem, żeby nie mieć w związku z tym żadnego stresu. Od moich ocen wiele zależy. – Mam ochotę dać sobie w twarz za to, że mu odmawiam, ale, o mój Boże, muszę to zrobić.

– W pełni cię rozumiem – wzdycha. – Wiesz co? Może to nawet lepiej. Chcę, żebyś podczas wyjazdu

była całkowicie zrelaksowana. No i, hej, kilka dni niewidzenia sprawi, że się za sobą słodko stęsknimy.

– Słodko stęsknimy. Jesteś takim poetą.

– A jestem, kurna, żebyś wiedziała.

Parskam śmiechem. Och Boże, ten facet potrafi mnie nakręcić jak nikt inny, nawet przez telefon. Ale nie, nie, nie. Nie wolno mi zapominać o nagrodzie. Najpierw nauka. Seksualne ekscesy z Jonasem później. Muszę zrobić co w mojej mocy, żeby dostać to stypendium na koniec roku, inaczej nigdy sobie nie wybaczę.

– Naprawdę chciałabym się z tobą zobaczyć, ale mam mnóstwo nauki.

– Nie, nie, w porządku. Nie przejmuj się. Masz rację. Zobaczymy się, kiedy po ciebie przyjadę w drodze na lotnisko w czwartek rano. Nasze „powolne spalanie” zaczyna się od tej chwili, maleńka.

– Och, szykujesz jakąś nową strategię?

– Oczywiście. I tym razem będę się jej trzymał. Złożyłem sobie uroczystą przysięgę.

Uśmiecham się od ucha do ucha.

– Dzisiaj po południu przyślę ci do domu kuriera z formularzami do paszportu. Wylatujemy wcześniej rano w czwartek, tak więc paszport musi do ciebie dotrzeć najpóźniej w środę wieczorem. Możesz być w domu przez kilka następnych godzin, żeby zaczekać na kuriera?

– Tak, będę tam o czwartej. To wystarczy?

– Wystarczy. W takim razie czwarta?

– Okej. I dziękuję, że się tym zająłeś. Jestem taka podekscytowana.

– Cała przyjemność po mojej stronie. – Ścisza głos. – Będę liczył minuty do czwartkowego poranka.

– Okej. Hej, Jonas?

– Tak?

Nie wiem, jak go o to zapytać.

– Uhm, skoro nie będziemy się widzieli przez całe trzy dni, czy mój miesiąc może się oficjalnie rozpocząć dopiero w czwartek?

Nie odpowiada, pewnie się zastanawia, o co mi chodzi.

– No bo wiesz, chciałabym zaznaczyć koniec mojego miesiąca w kalendarzu... – Nie kończę. Czy mój miesiąc z Jonasem kończy się za miesiąc od dzisiaj, czy za miesiąc od czwartku? Chcę mieć tyle czasu, ile tylko mogę uzyskać.

– Och – rzuca, już załapał, w czym problem. – Cóż. – Nad czymś się zastanawia. – Twoje członkostwo jest zatwierdzone. Nie możesz już zmienić zdania. Ale okres członkostwa oficjalnie rozpoczyna się w czwartek rano, kiedy przyjadę, żeby cię zabrać na lotnisko – mówi tonem, który ma mnie podnieść na duchu.

Wzdycham z ulgą.

– No to fajnie.

– I wiesz co? Niech te dni, w których nie będziemy się widywali, nie zaliczają się do miesiąca. Co ty na to?

Od uśmiechu bolą mnie policzki.

– Zgadzam się. Tylko że trochę trudno mi będzie zaznaczyć ten miesiąc w kalendarzu.

– No cóż, myślę, że w takim razie po prostu go nie zaznaczysz.

Oboje milczymy, ale jestem przekonana, że Jonas uśmiecha się tak samo szeroko jak ja. Jestem uskrzydłona. Jonas, nie mniej niż ja, nie chce wyobrażać sobie końca tego wszystkiego.

– Mamy tyle czasu, ile tylko chcemy, maleńka – mówi szeptem.

– W porządku – odszeptuję. Oczy nagle robią mi się wilgotne.

– Mamy całe mnóstwo czasu.

– Dobrze – powtarzam cicho. – Porozmawiamy jutro – udaje mi się wydusić.

Słyszę jego olbrzymi uśmiech po drugiej stronie połączenia.

– Na razie, kochanie. Zadzwońię do ciebie później.

Punktualnie o czwartej dzwoni dzwonek u moich drzwi.

Otwieram je i widzę kuriera trzymającego średnich rozmiarów paczkę. Obok niego stoi kobieta w średnim wieku w mundurku z poczty. Oboje promiennie się uśmiechają.

– Sarah Cruz? – pyta kurier.

– Tak, to ja.

– Proszę. – Podaje mi paczkę. – Pójdę po resztę – dodaje i odchodzi.

Resztę?

Kobieta w mundurku przyniosła jakieś formularze. Wygląda na miłą, a cerę ma koloru czekolady.

– Dzień dobry, panno Cruz. Mam na imię Georgia. Jestem tu, żeby pomóc pani wypełnić dokumenty potrzebne do wyrobienia paszportu i potem jak najszybciej je przetworzyć.

– Ojej, dziękuję. Tak, proszę wejść. – Prowadzę Georgię do stołu w kuchni, na który odkładam paczkę.

Proponuję coś do picia i Georgia z wdzięcznością przystaje na propozycje.

– Nie wiedziałam, że pracownicy poczty odbywają wizyty domowe. Bardzo pani dziękuję.

– Och nie – śmieje się. – Nie chodzimy po domach, ale dla Jonasa wszystko. – Uśmiecha się, jakby opowiedziała dowcip znany tylko nam, chociaż ja nie mam pojęcia, o czym mówi. Dlaczego „dla Jonasa wszystko”?

– Tak mu zależało, żeby to załatwić. – Georgia znowu się uśmiecha. – Powiedziałam mu, że nie ma szans, żeby otrzymała pani paszport na czas bez mojej małej interwencji od wewnątrz. Poza tym, szczerze mówiąc, byłam zachwycona, że w końcu dla odmiany to ja mogę wyświadczyć mu przysługę.

– Och, pani i Jonas przyjaźnicie się? – To wprawdzie oczywiste, ale tak niespodziewane, że mimo wszystko nie potrafię powstrzymać się przed zadaniem tego pytania.

W oczach kobiety pojawia się błysk wdzięczności, a może nawet miłości.

– Jonas to dar od Boga. – Uśmiecha się tęsknie, ale potem szybko zerka na zegarek. – No dobrze, kochanie, musimy przejść do rzeczy. Rozkłada formularze. – Zaczynamy.

Wbiło mnie w ziemię. Jonas to dar od Boga? Umieram z ciekawości. Ale Georgia ciągle niespokojnie spogląda na zegarek, nie proszę jej więc, żeby wyjaśniła.

Kurier wraca z kilkoma wazonami z kwiatami. Nedorzecznie przesadzony prezent, zważywszy, że walentynkowe róże stoją już w moim mieszkaniu na wszystkich blatach w kuchni, na komodzie, na stole. Kurier stawia jeden z wazonów obok mnie. Uśmiecham się od ucha do ucha, kiedy się przekonuję, jakie kwiaty Jonas wybrał tym razem: żonkile, lilie, stokrotki. Dokładnie te, które wymieniłam, gdy malował swój romantyczny obraz z nami pławiącymi się w poorgazmicznym słońcu przed jaskinią Platona. Nie mogę się pohamować i zaczynam chichotać.

Pomimo że musi być zestresowana sprawą wyrobienia paszportu na czas, Georgia na widok kwiatów uśmiecha się promiennie.

– Jonas – mówi, potrząsając głową, jakby to było właśnie to, czego mogła się po nim spodziewać.

Dlaczego? Dlaczego miałyby się spodziewać po Jonasie romantycznych gestów?

Przyciąga moją uwagę z powrotem do dokumentów.

– Przykro mi, że panią pospieszam, ale naprawdę mamy mało czasu.

– Och, przepraszam. – Czerwienię się.

Kurier wraca z pękiem balonów z helem i wypuszcza je niczym gołębie w moim małym mieszkanku. Na balonach są różne napisy: „Świętujemy!”, „Witamy!”, „Gratulacje!”.

Georgia śmieje się razem ze mną z prezentów Jonasa, potem znowu nagania mnie do wypełniania formularzy i robi mi na tle ściany zdjęcie portretowe do paszportu.

– Wróć teraz na pocztę i od razu złożę dokumenty do przetwarzania – mówi, zbierając wszystko. –

Myślę, że do środy zdążymy wyrobić paszport.

– Daleko ma pani do pracy?

– Nie, niedaleko. Pracuję w oddziale śródmiejskim. Dopilnuję, żeby wszystko zostało załatwione na czas.

– Bardzo pani dziękuję.

– Nie ma za co – odpowiada i biegnie do drzwi. – Życzę wspaniałej wycieczki.

– Hej, Georgia?

Odwraca się, mimo że widać, że chce wyjść jak najszybciej.

– Czy Jonas powiedział pani przypadkiem, dokąd mnie zabiera?

– Tak, powiedział. – Posyła mi promienny uśmiech. – Ale nic nie zdradzę. – Puszczą oko i wychodzi.

Rozglądam się dokoła. O rany. Moje pękające w szwach mieszkanie wygląda jak kwiaciarnia. Albo sklepik Hallmarku. Albo może jak lokal, w którym świętowano łącznie walentynki, narodziny dziecka, urodziny i czyjeś zakończenie studiów. To chore.

Siadam przed paczką z nożyczkami, puls mam przyspieszony, otwieram paczkę. Ściągam folię bąbelkową i zaglądam do środka.

– O Boże – sapię. Paczka oreos. Wyjmuję ją, uśmiechając się szeroko. Och, Jonasie. Jeszcze raz zaglądam do środka. Dwie koperty. Mała, czymś wypchana, i zwykła płaska koperta listowa. Najpierw otwieram tę płaską. W środku jest wiadomość:

„Moja Wspaniała, Piękna, Zabawna i Słodka, Szykowna i Rozwiązała, Porywająca, Trochę Szurnięta, ale Mądra, Seksowna jak Diabli, Uparta, Wnikliwa i Och-Jakże-Utalentowana, Popieprzona (jak ja) i Smakowita (i to jak, kurwa!) Sarah,

Gratuluję! Pani zgłoszenie na członkinię Klubu Jonasa Faradaya zostało zatwierdzone! Z uwagą przyjrzeliliśmy się pani preferencjom seksualnym i porównaliśmy je z bazą danych potencjalnych kandydatów. Ma pani ogromne szczęście, gdyż znaleźliśmy dla pani idealnie dopasowanego partnera, niejakiego pana Jonasa Faradaya. Tak, to prawda! Od tej chwili Jonas Faraday za swoją misję (zesłaną przez Boga, oczywiście) obierze zapewnienie pani satysfakcji seksualnej i rozkoszy przekraczających pani najdziksze erotyczne marzenia. Innymi słowy, maleńka, od tej pory może się pani spodziewać wyłącznie seksu doskonałego.

W celu uzyskania wymienionych powyżej bogatych usług, które się pani tak bardzo należą, musi pani przestrzegać tylko jednej (jednakże niepodlegającej negocjacji) zasady: Członkini Sarah Cruz jest zobowiązana robić wszystko, czego zażąda od niej Mistrz Klubu Jonas Faraday. (To oznacza, że nie będzie żadnego rządu się, żadnych szaleństw. Rozumiemy się?) Jeszcze raz serdecznie witamy w Klubie Jonasa Faradaya!

Z poważaniem,

Beznadziejnie Pani Oddany,

Rekruter Jonas.

PS Przyjadę po ciebie w drodze na lotnisko w ten czwartek o 4.30 rano. Weź ubrania na tropiki, kostium kąpielowy, solidne buty do wędrówek ze wzmocnieniem na kostkę i najgrubszym możliwym bieżnikiem, długie spodnie z materiału pochłaniającego wilgoć, kapelusz na ostre słońce i oczywiście coś ładnego (i łatwo zdejmowalnego). Proszę wykorzystaj załączoną kartę i kup wszystko, czego możesz potrzebować lub chciałabyś mieć na tę podróż. I nie próbuj nawet odmawiać użycia karty, bo absolutnie musisz mieć odpowiednią odzież i buty, a zresztą obiecałaś robić wszystko, co ci każe.

W liście jest prepaidowa karta Visa naładowana na kwotę 3000 dolarów”.

To zbyt wiele. Zbyt szczodre. Przegięte. Tylko z czego innego mam kupić te wszystkie rzeczy, które każe mi zabrać? Samej mnie na to nie stać. Wygląda więc, że czeka mnie wyprawa na zakupy. Żołądek skacze mi i skręca się z podeksycytowania. Nie mogę uwierzyć, że to moje życie.

Sięgam po małą kopertę z czymś pękającym w środku. Odręcznie napisany tytuł na wierzchu głosi:

*Cudowne oczekiwanie: ścieżka dźwiękowa.* Otwieram kopertę i w środku znajduję pendrive. Podłączam go do laptopa i na ekranie pojawia się plik muzyczny. Serce mi podskakuje. Ten chłopak zrobił dla mnie składankę.

Pierwsza piosenka to klasyk, który dobrze znam: *Oczekiwanie*, Carly Simon. Klikam na piosenkę i słucham chwilę, jak Carly śpiewa o torturach oczekiwania. Możesz to powtórzyć, Carly. Następna piosenka ma tytuł *Powolne spalanie*, wykonawca David Bowie. Nigdy jej nie słyszałam. Klikam na nią. Seksowne. Podoba mi się. I tak, Jonasie, dociera do mnie przesłanie, głośno i wyraźnie. Zrobimy to na twój sposób, cokolwiek to oznacza. Więcej żadnego migania się. Uśmiecham się. Następny utwór to *Poliz to, zanim włożysz*, Denise LaSalle. Przewracam oczami. Jeśli sugerować się tytułem, to raczej jasne, o czym to będzie. Puszczam piosenkę i tak, zuchwała bluesowa piosenkarka wyśpiewuje dokładną instrukcję o tym, jak sprawić kobiecie superprzyjemność przez seks oralny. Och, Jonasie. Gdzie on znalazł ten kawałek, na Boga? No i, serio, czy tradycyjna miłosna piosenka to zbyt wielkie wymagania? Zupełnie, jakby czytał w moich myślach, kolejny utwór to absolutny ideał: *Chcę tylko kochać się z tobą*, Muddy'ego Watersa. Sam tytuł brzmi jak specjalnego rodzaju walentynka od Jonasa. Ani razu nie słyszałam, żeby użył zwrotu „kochać się” (oprócz, oczywiście, niebezpośrednio, kiedy wczoraj wybrał piosenkę Modern English, ale w niej ten zwrot jest utknięty gdzieś w zwrotce, a nie centralnie na samym froncie, tak jak tutaj). Klikam na piosenkę i z miejsca zwala mnie z nóg. O tak, ten kawałek jest zdecydowanie muzycznym ucieleśnieniem cudownego oczekiwania. Zmysłowego, bolesnego, przepełnionego tęsknotą. Faktycznie cudowne.

Nic nie przebije piosenki Maddy'ego Watersa, nie ma takiej opcji, a jednak na liście znajduje się jeszcze jeden utwór: *Chcę cię*, Boba Dylana. Słyszałam o Bobie Dylanie oczywiście, jednym z najbardziej wpływowych piosenkarzy i tekściarzy wszechczasów, ale tego konkretnego kawałka nie słyszałam. Klikam na niego. Tekst to poetyczne szaleństwo. Gmatwanina oderwanych nonsensownych pojęć, a Dylan śpiewa niewyraźne, trudno zrozumieć słowa. Wiem, że Dylan to jedna z największych sław i w ogóle. I z pewnością ma tu wiele do powiedzenia, ale, szczerze, nie bardzo łapię, dlaczego Jonas wybrał akurat ten kawałek. Zdecydowanie nie powala mnie tak jak piosenka Muddy'ego Watersa, to pewne.

Ale potem, o mój Boże, zaczyna się refren i w samym środku chaotycznego bezładu następuje nagła i zwięzła klarowność. Bob Dylan wyznaje, ot tak zwyczajnie, czego chce: chcę ciebie. Prostota słów połączona z autentycznym tęsknym wykonaniem spada na mnie jak tona cegieł. Ten utwór powoduje, że czuję się, jakby Jonas chciał mnie w sposób przekraczający łączący nas (niesamowity, poza skalą) pociąg fizyczny. Czuję się, jakby chciał mnie nie tylko w sypialni. Albo, do diabła, może słyszę tylko to, co chcę usłyszeć.

Chwytam za telefon.

– Jonas – dyszę, kiedy odbiera. – Możesz rozmawiać?

– Jasne, cześć.

– Właśnie dostałam swoją paczkę powitalną. – Głos mi tryska podekscytowaniem. Tyle emocji we mnie buzuje, a to że słyszę jego głos, wprawia mnie niemal w euforię. – Dziękuję.

Jonas chichocze, wyraźnie rozbawiony moim entuzjazmem.

– Witam w moim klubie.

Głośno wzdycham.

– Ta muzyka, Jonasie. O mój Boże.

Chwilę milczy.

– Czasami muzyka potrafi powiedzieć więcej niż słowa.

Włosy na karku stają mi na sztorc.

– Chcę cię – szepcze.

Przygryzam wargę. Najchętniej bym go teraz polizała.



– Ja też cię chcę.

– To ci dopiero cudowne oczekiwanie. Już teraz odchodzę od zmysłów – wzdycha. – I jak, załatwiłaś sprawę z paszportem?

Biorę głęboki wdech. Okej, normalna rozmowa. Tak, dam radę.

– Taak, Georgia powiedziała, że będę go miała w środę.

– To dobrze.

– Georgia bardzo mi się spodobała.

– Taak, jest wspaniała, prawda?

Odczekuję sekundę, ale nie mówi nic więcej.

No, Jonas, powiedz mi, dlaczego jesteś darem od Boga dla Georgii.

– Skąd ją znasz? – pytam w końcu.

– Och, poznaliśmy się kilka lat temu. – Krótka przerwa. – To długa historia.

Milczę. Mam czas, mogę wysłuchać długiej historii.

– Jej syn zrobił ze mną wywiad na to coś w szkole. – Dosłownie słyshać, jak wzrusza ramionami.

Chwila. To syn Georgii robił z nim ten wywiad na dzień kariery w liceum? Mój umysł ma problem z połączeniem kropek.

– To jak, zapadasz już w śpiączkę wywołaną nadmiarem oreo? – pyta, wyraźnie chcąc zmienić temat.

Jak to się stało, że syn Georgii robił z nim w swojej szkole wywiad?

– Taa... – odpowiadam. – Zdążyłam już pożreć cały rząd, nie mogłam się opanować.

Jonas parska śmiechem.

Domyślam się, że nie powie mi nic więcej o Georgii i jej synu. Umieram z ciekawości, ale odpuszczam. Na razie.

– I Jonas, te kwiaty, balony i szal zakupowy... O mój Boże, te zakupy. Za dużo tego wszystkiego. Poza tym jestem pewna, że nie będę potrzebowała więcej niż kilkaset dolarów.

Prycha.

– Nie. Chcę, żebyś kupiła najlepsze buty taternicze, jakie tylko się da, dobrej firmy z naprawdę głębokim bieżnikiem. Same one będą kosztowały kilka stówek. Poza tym kup też pochłaniające wilgoć skarpety, żebyś nie dostała odcisków. Idź do REI, oni będą wiedzieli dokładnie, co ci będzie potrzebne. Och, i nie zapomnij kupić długich spodni do wspinaczki z oddychającego materiału.

Po co mi, do diabła, te wszystkie rzeczy? W liściku napisał, że jedziemy w jakieś ciepłe miejsce. Do tropików. A czy tropiki nie oznaczają piña colady na plaży za dnia i gorącego, lepkiego od potu seksu w blasku księżyca nocą? Gdzie tu pasują buty do wędrówki i pochłaniające wilgoć skarpety?

– Gdzie ty mnie, do diabła, zabierasz? – pytam.

Ignoruje pytanie.

– I oprócz tego wszystkiego kup sobie, cokolwiek zechcesz. Może jakąś ładną sukienkę, och, i naprawdę skąpe bikini – wyglądałoby na tobie supersexy. I bielizna, zdecydowanie bielizna.

– O rany, jesteś moim osobistym doradcą zakupowym.

Znowu chichocze.

– Chcę, żebyś zaszalała, kup sobie, na cokolwiek przyjdzie ci ochota. A jeśli zabraknie ci pieniędzy, daj mi znać, to...

– O mój Boże, nie, ty naprawdę oszalałaś. Przecież wyjeżdżamy tylko na cztery dni. Jestem przekonana, że na karcie po zakupach zostanie jeszcze sporo...

– Nie, nie, wydaj wszystko. Nie wezmę tej karty z powrotem.

Drzę. Nie wiem dlaczego.

– Jonas, obezwładniasz mnie.

– To dobrze.

– Zwalasz z nóg.

– O to właśnie chodzi w tym całym walentynkowym szajsie.

Kręci mi się w głowie.

Jonas wzdycha.

– Sarah, po prostu daj mi znać... – przerywa. – Zaczekaj. – W tle słycać natarczywy męski głos. –

Okej – mówi do kogoś. – Daj mi sekundkę.

Powiedział to do Josha? O rany, oni wciąż mają zebranie. To po co, na Boga, Jonas odebrał telefon?

Znowu słyszę jego głos po drugiej stronie połączenia.

– Sarah, po prostu daj mi to zrobić, dobrze? – Ścisza głos. – To mnie kręci, serio... staje mi od samego słuchania, jaka jesteś podekscytowana.

Jego słowa działają na mnie piorunująco.

– Chciałabym teraz wycałować każdy milimetr ciebie – szepczę, ze szczególną emfazą wymawiając frazę „każdy milimetr ciebie”.

Cicho stęka.

– Byłbym teraz z tobą, gdybym mógł, wiesz o tym, prawda? – wzdycha. – Ale to pieprzone zebranie trwa i trwa. Musimy jeszcze z Joshem ugasić kilka pożarów, zanim sfinalizujemy transakcję, a ja naprawdę chcę ją sfinalizować.

Też wzdycham.

– Doskonale cię rozumiem. – Będzie lepiej, jeśli pozwolę mu wrócić do pracy. Wydaje się, że załatwia coś ważnego. – A niech mnie, kiedy wreszcie przyjedziesz po mnie w czwartek, oboje będziemy strzępkami nerwów od tego czekania.

Wzdycha.

– Żebyś wiedziała. To całe słodkie oczekiwanie skończy się tym, że padnę na serce. – Stęka. – Lepiej więc szykuj już na czwartek tę swoją słodką pupcię, bo ja dla ciebie szykuję zabawę pierwsza klasa.

Dokoła mnie odbijające się od sufitu i od siebie balony cicho postukują. Moje mieszkanie wypełniają jaskrawe kolory i mocne zapachy, wszystko przez otaczające mnie kwiaty. Jest tu dosłownie jak w ogrodzie. Pluszowy miś, którego Jonas przysłał mi przed naszą wieczorną randką siedzi przy stole, uśmiecha się do mnie i krzyczy: „Bądź moja!”. I na dodatek do tego wszystkiego, wciąż mam w ustach smak oreo. Jestem w tej chwili tak niesamowicie szczęśliwa, że mogłabym zemdleć. Pyk... pyk... pyk... powtarzają miękko balony wokół mnie. Najwyraźniej one też są szczęśliwe.

– O taak, przyszykuję dla ciebie swoją słodką pupcię, masz to jak w banku – mówię. – Ale ty też szykuj swoją, Panie Zaklinaczu Kobiet, bo od czwartku będzie używana, aż się z niej będzie kurzyło. Och, i muszę cię ostrzec: jako płacący członek Klubu Jonasa Faradaya, będę oczekiwała o wiele więcej niż zabawa pierwsza klasa. Przygotuj się, bo masz mi zapewnić ni mniej, ni więcej tylko „seksmistrzostwo”.

# Rozdział 6

## Sarah

Sześćset czterdzieści trzy dolary i sześćdziesiąt cztery centy. Właśnie tyle przepuściłam w dwie godziny podczas tornada zakupowego szału. To więcej niż wydałam na pojedynczą sesję zakupową w całym swoim życiu, ale trzeba przyznać, że wydawanie szło mi lekko. Kupiłam wszystko, co Jonas kazał, potem jeszcze coś, i nadal daleko mi było do osiągnięcia całej kwoty, jaką dla mnie przeznaczył. W jakim sklepie chciał, żebym zrobiła te zakupy? U Prady, w dziale alpinistycznym? Fakt, rzeczy z REI były drogie, ale i tak nie groziło mi, że dotrę choćby w przybliżeniu do tych trzech tysięcy dolarów, pomimo kolorowych bluzeczek, szortów, bikini, pareo i dwóch letnich sukienek, które też kupiłam. Bielizną, wbrew sugestywnym zachętom Jonasa, nie zwracałam sobie głowy, bo jak dla mnie byłoby to kolosalne marnotrawstwo. Jeśli nadarzy się okazja na skąpą bieliznę, wolę nie mieć na sobie nic. Poza tym, żeby być do końca szczerą, miałam ukryty motyw, żeby wydatki na ubrania ograniczyć do minimum. Wpadłam na o wiele lepszy pomysł na wykorzystanie funduszków, jakie mi ewentualnie zostaną, niż zakup drogiej bielizny, którą Jonas na koniec i tak ze mnie zedrze. Mam tylko nadzieję, że nie wkurzy się, gdy mu powiem, na co przeznaczyłam pozostałe na karcie pieniądze.

Jest dopiero druga, ale ja mam wrażenie jakby było dużo później, tak bardzo ekscytujący jest ten dzień – dwa zajęcia z rana, po nich, wczesnym popołudniem, entuzjastyczne zakupy. Teraz niczego już bardziej nie pragnę, niż wrócić do domu, spakować się na podróż (bo jeśli miałabym z tym czekać do następnego dnia, będę się stresowała), a potem na resztę wieczoru zwinąć się wygodnie na łóżku z podręcznikami. Ale zanim wrócę, żeby się uczyć, mam do załatwienia jeszcze jedną ważną sprawę, przesłanie mojemu małemu programiście pakietu powitalnego uzupełnionego o żółtą bransoletkę i iPhone'a z wgraną apką. Normalnie, żeby wysłać paczkę, poszłabym na pocztę blisko uczelni. Ale dzisiaj nadkładam drogi i idę aż do centrum.

Po wejściu do środka, z paczką w rękach, widzę ją. Georgia. Wraz z trójką innych urzędników stoi za długim kontuarem i obsługuje klientów. Ustawiam się w kolejce, ze zdenerwowania przestępuję z nogi na nogę. Przechwytyuję jej spojrzenie. Nie zauważyła mnie. Śmieje się razem z klientem. Jest miła, ta kobieta jest naprawdę miła.

Kolejka przesuwa się powoli. Gdy docieram na sam początek, Georgia nadal kogoś obsługuje. Przepuszczam osobę za mną, pozwalając jej podejść do wolnego stanowiska. Następną osobę też przepuszczam. Wreszcie Georgia podnosi wzrok, jej stanowisko jest dostępne.

– Następna osoba, proszę – mówi i jej spojrzenie pada na mnie. Uśmiecha się, od razu mnie rozpoznaje.

– Cześć, Georgia – witam się po podejściu do okienka.

– Och, witam, panno Cruz, cóż za miła niespodzianka. – Rozgląda się i ścisza głos. – Pani paszport zostanie dostarczony do pani do domu jutro wieczorem... wcześniej raczej na pewno go nie dostaniemy.

– Och, tak, dziękuję. – Kładę paczkę na blacie. – Nie liczyłam, że dostanę go dzisiaj. Przyszłam, żeby wysłać to.

– Ach tak? Co panią sprowadziło aż do centrum?

– Małe zakupy w związku z wyjazdem z Jonasem.

Patrzy na mnie sceptycznie.

– No i chciałam panią odwiedzić.

Uśmiecha się. Domyślała się.

Zadaje mi wszystkie konieczne pytania, czy chcę awizo do paczki i czy chcę ją ubezpieczyć, na koniec płacę za usługę.

– Georgio – zaczynam ostrożnie, zerkając za siebie na rosnącą kolejkę. – Miałaby pani może chwilkę na krótką rozmowę?

Zaciska usta. Czyżby powstrzymywała śmiech?

– W zasadzie to jak najbardziej. Akurat powinnam zrobić sobie przerwę.

Georgia chucha na parującą herbatę, potem upija ostrożny łyk.

Ja z jakiegoś powodu wstrzymuję oddech. Wiem, że ma mi coś ważnego do powiedzenia, nie wiem tylko co.

– Kilka lat temu mała liga mojego syna Treya miała niesamowity sezon, z rodzaju tych, co zdarzają się tylko raz w życiu. Skończyło się na tym, że zainteresowała się nimi lokalna prasa, bo mieli tego niewiarygodnie dobrego miotacza, no wie pani, prawdziwy wrodzony talent. Zaledwie dwunastolatek, a rzucał takie szybkie piłki, że ludzie nie mogli się nadziwić.

– A pani syn? On też jest taki dobry?

– Och, nie, skąd – śmieje się. – Na razie w każdej drużynie zawsze jest na szarym końcu. – Znowu się śmieje, a ja do niej dołączam. Nie ma nic lepszego niż szczerza matczyna ocena. – Ale trenerzy go trzymają, bo dzieciak ma wielkie serce do gry. O Boże miłosierny, jak on kocha ten sport. Jest inspiracją dla wszystkich wokół.

Jej twarz przez chwilę promienieje dumą.

– Nawet nie myśli o zrezygnowaniu. Ale jak na swój wiek jest bardzo drobny, i też niespecjalnie szybki. Niezbyt dobra kombinacja – wzdycha. – I jest strasznie nieśmiały. Zawsze go zachęcałam, żeby grał, bo to mu pomaga pokonać tę jego nieśmiałość.

Uśmiecham się. Na twarzy Georgii maluje się czysta matczyna miłość.

– No więc, tak czy inaczej, kiedy drużyna Treya miała swój złoty sezon, całe miasto się nią zainteresowało. W sąsiedztwie urządzono małą paradę, kiedy wrócili z zawodów w Vancouver. Lokalne wiadomości robiły z nimi kilka razy wywiady. Firma Jonasa najwyraźniej też zwróciła na nich uwagę. Byli tak uprzejmi, że zaprosili chłopców z rodzinami na mecz Marinersów. Mogli go oglądać z łoża należącej do firmy. Wcześniej kilka razy zabierałam Treya na mecze Marinersów, ale to zawsze były gorsze miejsca. Te łoże zrobiły na nim ogromne wrażenie, mówię pani. Czuliśmy się jak rodzina królewska.

Ciekawa jestem, czy to był pomysł Jonasa? Czy Josha? A może wpadł na niego dział PR?

– I to wtedy poznała pani Jonasa? – pytam.

– Tak. I od razu się zorientowałam, że to ktoś wyjątkowy. Przez cały sezon wszyscy tłoczyli się wokół sensacyjnego miotacza z drużyny Treya i zresztą zasłużenie. Dzieciak jest po prostu niesamowity, silna osobowość, a Trey zawsze trzyma się z boku, z nieśmiałości i trochę niepewności. Cóż, na tym meczu Marinersów było mniej więcej podobnie. Wszyscy obskakiwali tego miotacza, chłopak rozśmieszał ludzi do łez, taki był zabawny, a Trey siedział spokojnie sam i oglądał mecz. – Prawie przez cały czas opowieści Georgia, zagubiona we wspomnieniach, patrzyła w dal, ale teraz spojrzała prosto na mnie. – Lubi pani baseball?

– Nigdy się nim specjalnie nie fascynowałam. Wychowywałam się bez ojca, a mama nie jest fanką baseballu. Nawet nie byłam nigdy na żadnym meczu.

Georgia ze zrozumieniem kiwa głową.

– Ma pani rodzeństwo? – pyta.

– Nie. Jesteśmy tylko mama i ja. Dwie muszkieterki.

– Taak, to tak jak ja i Trey. Wyjątkowy układ, nie uważa pani?

Przytakuję.

– Nie stać mnie na częste zabieranie Treya na mecze, proszę mi uwierzyć. Ale on to kocha, więc robię, co mogę.

Uśmiechamy się do siebie.

– No ale, tak czy owak, zauważyłam, że Jonas przez pierwszą połowę meczu siedział w rogu łoża, z nikim nie rozmawiał, ale za to ciągle zerkał na Treya. Trey był całkowicie pochłonięty obserwowaniem gry, zapisywał punkty w notesie, no po prostu był totalnie zafiksowany na meczu. W końcu, gdzieś w połowie, Jonas podszedł i usiadł obok niego. – Wzdycha, wspominając. – Trey się rozpromienił jak bożonarodzeniowa choinka. Potem już cały mecz do końca oglądali razem i przez cały czas o czymś trajkotali. – Georgia uśmiecha się ciepło i nachyla do mnie. – Trey nigdy nie trajkocze, z nikim.

Przygryzam wargę. Coś mi mówi, że Jonas raczej też rzadko z kimkolwiek trajkocze.

– Pod koniec meczu Trey i Jonas byli najlepszymi kumplami, rozmawiali o wszystkim, nie tylko o baseballu. Jonas zapytał Treya, kim chce być, gdy dorośnie, i Trey odpowiedział, że chyba chciałby robić coś związanego z komputerami. Jonas zapytał: a nie z baseballlem? A Trey na to: nieee, bo jestem za mały i za wolny.

– No już wtedy Jonas rozkręcił się na całego. „Jeśli czegoś chcesz, cokolwiek to jest, musisz zawzięcie o to walczyć”, powiedział. – Georgia przybiera zadumaną minę. – I nim się obejrzelśmy, tłumaczył Treyowi, jak ma biegać, żeby być szybszym, i że musi jeść właściwy rodzaj protein, żeby nabrał masy mięśniowej. Podał mu też listę poradników do przeczytania. – Chichocze. – Był naprawdę słodki. Pod koniec meczu Trey całował ziemię, po której stąpał. Nie sądzę, żeby Jonas wiedział, w co się pakuje. Kiedy wychodziliśmy, Trey zdobył się na odwagę i poprosił go, żeby przyszedł na „dzień kariery” do szkoły. – Georgia wywraca oczami, ale nadal się uśmiecha. – Dzieciaki mogą opisać, co chcą robić, gdy dorosną, albo mogą zaprosić kogoś, kto ma ich zdaniem fascynujący zawód i przeprowadzić z tą osobą wywiad przed całą szkołą.

Rumienię się w zastępstwie Jonasa. Mogę sobie tylko wyobrazić, jak bardzo nie chciał tego robić.

– Szczerze mówiąc, byłam zaskoczona, że Trey chce przeprowadzić wywiad z Jonasem przed całą szkołą, zwykle jest taki nieśmiały. – Oczy Georgii iskczą się od tych wspomnień. – Było zupełnie tak, jakby Jonas rzucił na niego jakiś czar.

W oparciu o osobiste doświadczenia... o tak, jestem pewna, że zrobił właśnie to.

– Widziałam, że Jonas chciał odmówić, ale Trey powiedział, że dużo dzieci zaprasza na wywiad ojców, i to było to. Jonas obiecał, że przyjdzie. No więc, tak czy inaczej... – Georgia wzdycha i milknie. – Proszę wybaczyć... rozgadałam się, pewnie panią zanudziłam. – Upija łyk herbaty.

– Nie, ależ skąd. Słucham z wielkim zainteresowaniem. Proszę opowiedzieć, co było potem.

– No cóż, Jonas przyszedł do szkoły i Trey przeprowadził z nim wywiad. I zdaje się, że Jonasowi też się to podobało. Od tamtej pory on i Trey są ze sobą w kontakcie. Jonas przysłał Treyowi na urodziny sprzęt sportowy, zaprosił go jeszcze na kilka meczów Marinersów i nawet podarował mu koszulkę podpisaną przez całą drużynę. Jonas zwyczajnie strasznie go rozpuszczał. Trey był w siódmym niebie.

– A pani? – pytam. – Co pani czuła w związku z tym wszystkim?

Georgia przeciągle wzdycha.

– Byłam zachwycona. Wdzięczna. Trey to najśłodsze, najwspanialsze dziecko. Jedno wielkie bijące serce. I wie pani, dorastanie bez ojca było dla niego trudne, więc to, że ktoś taki jak Jonas wyłuskał go z tłumy i sprawił, że poczuł się wyjątkowy, znaczyło dla niego bardzo wiele.

Kiwam głową. Jestem wniebowzięta.

– A potem zachorowałam – mówi Georgia, jej twarz pochmurnieje.

Moje wniebowzięcie momentalnie się ulatnia.

– Och nie, co się stało?

– Rak.

Sięgam ponad stołem i dotykam jej dłoni.

– O nie, Georgio. O mój Boże.

– Nie, nie, teraz jest dobrze. Jestem zdrowa. To było sporo ponad rok temu. I wcześniej go wykryliśmy, dzięki Bogu. Miałam operację i naświetlania, bez chemii, na szczęście. I wróciłam do pełni zdrowia, odpukać. – Puka w stolik. – Ale Trey zadzwonił do Jonasa i powiedział mu, i... – Nagle niemal dusi się łzami. Potrząsa głową. Nie może wydobyć głosu. Spogląda na sufit, próbując się opanować.

Ściskam jej dłoń.

Przez chwilę trzyma moją rękę i milczy.

– Przepraszam. Nie wiem dlaczego wciąż mnie to tak wzrusza. – Bierze głęboki wdech. – Kiedy jest się chorym, przestraszonym i zupełnie samym, i ma się dziecko, o które się człowiek martwi... W takiej sytuacji czyjaś pomoc, to, że ten ktoś wszystkim się zajmie, zwłaszcza ktoś, kto nie ma żadnego powodu tego robić... – Znowu się rozkleja. Bierze serwetkę i wyciera oczy. – To było takie nieoczekiwane. I takie wspaniałe. Po prostu niebiosy mi go zesłały.

Serce wali mi jak oszalałe.

– Co takiego zrobił?

– Co zrobił? Po operacji przysłał kwiaty, załatwił samochód, który mnie woził na naświetlania przez cały miesiąc. Zlecił dostawę posiłków do domu. Moja siostra też tu mieszka, dzięki Bogu, więc nie byłam sama, ale pracuje i ma własne dzieci. – Znowu wyciera oczy. – Wszystko było takie przytłaczające. Musiałam pójść na zwolnienie, znaleźć pomoc do Treya. I Jonas po prostu spadł mi wtedy z nieba i we wszystkim pomógł.

Zaczynam się rozklejać tak jak ona. Gdybym już teraz nie chciała dopaść Jonasa, powalić go i uprawiać z nim dzikiego, zwierzęcego seksu, to na pewno zapragnęłabym tego w tej chwili.

– Po zakończeniu kuracji dostałam ze szpitala coś, co wyglądało jak rachunek. Myślałam, że zwymiotuję, kiedy wyjęłam ten list ze skrzynki. Tak strasznie się bałam zajrzeć do środka. Wiedziałam, że bez względu na kwotę, czeka mnie ruina.

Zabiera rękę, żeby upić łyk herbaty. Idę w jej ślady i popijam swoje cappuccino.

Siedzę jak na szpilkach, chociaż wiem, co Georgia zaraz powie. W końcu ta historia może mieć tylko jedno zakończenie, ale nie mogę się doczekać, aż zobaczę wyraz jej twarzy, gdy będzie to mówiła.

– I kiedy otworzyłam kopertę, w środku faktycznie był rachunek. Nawet na większą kwotę niż się obawiałam. Nigdy nie byłabym w stanie zapłacić takich pieniędzy. Musiałabym ogłosić bankructwo. Ale wie pani, co się okazało?

Kręcę głową, chociaż wiem. Ale nie zamierzam pozbawić jej możliwości opowiedzenia zakończenia tej wspaniałej baśniowej opowieści.

– Na rachunku był stempel „uregulowane w całości” – mówi, robiąc wielkie oczy. – Może to sobie pani wyobrazić? Uregulowane w całości. Po prostu nie mogłam w to uwierzyć. Rozpłakałam się jak dziecko. – I teraz też zaczyna płakać jak dziecko.

Podaję jej serwetkę i biorę jedną dla siebie. Tak jak i ona jestem kałużą łez.

– Dar od Boga – mówi zduszonym głosem. – Po prostu był darem z niebios.

Znowu chwytam ją za rękę, a ona mnie. Jej dłoń jest miękka i ciepła. Nachodzi mnie nagłe pragnienie podniesienia tej dłoni i pocałowania, i robię to.

Na twarzy Georgii w reakcji na ten przejaw sympatii z mojej strony pojawia się szeroki uśmiech.

Klepie mnie po policzku.

– To dobry człowiek, kochanie – stwierdza, już bardziej opanowana. – Trzymaj się go.

Nie mogę mówić, więc tylko kiwam głową i uśmiecham się.

Niczego bardziej nie pragnę, jak „trzymać się” Jonasa, uwierzcie mi. Ale czy dziewczyna, nawet bardzo, bardzo zdeterminowana i bardzo zakochana, może trzymać się chłopaka, jeśli on nie chce, żeby się go trzymało? Odpowiedź, oczywiście, brzmi „nie”. Nie mam na to wpływu. Pozostaje mi czekać i zobaczyć, czy Jonas chce, żebym się go trzymała.

Wzdycham i spoglądam na sufit kawiarni. Moje bijące serce jest w rękach Jonasa. On zdecyduje, co z nim zrobi. I nawet gdybym bardzo chciała, to zupełnie nie umiem przewidzieć, czym to wszystko ostatecznie się dla mnie skończy.

# Rozdział 7

## Sarah

Nie powinno nas tu teraz być z Kat. Ale kiedy przyszła pora na umówienie się na drinka, nie mogłam się oprzeć pokusie i chcąc upiec dwie pieczenie na jednym ogniu, postanowiłam, że pospieszę też mojego małego programistę. Poprzedniego dnia wysłałam mu paczkę powitalną z dołączoną jaskrawożółtą bransoletką i prośbę bardzo, kiedy sprawdzałam jego konto dzisiaj w porze lunchu, okazało się, że już się zameldował w barze sportowym w centrum na dzisiaj na siódmą wieczór. To dopiero napalenie. I teraz jesteśmy tu, w barze, chociaż nie powinno nas tu być, chociaż łamię zasady Klubu (po raz kolejny). Ale muszę zobaczyć, jaka to zakodowana na żółto kobieta została uznana za doskonałą partnerkę dla słodkiego, pełnego nadziei, samotnego, normalnego, zakodowanego na żółto mężczyzny, takiego jak mój słodki programista. Mam nadzieję, że znajdzie dzisiaj prawdziwą miłość. Naprawdę mam. Sprawdzam godzinę. 18.45.

Przyszedliśmy z Kat do baru sporo wcześniej. Przez ostatnią godzinę piłyśmy piwo i non stop gadałyśmy o mojej nocy (i poranku) z Jonasem. Oczywiście nie zdradziłam żadnych graficznych detali seksualnych i zdecydowanie nie wspominałam o tej całej sprawie z „Huraaa, prawie miałam orgazm!”. Przed wszystkim Kat nic o tym nie wie, że nigdy nie miałam orgazmu. Nigdy o tym nikomu nie mówiłam poza Jonasem, więc to jasne, że nie będę chwaliła się przed nią, że z Jonasem byłam bliżej szczytowania niż kiedykolwiek. Plus, nigdy nie powiem Kat, ani nikomu innemu, o szczególnej fiksacji Jonasa na kobiecych orgazmach, więc ten akurat temat był zakazany. A jednak, nawet bez ujawniania seksualnych szczegółów czy prywatnych informacji o Jonasie, wydaje się, że „Opowieść o Jonasie i Sarah” i tak jest cholernie dobra, bo przez całą rozmowę Kat nieustannie wznosiła ochy i achy, i prawie mdlała z zachwyty.

– Wygląda na to, że jest wspaniały – oznajmia. – I lepiej, żeby był, bo inaczej nie zasługuje na ciebie.

Uśmiecham się do niej.

– To jak myślisz, dokąd cię jutro zabierze? Na Jamajkę? Tahiti? Borneo?

– Borneo? – powtarzam ze śmiechem. – A gdzie to jest?

Odwracam się, żeby rozejrzeć się po barze. Czy programista już przyszedł? Zerkam na zegarek. Jest jeszcze kilka minut przed czasem, ale może wejść w każdej chwili. Znowu się rozglądam. Nie mogę się doczekać, kiedy zobaczę jego Panią Żółtą. Mam nadzieję, że szuka miłości tak samo bardzo jak on. Nigdy nic nie wiadomo. Może ich „i żyli długo i szczęśliwie” rozpocznie się dziś, właśnie tutaj, w tym barze. Dlaczego nie? To znaczy, no Jezus, wszystko zapowiada się fantastycznie. W końcu facet nie jest jakimś popieprzonym „Purpurowcem”. Uśmiecham się pod nosem. Ja tam całkiem lubię mojego słodkiego popieprzonego „Purpurowca”.

Uświadamiam sobie, że Kat coś mówi.

– Co? – pytam. – Przepraszam, na chwilę odpłynęłam.

– Próbuję zgadnąć, dokąd cię zabierze.

– Nie mam zielonego pojęcia – odpowiadam. – Gdzie w tropikach dziewczyna potrzebuje butów do wędrówek z ekstra grubym bieżnikiem?



Kat się krzywi.

– Może chce cię wrzucić do wulkanu?

– Rany, mam nadzieję, że nie. Utonięcie w bulgoczącej lawie nie jest moim wymarzoną zakończeniem tej historii.

Kat chichocze.

– Zdecydowanie mało romantyczne.

Uśmiecham się, a potem obie upijamy po łyku piwa.

– No więc, co mówił o twojej pogawędce z Georgią? – pyta Kat.

Robi mi się słabo.

– Jeszcze mu o niej nie mówiłam. – Czerwienię się. – Wczoraj, kiedy rozmawialiśmy przez telefon, uznałam, że to nie jest odpowiedni moment.

Wieczorem Jonas i ja przeprowadziliśmy przysparzającą o szybsze bicie serca rozmowę o tym, jak za sobą tęsknimy i że nie możemy się doczekać wyjazdu. Jonas w sposób bezpośredni i bardzo wylewny mówił o swojej tęsknocie i pragnieniu zobaczenia mnie. I, cóż, że chce mnie pieścić. I całować. Lizać. Kochać się ze mną. Dlatego jakoś nie pasowało mi, żeby w takiej chwili wspominać o rozmowie z Georgią.

Kat spogląda na mnie sceptycznie.

– Wydawało mi się, że jest zestresowany, bo przed naszym wyjazdem koniecznie chciał domknąć umowę. Uznałam, że lepiej zrobię, jeśli powiem mu o tym nazajutrz, twarzą w twarz.

Kat wymownie bierze długi łyk piwa.

Ja wzdygam z rozdrażnieniem.

– No dobra, masz rację. Trochę się boję, że będzie na mnie zły, że poszłam z nią porozmawiać.

Wywraca oczami.

– A dlaczego, na Boga, miałby być zły?

Znowu wzdygam i zastanawiam się. Nie, to też nie to.

– Nie wiem. Mam wrażenie, jakby ta rozmowa z Georgią wiele zmieniła. Po niej... Po prostu pociąg, jaki czuję do Jonasa, osiągnął kompletnie nowy poziom. I wolę z nim o tym porozmawiać nie przez telefon. – Czerwienię się.

Kat piszczy.

– Och, dziewczyno, już po tobie, widzę to.

Wzdygam.

– No taak, trochę mi odbiło na jego punkcie, i trochę się tego boję.

– Och, Sarah, tylko za dużo nie myśl. Po prostu ciesz się. Ten twój Jonas wydaje się...

Sapię i łapię Kat za rękę, a ona natychmiast milknie.

Programista właśnie podszedł do baru od jej strony.

Kiwam głową w jego kierunku, ale nie jestem pewna, czy Kat rozumie, co próbuję jej zakomunikować.

Gość siada na stołku obok niej i wita się przyjacielskim „cześć”. Kat odpowiada tym samym. Ja najwyraźniej jestem niewidzialna, ale dobrze się składa, bo i tak najchętniej wczłogałabym się teraz do jakiejś mysiej dziury.

Wow, programista jest dzisiaj całkiem dziarski. Zupełnie nie przypomina tamtego samotnego faceta, którego widziałam, gdy wychodził z biura na lunch. Ten tutaj aż tryska energią i podekscytowaniem.

Stukam kolanem w kolano Kat. Kiedy na mnie spogląda, mówię bezgłośnie: „To on”.

Kat robi wielkie oczy, wciąga ostro powietrze.

– Kibicujesz Kentucky czy Connecticut? – pyta programista, pokazując na mecz koszykówki, który leci w jednym z telewizorów wiszących nad barem. Gdy porusza dłonią, na jego nadgarstku wyraźnie dostrzegam żółtą bransoletkę.

– Uch. Ani tym, ani tym. Nie interesuję się koszykówką – odpowiada Kat. Dopija ostatnie krople piwa.

– Mogę ci postawić kolejną? – pyta programista.

Zaraz, zaraz, do jasnej ciasnej, czy gość nie zna zasad Klubu? Kat nie ma żółtej bransoletki. Dlaczego do niej uderza? I nawet gdyby była w Klubie, a nie jest, to ona decyduje, czy chce do niego podejść, czy nie.

– Jasne – zgadza się Kat. – Dzięki.

No, nie wierzę. Aż mam ochotę pacnąć się w czoło. Dlaczego Kat przyjęła ofertę? Znowu walę ją w kolano pod barem, chociaż tak naprawdę chcę ją strzelić przez łeb. Odwraca się do mnie i wzrusza ramionami niewinnie. Cała Kat. Przyjęłaby darmowego drinka nawet od Teda Bundy'ego.

– I tobie też, oczywiście – rzuca programista, szczerząc się w moją stronę. – Cześć.

A więc chyba jednak nie jestem niewidzialna. Próbuję się uśmiechnąć i kiwnąć głową, ale jestem zdezorientowana. Co tu się dzieje, do diabła? On nie powinien teraz z nami rozmawiać. W każdej chwili może tu wejść specjalnie do niego dobrana kobieta. Kobieta doskonale do niego pasująca, z podobnymi preferencjami seksualnymi i fantazjami, taka sama jak on romantyczka. I ta kobieta przyjdzie tu, żeby się z nim spotkać. Cholera, być może już jest, przygląda się mu i decyduje, czy chce wsunąć na rękę żółtą bransoletkę i się ujawnić, czy raczej odwrócić na pięcie i czmychnąć.

Umysłnie pokazowo sprawdzam godzinę na zegarku, żeby Pan Żółty widział, że nie mam – podkreślone „nie” – żółtej bransoletki.

– Kat – rzucam. – Zdaje się, że padł mi zegarek. Która jest teraz? – Jeszcze raz podnoszę rękę, specjalnie dla mojego programisty. Widzisz? Nie ma bransoletki. Mam nadzieję, że Kat złapie, o co mi chodzi, i też pokaże swój nagi nadgarstek.

Ale nie ma czasu nawet na przetworzenie mojego pytania, bo gość wcześniej zerka na własny zegarek.

– Dziewiętnasta pięć – mówi.

Barman stawia przed nami dwa duże piwa.

– Wielkie dzięki – rzuca Kat do Pana Żółtego, podnosząc kufel. – Na zdrowie.

– Na zdrowie – odpowiada programista z entuzjazmem.

Próbuję wydusić uprzejme „dziękuję”, ale z moich poruszających się ust nic się nie wydobywa. Jestem naprawdę nieźle zdenerwowana.

Wszyscy, oprócz mnie, upijają piwa.

Rozglądam się. Czy Panna Żółta tu jest? Szukam samotnej kobiety wyglądającej normalnie, ale słodko. Być może to pielęgniarka, prawniczka, dentystka albo programistka, która uważnie obserwuje Pana Żółtego z rogu baru? Nie, nic. W całym lokalu nawet jedna kobieta nie zwraca na niego uwagi.

Facet nachyla się do Kat, jakby zamierzał zdradzić jej jakąś tajemnicę.

– No więc, krzyżuję palce u rąk i nóg w tej chwili, żeby się okazało, że jesteś z Klubu? – Jego mina wyraża nadzieję i podekscytowanie.

O Boże, czy on naprawdę o to zapytał? Nie przeczytał słowa z instrukcji z pakietu powitalnego? Jak może nie rozumieć, na czym to polega? Przecież jest programistą, do diabła! To nie aż takie trudne. Na serio myśli, że każda laska w tym barze przyszła tu specjalnie dla niego? Nie chcę być zbyt okrutna, no ale sorry. Klub dopasowuje ludzi, na tym polega cała rzecz, a Kat to pieprzona dziesiątka. Gorąca, szalona, niekwestionowana dziesiątka. Każdy facet na tej planecie chce taką kobietę jak Kat. Nie istnieje nikt, nie ma takich standardów w jakiegokolwiek kulturze, które nie uznałyby, że jest idealną manifestacją doskonałej urody. A ten gostek... No tak, jest słodki. Bezpretensjonalny. Normalny. Ale wiecie, co najwyżej czwórka. No może piątka w lepszy dzień. I jeśli nie jest właścicielem imperium prasowego albo nie wymyślił Internetu, lub nie odkrył Justina Timberlake'a, albo nie należy do Lekarzy Bez Granic, jego szanse u Kat są mikroskopijne, prawdopodobnie zerowe. Klub może się przechwalać, że potrafi zmieniać marzenia w rzeczywistość, ale przecież nie wodę w wino, no ludzie. Wow, trochę mnie poniosło.

Kat wierci się na stołku i zerka na mnie. Jej mina mówi, że jest totalnie zdezorientowana.

– Nie – odpowiada. – Wpadłam tylko na piwo z przyjaciółką. Jeszcze raz dzięki za wsparcie sprawy. – Podnosi kufel w geście podziękowania. Mówi uprzejmie. To nie jest okrutne spławianie. Spławia go miło.

Ale facet mimo wszystko flaczeje.

– Och.

Biedaczyna. Ale czego się spodziewał? Że będzie Charliem, a Klub jego osobistą Fabryką Czekolady? No błagam.

Zapada krępująca cisza.

– Cóż... – rzucam, żeby przerwać niezręczny moment. I zamierzam powiedzieć coś więcej, na pewno coś kretyńskiego i wcale nie pomocnego, ale ktoś mi przerywa.

– Cześć – mówi głos po drugiej stronie Pana Żółtego. Facet odwraca się, żeby spojrzeć na osobę, która się z nim przywitała, ja robię to samo. I ku mojemu zdumieniu, przerażeniu, konsternacji i rozczarowaniu, kobieta stojąca po drugiej stronie mojego małego programisty, kobieta, która właśnie powiedziała do niego „cześć”, kobieta, która uśmiecha się do niego i trzepocze rzęsami, i otwarcie afiszuje się z tą cholerną żółtą bransoletką na rękę, to nikt inny tylko Pani Purpurowa sprzed kilku dni wstecz. Stacy. Stacy Udawaczka. Totalnie gorąca laska, którą zaledwie kilka dni temu pieprzył Jonas, marząc o tym, żeby to była ja.

Szybko spuszczam wzrok. O mój Boże, penis Jonasa był w tej kobiecie. Wzdragam się. I jego język dotykał jej... Nie mogę dokończyć myśli. Chce mi się wymiotować.

– Cześć – odpowiada mój programista, prawie piszcząc z ekscytacji. – Zapraszam, siadaj.

– Nie chciałabym przeszkadzać – oznajmia Stacy, patrząc wrogo na Kat. Dotyka włosów i znowu demonstracyjnie błyska bransoletką. – Ale miałam nadzieję, że chwilę porozmawiamy. – Ponownie przeszywa Kat wzrokiem ostrym jak sztylet.

– Nie, proszę – odzywa się Kat, pokazując gestem, żeby Stacy usiadła. – Jest cały twój. Ja tu jestem z przyjaciółką.

Spojrzenie Stacy pada na mnie i potem wraca do Kat. I w tym momencie w jej oczach pojawia się błysk rozpoznania.

– Tak, zapraszam, siadaj – mówi mój mały programista. Przykłada swoją żółtą bransoletkę do bransoletki Stacy. – Czekałem na ciebie. – Głowę ma odwróconą tyłem do mnie, patrzy na Stacy, ale sądząc po jej szerokim uśmiechu, domyślam się, że on też się do niej szczerzy. – Rob – przedstawia się i wyciąga rękę. – Dzięki, że przyszłaś.

– Miło cię poznać, Rob – odpowiada Stacy, ton jej głosu jest zalotny. – Cassandra.

Cassandra? Co do cholery?

– Lubisz koszykówkę? – pyta mój mały programista, Rob, wskazując telewizor.

– Uwielbiam – przytakuje Stacy z wdzięcznym uśmiechem. – Zwłaszcza uczelnianą. NBA raczej nie oglądam, chyba że play-offy.

– To tak jak ja! – cieszy się Rob. – Właśnie tak zawsze mówię.

– Przejdziemy tam? – pyta Stacy, wskazując narożny boks. Jej oczy na chwilę zatrzymują się na mnie i rozbłyskują, na nanosekundę, nieukrywaną pogardą.

– Jasne.

Dwa zakochane ptaszki wstają i przechodzą w róg lokalu.

– Cóż, fajnie się gadało – rzuca sarkastycznie Kat do pleców Roba, gdy ten jest już poza zasięgiem słuchu. Odwraca się do mnie, twarz ma wykrzywioną odrazą. – A niech mnie wszyscy święci – mówi. – Co ona tu robi, do diabła?

Kręcę głową, jestem zdezorientowana. Otwieram usta, żeby odpowiedzieć, ale zaraz je zamykam. Nie mam pojęcia, co ona tu robi.

– Sarah, ona ma żółtą bransoletkę – szepcze Kat z przejęciem, jakbym nie widziała. – Myślałam, że

jest purpurowa?

Rozdziawiam usta. Nie wiem, co mam odpowiedzieć. Nawet jeśli teoretycznie Stacy przypisano dwa różne kolory (co, jak rozumiem, jest niemożliwe), jakim cudem miałyby pasować do Jonasa i do programisty? Dwóch mężczyzn będących skrajnymi przeciwieństwami pod każdym względem? To jakby powiedzieć: lubię niereformowalne męskie dziwki i prawiczków z sąsiedztwa. Dzikie maszyny do pieprzenia i facetów kochających tęczę i małe kurczaczki. Lubię gości z ostrym kompleksem Boga, którym zawsze stoi, i żebraków, którzy ślubowali przestrzegać ubóstwo, czystość i posłuszeństwo. Nie da się nawet powiedzieć, że Jonas i Pan Żółty to dwie strony tej samej monety, oni są pieprzonymi euro i pięciocentówką. To po prostu nie do pojęcia.

– Myślałam, że kolory się nie mieszają. Purpurowemu przypisuje się purpurowy, żółte są z żółtymi.

– I tak jest. Purpurowi nawet nie widzą zgłoszeń żółtych. Wszystko jest odseparowane kodami kolorów.

– W takim razie, jakim cudem ta kobieta pojawiła się na spotkaniu zarówno z Jonaszem, jak i z Panem Programistą?

Sama właśnie się nad tym zastanawiam.

Obok Kat przy barze siada jakiś facet. O rany, jest naprawdę niczego sobie.

– Hej – rzuca. – Cameron. – O kurde, jest dokładnie w jej typie. Ciemny, atletyczny. Błyszczące białe zęby.

– Hej – odpowiada Kat, z miejsca zapominając o zagwozdkę pod tytułem, dlaczego na spotkanie z Panem Żółtym przyszła Stacy. – Kat. – Wyciąga rękę i Cameron nią potrząsa.

– Cat? Jak miauu?

Śmieje się. Och, włączyła już pełen tryb flirtowania. – Tak, ale przez „K”. Katherine. Ale mów mi Kat.

– Miło cię poznać, Kat. Mogę cię nazywać Kitty Kat?

Kat chichocze.

– Nigdy w życiu, przynajmniej jeszcze nie teraz. Musisz sobie zasłużyć na ten przywilej.

Ledwie się powstrzymuję, żeby nie przewrócić oczyma. Och, Kat.

– Idę do łazienki – mamroczę, zsuwając się ze stołka.

Kat odrywa wzrok od nowego adoratora tylko na moment, żeby skinieniem głowy dać znać, że zarejestrowała, że odchodzę.

Zerkam ukradkiem na mojego małego programistę – Roba. Siedzi przy stoliku, szczerzy się od ucha do ucha, pogrążony w rozmowie ze Stacy. Albo z Cassandrą. Lub jakkolwiek brzmi jej imię. Twarz mu promienieje ekscytacją. Och, trudno na to patrzeć, serce ma na dłoni. Robi mi się niedobrze. Nie potrafię rozszyfrować sytuacji. Ale cokolwiek się dzieje, nie wróży to dla niego nic dobrego. Rob przyszedł tu dziś po miłość, wiem, że tak jest, i coś mi mówi, że będzie srodze zawiedziony. Jeśli nie załamany.

W łazience wciąż mam gonitwę myśli. Jestem skołowana.

Akurat gdy wycieram ręce w papierowy ręcznik, drzwi otwierają się i do środka wchodzi Stacy.

Idzie prosto do mnie. Nawet nie udaje, że przyszła się załatwić. Pochyla się i sprawdza, czy w którejś z dwóch kabin widać czyjeś nogi. Nikogo tam nie ma. Stacy prostuje się i nachyla do mnie.

– Widziałam ciebie i twoją przyjaciółkę na miejscu spotkania z tamtym ciachem, i znowu teraz. Rany, jaki zbieg okoliczności, wy znowu tu jesteście, obie, na spotkaniu z tym dupkiem. Co się dzieje, do cholery jasnej?

Zaniemówiłam. Mój umysł nie działa dostatecznie szybko, żebym mogła wymyślić jakieś wytłumaczenie na naszą obecność w obu miejscach. Ale dlaczego Stacy tak się ciska? Co ona robiła w obu tych miejscach?

– Agencja cię przysłała? – warczy. Brzmi to bardziej jak oskarżenie niż pytanie.

Otwieram usta, żeby odpowiedzieć.

– Uważają, że nie dam sama sama rady z tym chłoptasiem, tak? Myślą, że potrzebuje dodatkowych

opcji, w razie gdybym mu się nie spodobała? Gówno prawda. – Stacy aż się gotuje ze wściekłości. – Nie potrzebuję rezerwy. Jeszcze nigdy mi się nie zdarzyło, żeby facet mnie odrzucił. Nigdy. A ten tu już się na mnie ślini, jak wszyscy inni.

Potrząsam głową.

– Nie, ja...

– To mój teren – syczy, robiąc ku mnie złowrogi krok. – Uznali, że w ramach rezerwy powinni przysłać nie jedną, ale dwie dziewczyny?

– Nikt nas nie przysłał. To tylko zbieg okoliczności – udaje mi się wreszcie wydusić.

– Ha! Pierdol się – warczy przez zęby, wydymając płatki nosa. – Powiedz tym w agencji... to Oksana was przysłała?... powiedz Oksanie, że to jest moje konto, mój teren, mój facet. I nie potrzebuję, żeby ktoś mnie sprawdzał albo przysyłał mi tu jakieś drugorzędne ochłapy. – Nachyla się do mojej twarzy, oczy ma zaciśnięte w szparki. – Nie próbuj ze mną pogrywać, dziwko. – I potem odwraca się na pięcie i wychodzi, a ja zostaję z szeroko rozdziawionymi ustami.

Zerkam na budzik. 3.20. Alarm ma się włączyć za dziesięć minut. Nachylam się i wyłączam budzik. Jęczę. Jonas ma po mnie przyjechać już za około godzinę, a ja przez całą noc nie zmrużyłam oka. Od chwili gdy się położyłam o północy, cały czas przewracałam się w łóżku, w głowie miałam mętlik, rozmyślałam o okropnym starciu ze Stacy w łazience i o okropnych implikacjach tego, co mi powiedziała. Najgorsze ze wszystkiego, rzecz, która przede wszystkim nie dawała mi zasnąć, było zastanawianie się, jak ja o tej całej sytuacji powiem Jonasowi. Byłam taką idiotką, że zatrudniłam się w tej odrażającej organizacji. Nic dziwnego, że kobiety w Klubie są tak doskonale kompatybilne z mężczyznami. Płaci im się za to, żeby były. Stacy, lub jakkolwiek brzmi jej imię, to zwykła prostytutka, to jasne jak słońce. Za odpowiednią opłatą będzie idealną partnerką dla każdego. Wiele godzin leżałam tak w łóżku, gapiłam się w sufit i uświadamiałam sobie w pełni powagę sytuacji.

Idę do łazienki i myję zęby. Strasznie boli mnie głowa.

Pracuję dla internetowego burdelu. Globalnego burdelu. Już samo to jest okropne. Ale ci mężczyźni wykupujący usługi tych kobiet nawet nie wiedzą, co kupują. Biedny programista wstąpił do Klubu, żeby znaleźć miłość, tego jestem pewna. Myślał, że Klub to droga, ekskluzywna agencja randkowa, naprawdę tak myślał. I nawet ktoś taki jak Jonas, mimo że nie zapisał się do Klubu, bo chciał znaleźć bratnią duszę, na pewno oczekiwał uczciwości ze strony partnerek.

Jonas się wścieknie. Pewnie poczuje się upokorzony. I najprawdopodobniej będzie zniesmaczony. Nie znam go na tyle dobrze, żeby przewidzieć, jak zareaguje. Na myśl o przekazaniu mu tych informacji odczuwam fizyczny ból. Nie chciałam tego robić przez telefon wczoraj, gdy wróciłam, więc się powstrzymałam, ale z pewnością nie chcę też zrzucić na niego takiej bomby podczas wyjazdu. Może jednak powinnam była do niego zadzwonić zaraz po powrocie? Ale nie, czułam po prostu, że nie będzie dobrze, jeśli powiem mu o tym przez telefon.

Wskakuję pod prysznic, w głowie mi się kotłuje, tak jak przez całą noc.

Po powrocie z baru odchodziłam od zmysłów, zastanawiając się, co zrobić. Po jakimś czasie napisałam do Jonasa SMS-a, tylko po to, żeby sprawdzić, czy jeszcze nie śpi, może miałam nadzieję, że zadzwoni i ułatwi mi decyzję, czy mam mu powiedzieć przez telefon, czy nie. Odpisał od razu, że nie może się doczekać, kiedy mnie wreszcie zobaczy, że dostaje świra z tęsknoty, że ma wrażenie, iż minął miesiąc od czasu, gdy trzymał mnie w objęciach.

„Jeszcze tylko kilka godzin! – napisał. Ale nie zadzwonił.

„Do zobaczenia wkrótce!” – odpisałam.

„Mam ci do powiedzenia coś niesamowitego!” – odpisał. – „Buhahahaha!”

Ze zdenerwowania dostałam skurczu żołądka. Ja też, pomyślałam. Ale w odpowiedzi napisałam: „Nie

mogę się doczekać”.

# Rozdział 8

## Jonas

Nie sądziłem, że to możliwe, ale przez te trzy dni, gdy się nie widzieliśmy, zapomniałem, jaka jest piękna. Otwiera mi drzwi, a ja czuję się tak, jakbym wracał do ukochanej po długiej krwawej wojnie. Nie mogę się powstrzymać, biorę jej twarz w dłonie i namiętnie ją całuję. Jaki ona ma cudny smak. Miętowy.

– Witam pierwszego dnia w Klubie Jonasa Faradaya – mówię, kiedy udaje mi się wreszcie od niej oderwać.

Kiwa głową i uśmiecha się. Ale uśmiech nie jest tak promienny, jak oczekiwałem. Coś jest nie tak. Czuję to. Czyżby miała jakieś wątpliwości w związku z wyjazdem? Myślałem, że mamy już za sobą to całe: „Nie ufam ci, bo nie jesteś zdolny nawiązać intymnych relacji z drugim człowiekiem”. Cholera. Co jeszcze mam zrobić, jak się odkryć jeszcze bardziej, żeby poczuła się bezpiecznie? Kończą mi się pomysły.

– Tak się cieszę, że jesteś – mówi i zarzuca mi ręce na szyję. Przyciąga mnie do siebie i całuje w usta, co jasno wskazuje, że zdecydowanie nie nabrała wątpliwości co do naszego wyjazdu. Ale wiem, że nie zdawało mi się, kiedy przed sekundą widziałem cień niepokoju przemykający po jej twarzy.

– Jonasiu – mówi i znowu mnie całuje. – Tak bardzo się za tobą stęskniłam. – Może zwariowałem, ale odnoszę wrażenie, że jest bliska rozplakania się. Taak, coś się jednak kołacze po tej pięknej główce, tyle że to nie nowina.

– Wszystko w porządku? – pytam, zmuszając ją, żeby na mnie popatrzyła.

Potwierdza skinieniem głowy.

– Tylko tak strasznie się cieszę, że cię widzę. – Całuje mnie kolejny raz, aż przechodzą mnie ciarki.

– Jeśli dalej będziesz mnie tak całowała – mamrocze w jej usta – nie zdążymy na samolot.

Odrywa się, ale niechętnie.

– Zamierzasz mi powiedzieć, dokąd jedziemy?

– No, no, no – rzucam, unosząc palec. – Wszystko wkrótce się wyjaśni. – Pokazuję na walizkę przy drzwiach. – To wszystko?

Kiwa głową.

– Och i jeszcze to. – Podnosi z kanapy laptop.

Wyjmuję go z jej rąk i odkładam z powrotem.

– To nie.

– Pomyślałam, że może w wolnej chwili przejrzę notatki.

Uśmiecham się. Nie będziemy mieli wolnych chwil. Czy naprawdę muszę to mówić?

Czerwieni się.

Wygłąda, że nie muszę.

– W takim razie żadnego komputera – zgadza się. Usta układają się jej do półuśmiechu mówiącego „no, gdzie ja mam głowę, naprawdę”.

– Cieszy mnie, że tak posłusznie od samego początku stosujesz się do instrukcji.

– Umowa to umowa – odpowiada. – Za bycie w twoim klubie płacę fortunę, więc wolę nie ryzykować.

– Śmieje się, wyraźnie wciąż rozbawiona formą „zapłaty”, jakiej od niej zażądałem.

– Paszport masz? – upewniam się.

Klepie torebkę.

– Dostarczono mi go wczoraj wieczorem, tak jak obiecała Georgia.

– No to chodźmy. – Biorę jej walizkę i wychodzimy do czekającej na dole limuzyny. Kierowca wysiada i chowa walizkę do kufra, ja prowadzę Sarah na tylne siedzenie. Kiedy się pochyła, żeby wsiąść, w mojej pamięci natychmiast pojawia się wspomnienie naszej ostatniej jazdy.

– Niespodzianka – woła Josh.

Sarah jest zaskoczona.

– Cześć, Josh – przedstawia się mój brat, wyciągając rękę. – Brat Jonasa.

– Och, tak, naturalnie – rzuca Sarah, odwracając się do mnie. Jest kompletnie skołowana. – Widziałam twoje zdjęcie. Miło cię poznać. Nie wiedziałam...

– Chcesz powiedzieć, że Jonas nie uprzedził cię, że z wami jadę? – Josh patrzy na mnie z oburzeniem.

– Dlaczego jej nie powiedziałeś, braciszku? Tak nie wypada. – Zwraca się do Sarah. – Zachował się bardzo nieładnie.

Wzruszam ramionami.

– Musiało mi wypaść z głowy. – Biorę Sarah za rękę. – Mam nadzieję, że ci nie przeszkadza. Z Joshem jest wesoło.

– Och – stęka. Cholera, jest urocza. – Nie, ja... to wspaniale.

– Świetnie – mówi Josh. – Bo zaplanowaliśmy z Jonasem mnóstwo rozrywek. – Przybija ze mną piątkę. – Będziemy się świetnie bawić, braciszku.

Sarah jest wyraźnie zszokowana. Zatkaną ją.

Josh nachyla się do niej.

– My nigdy nigdzie nie jeździmy bez siebie. Nigdy. To przez to, że jesteśmy bliźniakami. – Puszczą oko.

Sarah blednie. Jej dłoń w mojej sztywnieje.

Josh wygląda tęsknie przez okno, gdy limuzyna rusza spod bloku.

– Taak, będzie cudownie. Przez cały weekend będziemy nierozłączni.

Gdybym na nią teraz dmuchnął, przewróciłaby się.

Ale dłużej nie mogę jej tego robić, chociaż jest taka słodka. Parskam śmiechem.

– Tylko się z ciebie zgrywamy, skarbie – mówię.

Wypuszcza z ulgą powietrze, jej dłoń rozluźnia się. Daje mi klapsa w nogę i też się śmieje.

– Chyba, że chcecie, żebym z wami pojechał? – rzuca Josh. – Bo jak tak, to wyczyszczę kalendarz, nie ma problemu. Wystarczy jedno słowo.

– Dobra, już dosyć, Josh. Więcej jej nie strasz. – Odwracam się do Sarah. Kolor wrócił już na jej policzki. Znowu oddycha. – Josh mieszkał u mnie przez te ostatnie kilka dni, kiedy pracowaliśmy nad nową inwestycją...

– ...którą w końcu domknęliśmy – dodaje Josh, kończąc moje zdanie i zerkając na zegarek – jakieś dwie godziny temu. Wydaje okrzyk radości i wyciąga butelkę szampana, który chłodzi się w lodzie.

– Podwozimy go tylko na lotnisko – wyjaśniam. – Chce złapać poranny lot do Los Angeles.

Josh nachyla się do Sarah, jakby chciał jej zdradzić jakąś tajemnicę.

– Mogłem wybrać późniejszy, ale chciałem zobaczyć kobietę, która zamieniła mojego brata w rozmiękłą papkę. – Joshowi w końcu udaje się otworzyć szampana, ja mu podaję bez słowa kieliszki.

Sarah zerka na mnie. Widać, że jest ciekawa, jak się czuję, będąc nazwanym rozmiękłą papką. Uśmiecham się do niej promiennie. Nie przeszkadza mi to nic a nic. Nie mam zwyczaju gniewać się o prawdę.



– I nie zawiodłaś mnie, Sarah Cruz – stwierdza Josh uprzejmie, podając jej kieliszek z szampanem. – Przepraszam, że cię wkręciłem. Więcej to się nie powtórzy.

– Ha – prychem. – Nie wierz mu.

– O dziwo, wcale się nie przestraszyłam, że masz z nami jechać – tłumaczy Sarah. – Ale przyznaję, że trochę mnie zbiła z tropu ta wzmianka o bliźniakach i że nigdy nigdzie nie wyjeżdżacie bez siebie. – Upija łyk szampana i oczy jej rozbłyskują. – Mniemam, jeszcze nigdy nie piłam szampana tak wcześnie... ale, hej, mam taką zasadę, że nigdy go nie odmawiam.

– Zapamiętam to sobie – mówię, odbierając od Josha kieliszek dla mnie.

– W porządku, braciszku, ty jej przekażesz wielką nowinę, czy ja mam to zrobić? – pyta.

Przykuliśmy jej uwagę. Wygląda na wystraszoną. Dlaczego ona myśli, że nowina musi oznaczać coś złego?

Ściskam jej dłoń, żeby ją uspokoić.

– Przez ostatnie dni pracowaliśmy z Joshem dzień i noc – zaczynam, ledwie panując nad podekscytowaniem. – W innym wypadku dobijałbym się do twoich drzwi niczym wilk z bajki o Czerwonym Kapturku do drzwi babci, uwierz mi.

– Czy myśmy się wczoraj w ogóle kładli? – pyta Josh.

– Nie, proszę pana, nie kładliśmy się – chociaż jestem trochę pijany z braku snu, więc ręki nie dam sobie odciąć.

– Nie, nie kładliśmy się, nie mylisz się – potwierdza Josh. Z uśmiechem spogląda na Sarah. – Dosłownie przed kilkoma godzinami zakończyliśmy papierkową robotę w sprawie umowy.

– Powiecie mi wreszcie, co to za nowina? Inaczej umrę tu zaraz z ciekawości.

– Ależ tak, oczywiście, Moja Zjawiskowa Sarah. Cierpliwości. – Nachyliam się do niej i szepczę – Przestań błagać o to, żeby wszystko toczyło się ostro i szybko, maleńka.

Czerwieni się. Cholera, ale jest urocza.

Odchrząkuję.

– Podnieście kieliszki, proszę. – Robią to i ja też. – Odgłos bębnow też by się przydał, jeśli łaska.

Josh i Sarah równocześnie zaczynają trelować i wolnymi dłońmi uderzać w uda. Josh patrzy z zachwytem na Sarah, śmieje się z jej entuzjazmu. Polubił ją, to widać.

– Niniejszym oznajmiam, że świętujemy nowy początek. – Posyłam Sarah spojrzenie, które ma jej powiedzieć, że jest częścią tego nowego początku. – Sarah, patrzysz na nowych właścicieli Siłowni dla Wspinaczy „Zdobycy Szczytów”. – Od uśmiechu bolą mnie policzki.

– O mój Boże – rzuca, jest zachwycona. Stuka się kieliszkiem ze mną, potem z Joshem. – Gratuluję wam, chłopaki. – Nachyla się i całuje mnie.

– Dwadzieścia siłowni w pięciu stanach – chwale się, po całym ciele chodzą mi mrówki. – Chcieliśmy to zrobić już od bardzo, bardzo dawna.

– Ty chciałeś – poprawia Josh. – To ty zawsze o tym marzyłeś, braciszku, od samego początku. Ja tylko zabieram się z tobą na przejażdżkę.

– Wypijmy za to, czego się chce od życia i za dążenie do tego – proponuję ze wzrokiem wbitym w Sarah. – Nieustępliwie.

Znowu stuka w mój kieliszek i posyła mi najseksowniejszy uśmiech ze wszystkich, jakimi mnie dotąd obdarzyła.

Mam w tej chwili ochotę rozerwać ją na strzępy. Zresztą, czy istnieje lepszy sposób na uczczenie najlepszego dnia w życiu? Odwracam się do Josha.

– Jesteś niesamowity, bracie, ale strasznie mi teraz przeszkadzasz, jesteś zabójcą seksu.

Josh śmieje się.

– Wybacz.

Sarah chichocze.

– Prawdopodobnie to dobrze, że jesteś i mnie chronisz Josh. Jonas wygląda, jakby miał się zaraz zamienić w Hulka.

Parskam śmiechem. Rzeczywiście czuję się teraz jak Hulk, a nawet raczej jak King Kong. O tak, zdecydowanie mam ochotę uderzyć się pięściami w pierś, przerzucić Sarah przez ramię i wspiąć się z nią na szczyt najwyższego budynku.

– No więc, to będzie coś w rodzaju inwestycji, czy chcecie raczej sami prowadzić te siłownie? – pyta Sarah.

Spoglądamy na siebie z Joshem. Tego jeszcze nie ustaliliśmy. Josh chce zarządzać inwestycją pasywnie. Chce wynająć kilku regionalnych menadżerów i dozorować interes na odległość. Ale ja pragnę uczynić z siłowni swoją pasję, centrum mojego wszechświata. W gruncie rzeczy, w chwili gdy sfinalizowaliśmy transakcję, pomyślałem, że nie chcę robić niczego innego. Już nigdy. Poczułem nagle, że wreszcie odnalazłem cel życia. Pieprzyć Faraday & Sons. Nigdy się nie wpraszałem do tej firmy, nigdy nie chciałem być jej częścią. Pieprzyć inwestycje globalne i inwestycyjne fundusze handlu nieruchomościami, pieprzyć EBIDTA i przejęcia, zarządzanie aktywami, ocenę konsekwencji podatkowych dla każdego posunięcia i kontrposunięcia. Pieprzyć to wszystko. Chcę tylko wspinać się po górach, uczyć wspinaczki i przebywać z innymi, którzy kochają alpinizm. A potem chcę wracać do domu i wspinać się na Sarah, na mój osobisty Mount Everest.

– Jeszcze nie omówiliśmy wszystkich szczegółów – mówię wolno, a Josh parska śmiechem. Obaj wiemy, jak się sprawy ułożą ostatecznie. Odejdę z Faraday & Sons. I to wkrótce.

– Jonas chce każdą minutę życia, do jego końca, poświęcać wspinaczce – wyjaśnia Josh.

Spoglądam na Sarah, rozbieram ją wzrokiem.

– Nie każdą.

Bez cienia zawahania rewanżuje mi się takim samym spojrzeniem. Po chwili wypuszcza powietrze i rozchyła usta. O tak, ona też mnie pożąda.

– Chyba że chodzi o Everest. Wtedy tak. – Dotykam jej policzka.

Oczy jej płoną.

I, o kurde, tak po prostu nagle mi staje. Gdyby nie obecność Josha, wszystkie moje plany na weekend poszłyby w zapomnienie. Tak więc chyba raczej dobrze, że jest z nami.

Przez chwilę trwa krępująca cisza, gdy ja i Sarah patrzymy na siebie, pożądanie moje i jej wysysa cały dostępny tlen w limuzynie. Dotyka mojej dłoni spoczywającej na jej policzku.

Zamykam oczy.

– O rany, wy dwoje zamienicie się w ten weekend w dwie gigantyczne kule ognia, co?

Sarah czerwieni się i opuszcza rękę.

Ja też zabieram dłoń, ale oczu nie odrywam.

– O tak, do diabła, tak będzie – rzucam. Wolno wypuszczam powietrze. – Oj będzie.

No w końcu. Jesteśmy sami. Na tyle, na ile mogą być same dwie osoby w kabinie pierwszej klasy boeinga 737, stojącego na pasie startowym i czekającego na pozwolenie na start. Ale, hej, to lepsze niż gdybym dalej miał tkwić w limuzynie z moim pieprzonym braciszkiem. Ciągłe na mnie zerkał, tak jak tylko on potrafi, kręcił głową, jakby się ze mnie nabijał. A kiedy limuzyna odjechała, przyciągnął mnie do siebie i szepnął do ucha: „Brachu, ona jest absolutnie tego warta”. A potem puścił oko.

Nie wiedziałem, do czego pije. Jest absolutnie warta wysiłku włożonego w jej wysledzenie? Ba! Absolutnie warta włamania do uczelnianego serwera? No a jak! Czy miał na myśli coś innego, coś większego, bardziej filozoficznego? Josh zwykle nie wdaje się w rozważania filozoficzne ani głębokie przemyślenia jak ja, więc mogę tylko założyć, że mówił o włamaniu. Ale nie jestem pewien. Tak czy siak, po tym jak mnie uścisnął, puścił do mnie zrozumiałe oko, pożegnał się z Sarah i odmaszerował w

kierunku swojej bramki krokiem tak szpanerskim, na jaki tylko taki cholerny przystojniak jak on może sobie pozwolić.

Samolot startuje. Biorę Sarah za rękę, ona kładzie mi głowę na ramieniu. Czuję, że drży.

– Boisz się latać? – pytam szeptem.

Wzrusza ramionami, ale nie odpowiada.

Przez kilka minut, w czasie gdy samolot osiąga odpowiednią wysokość, siedzimy w milczeniu.

Wiem, że jest nieludzko wcześnie, a Sarah powiedziała, że w nocy nie zmrzyła oka, ale mimo wszystko jest jakoś dziwnie milcząca, jakby coś ją trapiło. Chodzi tylko o lęk przed lataniem? Wątpię, ale nie chcę na nią naciskać. Powie, co się dzieje, kiedy będzie gotowa.

– Belize – odzywa się w końcu. Wzdycha i pociera nosem o moje ramię. – Wciąż nie mogę w to uwierzyć.

Niestety, nie mogłem wiecznie trzymać w tajemnicy celu naszej podróży. Wszystko się wydało przy odprawie, a Sarah zapiszczała, jakby wygrała nagrodę główną w jakimś teleturnieju. Dokładnie na taką reakcję liczyłem. Chciałbym zaszokować ją jeszcze bardziej i polecieć naszym firmowym samolotem zamiast komercyjnym. Po pierwsze, żebym mógł cel podróży utrzymać w tajemnicy do chwili wyjścia z samolotu, i po drugie, żebyśmy mogli polecieć bezpośrednio na miejsce i nie lądować po drodze w Houston, ale wuj w ten weekend leci naszym samolotem w interesach do Londynu.

– Zaczekaj, aż zobaczysz. Myślę, że to miejsce wyda ci się ogromnie inspirujące.

Spogląda na mnie pytająco.

W odpowiedzi tylko się uśmiecham. Nie mogę się doczekać wszystkiego, co dla niej zaplanowałem. Mam ochotę zatrzeć dłonie i roześmiać się tubalnie, jak podstępny łotrzyk, ale trzymanie jej za rękę jest takie przyjemne, że nie chcę tego przerywać.

Nachyla się do mnie.

– Muszę ci coś wyznać – mówi w końcu.

Ściska mnie w żołądku. Wiedziałem, że coś ją dręczy.

– Nawet nie wiem, gdzie jest Belize.

Zanoszę się chichotem. Denerwowała się, bo nie wiedziała, dokąd jedziemy? W końcu to jej pierwszy wyjazd za granicę. Wzdycham z ulgą.

– W Ameryce Środkowej. Leży nad Morzem Karaibskim i graniczy z Meksykiem i Gwatemalą. Ciekawostka: to jedyne państwo w Ameryce Środkowej, w którym oficjalnym językiem jest angielski, chociaż, oczywiście, mówią tam też po hiszpańsku.

Nadal trzyma głowę na moim ramieniu. Miłe uczucie.

– Jestem taka podekscytowana – mówi. Palcami wolnej ręki przeciąga po wytatuowanym napisie na wewnętrznej stronie mojego przedramienia. Już sam ten prosty gest sprawia, że zaczyna mi brakować tchu.

– Znasz hiszpański? – pytam.

– Mhy – mruczy sennie. – Moja matka jest w połowie Kolumbijką, urodzoną w Stanach, ale jej mama była z Kolumbii. Ojciec był Irlandczykiem. Kiedy byłam dzieckiem, mówiła do mnie po hiszpańsku, chociaż, oczywiście, mówi też płynnie po angielsku.

– A ojciec?

Przez chwilę milczy.

– Jest Amerykaninem. Z hiszpańsko-włoskimi korzeniami. Cruz to od hiszpańskiej strony rodziny.

– Czyli on też zna hiszpański?

– Nie, tylko angielski. Ale za to jest biegły w byciu pieprzonym dupkiem.

Nic na to nie mogę poradzić i unoszę brwi. Ale milczę. Chciałbym móc zafundować temu sukinsynowi to, co on robił innym.

Palce Sarah ponownie przesuwiają się wzdłuż napisu na mojej ręce. Wodzi nimi pieśczośliwie w górę

i w dół, w górę i w dół. Nie dziwi mnie, że to robi, chociaż nie pyta o znaczenie napisu. Podoba mi się, że o to nie pyta. Większość kobiet robi to w pierwszej kolejności, jakby to był ich ratunek, pretekst do prowadzenia rozmowy, jakby nie potrafiły wymyślić innego tematu. Ale nie Sarah. Ona w jakiś sposób wie, że moje tatuaże to nie pożywka dla pustej gadki szmatki. Ona po prostu jakoś zawsze wie.

Wypuszczam powietrze. Te jej czułe pieszczoty doprowadzają mnie do szaleństwa.

Wciąż opiera się o moje ramię, nie patrzy na mnie.

– Mama odeszła od niego, gdy miałam dziesięć lat. Albo, mówiąc bardziej precyzyjnie, uciekła. Od tamtej pory się nie widzieliśmy. Nigdy się ze mną nie kontaktował.

Jej palce przesuwają się wyżej i odnajdują biceps. Zaczyna pieścić górę ręki, pod rękawem T-shirta.

– Jego strata – mówię.

– I tak nie chcę go widzieć – mamrocze. – Nigdy.

Po minucie podnosi głowę i spogląda mi w oczy. Widać, że powstrzymuje łzy.

– Muszę ci o czymś powiedzieć – oznajmia. – W zasadzie mam aż trzy sprawy. I jedna z nich jest poważna.

Zamiera mi serce.

– W porządku – udaje mi się wydusić. – Strzelaj.

Prostuje się i wzdycha.

– Nie wiem nawet, od czego mam zacząć.

Wygląda, jakby miała się zaraz rozchorować.

Natychmiast staję się czujny.

– Po prostu mów. Jestem wyznawcą teorii, że plaster należy zrywać szybko.

Wypuszcza powietrze.

– Zacznę od złych wiadomości i przejdę do najgorszych.

Kiwam głową.

– Dobrze.

– Po pierwsze, i mam nadzieję, że to nie jest aż takie złe: we wtorek poszłam zobaczyć się z Georgią, na pocztę. I zaprosiłam ją do kawiarni na herbatę.

Parskam śmiechem. O kurczę, ale ulga. Tym się denerwowała przez całe rano?

– Sarah, ja o tym wiem. Georgia dzwoniła do mnie. Nie wiem, co jej mówiłaś, ale się w tobie dosłownie zakochała. Zadzwoiła powiedzieć, żebyś mnie złapała i nigdy nie wypuściła.

Oczy jej się rozświetlają.

– Tak powiedziała?

– No. – Nagle przychodzi mi na myśl, że szkoda, że powtórzyłem to ostatnie. Nie zrozumcie mnie źle, jestem zauroczony Sarah, ale nie chcę, żeby odniosła wrażenie, że zamierzam ją „złapać” i „nigdy nie wypuścić”. To znaczy, no naprawdę. To jest coś, do czego chyba nigdy nie będę potrafił się zobowiązać wobec nikogo, nawet kogoś tak niesamowitego jak Sarah. – No ale nieważne – rzucam, żeby szybko zmienić temat. – Nie wiem, co Georgia ci powiedziała, nie chciałbym jednak, żebyś wyrobiła sobie o mnie mylne zdanie.

– Mylne zdanie? Nie, Georgia mówiła o tobie same wspaniałe rzeczy, piękne rzeczy. – Ścisza głos. – Rzeczy, przez które zobaczyłam cię w zupełnie innym świetle.

– O to mi właśnie chodzi, nie jestem tym gościem. – Wzdycham, próbuję wymyślić, jak mam się wytłumaczyć, nie odpychając jej przy tym. – Tak się składa, że w przypadku Treya i Georgii nie jestem sobą. Ten Jonas Faraday, który się z nimi zadaje, to wyjątek, a nie zasada. Po prostu ta dwójka wydobywa ze mnie coś, nad czym nie potrafię zapanować. – Odchrząkuję, żeby oczyścić gardło. Czuję tam coraz większą grudę.

Jej oczy błyszczą.

Ja swoje podnoszę do sufitu.

– Przestań tak na mnie patrzeć. Mówię poważnie, nie mogę wszędzie i zawsze starać się być czymś zbawicielem, i nie robię tego. Nie nadaję się na bohatera, brakuje mi kwalifikacji do tej roboty.

Sarah milczy.

– No cóż, uważam, że bardzo siebie nie doceniasz – mówi w końcu, zezując w moją stronę. – I myślę, że w trakcie tej rozmowy zamieniasz się w Jonasa Faradaya Georgii, nawet jeśli sobie tego nie uświadamiasz. I jeśli musisz wiedzieć, uważam, że ta historia z siłowniami wspinaczkowymi nie dzieje się teraz bez przyczyny, to nie przypadek. Zresztą ja nie wierzę w przypadki.

Rzuca mi wszystkowiedzące spojrzenie, które mówi jasno, że to ona jest tu mądra, a ja tylko na doczepkę.

– Cóż, ja za to uważam, że jesteś wrzodem na tyłku – mówię, ale uśmiecham się.

Cholera, chciałbym mieć odwagę powiedzieć, co myślę, ale nie mam. To zbyt wiele. Ale gdybym miał, powiedziałbym: „Jesteś wszystkim, czego pragnąłem, chociaż o tym nie wiedziałem”. Ale to zupełnie co innego napisać coś takiego w kartce walentynkowej niż powiedzieć na głos, zwłaszcza, gdy nie jestem nawet pewien, co to, do diabła, znaczy. Dlatego, zamiast to mówić i wyjść na totalnego głupka, tylko ją całuję. A potem jeszcze raz i jeszcze, i jeszcze. Serce wali mi jak młotem. Gdybyśmy byli sami, zerwałbym z niej ubranie i obcałował całą, łącznie ze wspaniałą cipką. Tak bym ją wylizał, że doprowadziłbym ją do orgazmu tu i teraz, w diabły ze wszystkim, co z taką starannością zaplanowałem w Belize. Tak więc dobrze się składa, że nie jesteśmy sami. Ponieważ, Bóg mi świadkiem, od tej chwili zamierzam postępować zgodnie z planem. Żadnych wygłupów tym razem.

O ludzie, nasz pocałunek robi się namiętny. Nazbyt namiętny. Jeśli to przeciągniemy, będę ją musiał zaciągnąć do łazienki, a to się absolutnie nie może wydarzyć. Obiecałem, że wyprowadzę ją przed jaskinię w godny jej sposób. Wszystko zaplanowałem. A, na Boga, przelecenie tej cudownej laski w samolotowej toalecie zdecydowanie nie było częścią planu.

Odsuwa się, oblizuje usta.

– To nie wszystko, co mam ci do powiedzenia, Jonasie.

– No dobrze, dobrze – wzdycham. – Co jest tą drugą straszną rzeczą?

Zbiera się w sobie.

– Wydałam sześćset kilka dolarów z pieniędzy, które mi dałeś na zakupy. Przy okazji, bardzo ci dziękuję. Miałam świetną zabawę. Czułam się jak księżniczka.

Odchrząkuję.

– O rany, naprawdę chciałem, żebyś zaszalała...

– Nie, nie, to nie ta zła część. Nie będę przepraszała za niewydanie trzech tysięcy dolarów. Kwota była przesadzona, nedorzeczna. To znaczy, bardzo ci dziękuję, byłam zachwycona, ale nie będę wydawała pieniędzy tylko po to, żeby je wydać.

Uśmiecham się. Byłbym w siódmym niebie, gdyby wydała wszystko do ostatniego centa na swoje zachcianki, ale muszę przyznać, że kręci mnie, że tego nie zrobiła.

– W takim razie, co to za wielka sprawa, którą chcesz mi wyznać?

– Resztę pieniędzy z karty oddałam organizacji charytatywnej, o której ci opowiadałam. Zapewnia schronienie dla pokrzywdzonych kobiet. Poza tym kobietom udającym się na rozmowy o pracę podarowuje garsonki i inne eleganckie ubrania.

Nie mam możliwości nic powiedzieć, bo Sarah kontynuuje. Wyraźnie widać, że jest zdenerwowana.

– I jest coś, czego ci wcześniej nie powiedziałam. Ta organizacja należy do mojej mamy. – Odchrząkuje. – Założyła ją dziesięć lat temu. Prowadzi ją. O mój Boże, Jonasie, to jej całe życie, pasja. – Sarah ma na twarzy wypisane podziw i dumę. – Tak więc, formalnie rzecz biorąc, to tak, dałam pieniądze matce, ale nie, żeby je wydała na manikiur albo coś w tym stylu. Użyjcie ich, żeby pomóc potrzebującym kobietom.

Nie istnieją słowa pozwalające opisać to, co czuję w tej chwili, dlatego znowu ją całuję. A potem

jeszcze raz.

Odsuwa się ode mnie.

– To znaczy, że się nie gniewasz za te dwie sprawy?

– Gniewam? Oczywiście, że nie. W gruncie rzeczy, kiedy wrócimy, przekażę organizacji twojej matki odpowiednio wysoki datek. Przepraszam, że o tym nie pomyślałem już wtedy, gdy o niej mówiłaś. Widzisz? Mówiłem ci, nie mam kwalifikacji na bohatera.

– Dziękuję – rzuca.

– Myślałaś, że pogniewam się o coś takiego?

– Nie, może nie, ale nie byłam do końca pewna, co powiesz na to, że oddałam twoje pieniądze nie pytając cię wcześniej o zgodę – wzdycha. – I, no cóż, Jonasie, nie kupiłam też ani jednej sztuki bielizny, to ta najbardziej bulwersująca część mojej spowiedzi.

Jestem oburzony.

– Zabraniam ci się więcej do mnie odzywać.

Wybuchają śmiechem.

– Po prostu uznałam, że bielizna prawdopodobnie będzie bezużyteczna. Wolę chodzić nago, tak żebyś miał wolny dostęp do całej mnie.

– Taki tok myślenia mi się podoba – przyznaję.

Jak dotąd lawina rzekomych złych wieści okazała się niczym wartym uwagi. A przecież, sądząc po jej zdenerwowanej minie sprzed chwili, można by pomyśleć, że ma do powiedzenia coś naprawdę strasznego.

– To jak brzmi ta trzecia straszna sprawa? – dopytuję się. – Ta jest najgorsza, tak? Mam się szykować na wstrząs?

Sarah pochmurnieje.

– Tak, ta sprawa jest naprawdę zła, Jonasie. Bardzo zła. – Znowu jest roztrzęsiona.

Żołądek natychmiast zawiązuje mi się w wielki supeł.

– Pamiętasz tego programistę, o którym ci opowiadałam? – zaczyna wolno. – Tego, który wstąpił do Klubu, bo szuka miłości.

– Tak, tego, co zapisał się na miesiąc – mamrocze, przytakując ruchem głowy. Tak, tak, wiem. Tamten jest romantykiem, ja pieprzonym socjopata, który szuka tylko dostępu do nieskończonej liczby cipek. Sarah wyłuszczyła mi to już aż nadto jasno.

– Wczoraj zarezerwował pierwszą randkę w barze sportowym. Więc ja i Kat poszliśmy go szpiegować.

Nie wiem, dokąd ta opowieść zmierza, ale coś w oczach Sarah wywołuje we mnie lęk przed tym, co nastąpi dalej. Jezu, poszła z nim do łóżka czy co? Błagam, Boże, oby nie.

Sarah wzdycha. Cała drży. Potrząsa głową, nie jest w stanie mówić.

– Sarah, po prostu powiedz, co się stało. – Jestem bliski dostania pieprzonego zawału.

Znowu kręci głową.

Odsuwam się, żeby spojrzeć jej w oczy.

– O co chodzi? Cokolwiek to jest, obiecuję, że nie będę zły. – Chyba, że się z nim przespałaś. Wtedy na pewno się wścieknę. Zaraz naprawdę oszaleję. – Sarah, mów. – Pomimo starań, ton głosu mam ostrzejszy.

– Jonas, ten człowiek nie może być bardziej różny od ciebie pod każdym względem. Mówimy tu o spraniu mózgu przez Lifetime i Disneya. Serio.

Policzki mi płoną. Tak, wiem. On jest słodki, ja jestem palantem. On zapisał się na miesiąc, ja na cały rok. On wstąpił do Klubu dla miłości, ja, bo przez cały rok chcę mieć dostęp do partnerek do łóżka, z którymi nic mnie nie będzie łączyło i przy których nie poczuje się jak sukinsyn, kiedy będę je spławiał po nocy uciech. Załapałem to. Wciąż osądza mnie na podstawie mojego zgłoszenia? Myślałem, że mam to

już za sobą. A może doznała olśnienia i chce faceta z sercem na dłoni, albo uważa, że takiego potrzebuje? Co ona próbuje mi powiedzieć?

– No więc, tak czy owak, ten gość przyszedł do baru i miał złotą bransoletkę, co, jak mówię, jest całkowicie sensowne. Jeśli tobie przydzielili purpurowy, to wiedziałam, że temu facetowi musieli przydzielić kolor, który jest przeciwieństwem purpurowego. Kat i ja po prostu umierałyśmy z ciekawości, jaki rodzaj Panny Żółtej ma być prawdziwą miłością dla tego normalnego nudnego faceta.

No dobra, jestem dziwnie pocieszony tą ostatnią częścią. Jeśli czegoś się do tej pory dowiedziałem o Sarah, to że nie chce kogoś normalnego i nudnego. Chce kogoś popieprzonego, nienormalnego, a czasami nawet sprośnego. Chce dupka, którego może zbawić. Tak więc, tak naprawdę, w jakiś pokręcony sposób mnie skomplementowała. Serce trochę mi się uspokaja. Czekam.

Robi niedorzecznie długą przerwę, wyraźnie zbiera się na odwagę, żeby to z siebie wydusić, cokolwiek to jest.

– Sarah, zerwij ten plaster – sapię na granicy rozdrażnienia.

Wypuszcza powietrze z płuc.

– Kiedy Panna Żółta pojawiła się ze swoją bransoletką... – znowu wzdycha. – Jonas, to była Panna Purpurowa. Stacy Udawaczka.

Zwała mnie z nóg.

– Co? – W głowie mam sajgon. Co jest, kurwa?

Przechodzi do zreferowania przebiegu wieczoru z najdrobniejszymi szczegółami, łącznie z tym, co mówiła Stacy, gdy napadła na nią w łazience.

Przeciągam ręką przez włosy, mam wrażenie, że zaraz zemdleję.

Sarah do oczu napływają łzy.

– Niedobrze mi od tego – mówi, dławiąc się. – Przysięgam, że nie wiedziałam. – Zakrywa twarz dłońmi. – Pracuje dla pieprzonego burdelu – mówi szeptem.

Serce wali mi z prędkością mili na minutę. Jeśli mógłbym wybić pięścią dziurę w tej ścianie, zrobiłbym to, ale to niewyobrażalne w samolocie. Przeciągam ręką po twarzy. Nie mogę nawet przetworzyć tego, co słyszę.

Sara zakrywa twarz i zaczyna płakać.

Wiem, że powinienem ją pocieszyć, wiem, że właśnie to powinienem zrobić, ale mam ochotę kogoś zabić. W moim ciele kursuje tyle adrenaliny, że dobrze się składa, że jestem zapięty pasami. Wyglądam przez okno, żeby opanować rozpedzone myśli, ale bez skutku. Żołądek wyczynia salta, pięści mam zaciśnięte. Cholera jasna, rznąłem prostytutkę. Lizałem pieprzoną cipę prostytutki. Nieważne, że tylko przez dwadzieścia sekund. Lizałem pizdę do wynajęcia. Wzdragam się na tę odrażającą myśl. Mam wrażenie, jakby mój język był pokryty grubą warstwą szlamu. Dosłownie słyszę, jak duch ojca rechoce mi do ucha.

Odpinam pasy. W głowie mi wiruje.

– Zaraz wracam – mamrocze przez ramię i pędzę do łazienki. Wiem, że nie powinienem uciekać, nie powinienem zostawiać jej samej. Wiem, że powinienem pocieszyć ją i wyrazić współczucie, powiedzieć, że jakoś to załatwimy. Nie jestem zły na ciebie, powinienem powiedzieć, muszę tylko chwilę побыć sam. Ale muszę się stąd zmyć. Czuję, że będę rzygał.

Trzaskam za sobą drzwiami toalety.

Pieprzyłem cholerną kurwę. Stałem się własnym pieprzonym ojcem. Ja pierdołę.

W łazience obmywam twarz zimną wodą. Przepłukuję usta. Stoję na kiblem, przyszykowany do wyrzycania bebechów. Ale nic nie wychodzi.

Po minucie znowu przepłukuję twarz.

To karma, serio. Złe rzeczy zdarzają się złym ludziom. A poza wszystkim, w co ja się swoim zdaniem pakowałem, kiedy się zapisywałem do tego Klubu? Skąd to przekonanie, że gdzieś w świecie jest ktoś,

któ będzie chciał się ze mną pieprzyć bez żadnych oczekiwań, nic nie czując, nigdy. Jakiego rodzaju kobietę odpowiadającą tym kryteriom spodziewałem się znaleźć? No serio, co za kobieta nie marzy o niczym więcej tylko o dobrym rżnięciu i potem pospiesznym wypchnięciu za drzwi? Wiedziałem, że takich nie ma, w głębi duszy, wiedziałem. I zignorowałem tę oczywistość. Ha! Przekonałem siebie, że szukam brutalnej szczerości, ale przez cały czas szukałem kłamstw. I dostałem to, na co zasłużyłem. Dostałem to, na co kurwa zasłużyłem.

Spoglądam na siebie w lustrze. Z brwi skapuje mi woda.

Lizałem Stacy przez pięć minut, zanim zaczęła wyć, jakbym wystrzelił ją na księżyc. Jestem dobry, ale nie aż tak. I wiedziałem o tym. A potem pieprzyłem ją tak ostro, że praktycznie rozerwałem na pół, a ona udawała, że jest zachwycona. Jaką więc bajeczkę sobie wmówiłem, bym mógł wierzyć, że Stacy zapisała się do Klubu w ten sam sposób co ja? O już wiem, kobieta, która tak wygląda, nie pragnie niczego więcej, tylko być przelecaną i splawioną? Wiedziałem, że coś jest nie tak, kiedy wyszła bez słowa. Wiedziałem, że się oszukuję. Ale nie obchodziło mnie to. Josh powiedział, że jego członkostwo to „najlepiej wydana forsa w życiu”. Do jakiego pieprzonego Klubu on wstąpił? Bo ja wiedziałem od początku, że zapłaciłem Klubowi za to, żeby mnie oszukiwał. W głębi duszy wiedziałem. Cóż, teraz dostaję dokładnie to, na co zasługuję.

Zalewa mnie wspomnienie – obraz, o którym całe życie próbuję zapomnieć. On przywiązuje jej nogi i ręce do ramy łóżka. Z nosa leci jej krew.

Zaciskam dłonie na metalowej umywalce, próbując się uspokoić, próbując nie dopuścić reszty obrazów do głowy, ale nie mogę ich zatrzymać. Wałą we mnie.

Kładzie się na niej siłą, spodnie wokół kostek, owłosiony tyłek odsłonięty. Ona krzyczy. Ja chowam się głębiej za jej sukienkami w szafie, ale nie mogę odwrócić wzroku. Zastaniam uszy, ale mimo to wciąż słyszę jej mrozące krew w żyłach wrzaski. Uderza ją w twarz i pochyla się, żeby wciągnąć spodnie. Ona wykorzystuje ten moment, żeby zerknąć na mnie w mojej kryjówce. Jej niebieskie oczy są dzikie. Kręci gorączkowo głową. Nie wychodź, brzmi jej bezsłowne polecenie. Zostań tam. Ale nie musi mi tego mówić. Nogi mam sparaliżowane już od chwili, gdy wciągnął ją do pokoju, szamoczącą się i krzyczącą.

Oblewam włosy wodą i pozwalam, żeby skapywała na twarz. Gapię się na siebie w lustrze. Teraz już widzę swoje oczy patrzące na mnie z odbicia. Obrazy z przeszłości odeszły, przynajmniej na ten moment.

Cóż, pewnie nie dam rady ukrywać się wiecznie przed prawdą o sobie. Taak, tak jak chce Josh, mogę chodzić w eleganckich garniturkach, chociaż ich nienawidzę. Mogę ćwiczyć trzy godziny dziennie i rzeźbić ciało, żeby wyglądało perfekcyjnie. Mogę czytać i czytać, próbować osiągnąć oświecenie, ale nigdy nie zmienię tego, co zrobiłem.

Czuję napływające łzy, ale nie pozwolę im popłynąć. Nawet jeśli byłbym cipowatym mazgajem, a nie jestem, nawet gdybym był mięczakiem, jak zawsze nazywał mnie ojciec, nigdy nie pozwolę sobie rozpłakać się w pieprzonym kiblu w samolocie. Zresztą nie jestem cipowatym mazgajem ani mięczakiem, więc nie ma o czym dyskutować.

Gdybym wiedział, że ma ten nóż, może zachowałbym się inaczej. Może nie zostałbym w tej szafie, ukryty za sukienkami, sparaliżowany strachem. Może przynajmniej spróbowałbym go od niej odciągnąć. Może wtedy wszystko potoczyłoby się inaczej.

Rozpinam spodnie i odlewam się.

Dostaję dokładnie to, na co zasługuję. Chciałem brutalnej szczerości, co? Czegóż prawdziwego? Prycham kpiąco. Okłamywałem sam siebie. Za te swoje ćwierć miliona chciałem kupić sobie cipę, proste jak drut. Zwyczajnie chciałem zagłuszyć ból, tak jak zawsze robił ojciec. Niby skąd miałyby się brać te zagłuszające ból cipki? Z raju cipek? Wyczarowane przez Wrózkę Cipkę? Nie interesowało mnie to. Nie obchodziło mnie nic i nikt, tylko zagłuszenie bólu. I mam za swoje. Zresztą, jaki chory fiut wstępuje do seksklubu na pieprzony rok? Josh zapisał się na miesiąc dla zabawy, na małe wakacje, a ja jestem chorym popaprańcem, który zapisał się na pierdolony rok? Kurwa, co jest ze mną nie tak? Nie jestem normalny.



Zasuвам rozporek.

Myję ręce.

Wycieram oczy.

Dostaję dokładnie to, na co zasługuję.

Kiedy siadam z powrotem na swoim miejscu, spogląda na mnie wyczekująco, łyżki leją jej się strumieniami po twarzy. Wygląda na o połowę młodszą niż jest. Taka mała i bezbronna. Jeszcze przed zapięciem pasów, jeszcze zanim zdąży się odezwać, ujmuję jej twarz w dłonie i całuję ją mocno. Łka w moje usta, oddając pocałunek.

Po jakiejś chwili odsuwa się.

– Powinnam ci była powiedzieć, zanim utknąłeś ze mną w samolocie, żebyś mógł odwołać wyjazd, gdybyś chciał.

Wypuszczam powietrze ze zniecierpliwieniem. To ostatnia rzecz na świecie, o której teraz myślę.

– Nic i nikt nie zmusiłby mnie do odwołania wyjazdu z tobą. Ani to, o czym mi powiedziałaś, ani nagła zagłada świata, ani nawet pierdolona apokalipsa. Nic. Chcę być tu z tobą teraz, w drodze do raju, bardziej niż czegokolwiek na świecie, i teraz bardziej niż kiedykolwiek. – Znowu ją całuję, a ona rozplątywa się w moich objęciach.

– Po prostu daj mi trochę czasu, dobrze? Nie wiem, jak wyjaśnić to wszystko, o czym teraz myślę, wszystko, co czuję. To skomplikowane.

– Dobrze – zgadza się potulnie. Ma czkawkę, próbuje zdusić płacz.

– Sarah, nie jestem zły na ciebie. Słowo. – Odgarniam lok mokrych włosów, który przykleił się jej do policzka. – Jestem zdegustowany, wściekły, zawstydzony. Ale nic z tego nie ma związku z tobą.

– Przepraszam – mówi. – Nie wiedziałam. Nigdy nie przyjąłabym tej głupiej roboty, gdybym wiedziała.

– Wiem o tym. Po prostu daj mi trochę czasu, żebym się zastanowił. Nie mogę teraz rozmawiać z tobą o wszystkim. Po prostu nie mogę.

Zaciska usta w wąską linijkę i kiwa głową.

– Nie chodzi o ciebie. Czasami mam problem z wyrażeniem uczuć na głos. Potrzebuję trochę czasu, że sobie wszystko przemyśleć. Może posłuchać muzyki. To ją wykorzystuję, kiedy chcę sobie poukładać uczucia.

– W porządku – powtarza. – Rozumiem cię. – Już nie mówiąc nic więcej, składa całusa na moim policzku, bierze mnie za rękę i opiera mi się na ramieniu. Jej palce zaczynają podążać delikatnie po wytatuowanym napisie na moim przedramieniu, wolno wspinając się do bicepsa.

Sięgam po swój telefon i słuchawki i przeszukuję bibliotekę z muzyką. Arctic Monkeys. Zakładam słuchawki i opieram się na fotelu.

Muzyka mnie uspokaja.

Dotyk Sarah też.

Znowu zaczynam oddychać normalnie.

Co takiego Sarah powiedziała w tej odręcznej notatce, tej, którą włożyła do paczki powitalnej? „Gdybym chciała Cię okłamywać, jak wszyscy inni, bo tego oczekujesz, choć wmawiasz sobie, że oczekujesz czegoś innego, sprawy mogłyby się potoczyć inaczej”. To jasne, że mnie przejrzała, już na samym początku, czyż nie?

Jej dłoń przestaje się poruszać. Odkłada ją na swoje udo.

Taa, poznała się na mnie od razu.

„Mimo to życzę Ci jednak,” napisała, „żebyś pewnego dnia zdał sobie sprawę z jednego: to, czego chcesz i to, czego potrzebujesz, to zupełnie różne rzeczy”.

Jej głowa na moim ramieniu osuwa się w dół. Zaglądam w jej cudowną twarz. Wyłączyła się jak światło. Zamykam plik z muzyką i przez chwilę się jej przyglądam. Uwielbiam kształt jej ust. Rzęsy ma długie i gęste. Palce u rąk szczupłe, eleganckie. Ta srebrna obrączka na kciuku jest powalająca.

Wzdycham.

Podnoszę jej dłoń i całuję czule tę seksowną małą obrączkę.

Cóż, jeśli tego mi życzy, żebym odkrył, że to, czego chcę i pragnę, to zupełnie różne rzeczy, to jej życzenie nigdy się nie spełni. Bo siedząc tu z nią, czując, jak oddycha rytmicznie obok mnie, jak kosmyk jej włosów łaskocze mnie w brodę, nagle jestem zupełnie pewien, po raz pierwszy w moim życiu, że to, czego chcę i potrzebuję, to jedno i to samo. I to coś siedzi koło mnie, pogrążone w głębokim śnie.

# Rozdział 9

## Sarah

**A** niech mnie – rzucam. – Wow! O rany! – Nie mogę powstrzymać okrzyków zachwytu i radości. – Rany! Widziałeś to? Wow!

Po prawie dwunastu godzinach podróży. Dwa przeloty, postój w Houston i długa jazda jeepem po wyboistych drogach jakiegoś pustkowia. W końcu jesteśmy u celu, w ustronnym małym ośrodku wypoczynkowym w sercu belizeńskiej dżungli. Dyszę jak pies, nie tylko z ekscytacji, ale też od wspinaczki do naszej kwatery po dziesięciokondygnacyjnych chwiejnych drewnianych schodach w noc czarną jak atrament. Bo Jonas i ja mamy mieszkać w pieprzonym domku na drzewie. W luksusowym apartamencie dla nowożeńców na drzewie, ze wszystkich stron otoczonym bujnymi koronami drzew. Ja piernicę. Albo pierdołę, jak powiedziałyby Kat (*Juepucha*, jak powiedziałyby moja matka). Obojętnie, to jest po prostu, kurwa, niewyobrażalne.

Nie wiem, skąd ten nagły przypływ energii, ale ganiem po tym wielkim apartamencie, piszcząc i wrzeszcząc z zachwytu o każdym bajecznym detalu.

– Widziałeś to? – wołam, pokazując na płatki kwiatów rozsypane na białej pościeli. – I spójrz na to! – Ręczniki w łazience są skręcone i ukształtowane w idealne łabędzie. – Wow! – Kabina prysznicowa jest jeszcze większa niż kabina Jonasa u niego w domu. – O rany! – Butelka szampana chłodzi się w lodzie, czekając na nas. Ja piórkuję!

Steward otwiera dla nas szampana i odnosi walizki, a potem wyjaśnia, jak się włącza lampy przeciwko komarom i spuszcza moskitierę przy naszym łóżku, kiedy się już położymy. Jonas daje mu duży napiwek i steward wymyka się z szerokim uśmiechem na twarzy.

– Wreszcie sami – mówi Jonas, podając mi kolejny kieliszek szampana. Myślę, że to czwarty na przestrzeni tego długiego dnia.

– To najbardziej niesamowite miejsce z możliwych – rzucam, oczy mi płoną. Upijam łyk szampana. – Wow. Najlepszy ze wszystkich dzisiaj.

Jonas jest rozpromieniony.

– Nigdy nie myślałam, że kiedykolwiek w życiu zobaczę takie miejsce. – Wyglądam przez otaczające nas okna z moskitierami. Na zewnątrz jest zupełnie ciemno.

– Zaczekaj, aż zobaczysz je w świetle dnia – mówi. – Dżungla wysadzi ci mózg. – Chwyta moją rękę. – Chodź. – Wyciąga mnie na taras. Nic nie widzę w otaczającej nas ciemności.

– Co? – pytam, rozglądając się. Światło wypływa z pokoju za nami, ale gdy patrzę przed siebie w stronę dżungli, nie mogę rozróżnić ani jednej rzeczy.

Przykłada palec do ust i przekrzywia głowę w stronę końca balkonu.

– Słuchaj.

Stoję cicho, nasłuchując jakichkolwiek dźwięków w mrokach wokół mnie. Wtulam się w Jonasa, a on mnie obejmuje. Słucham. I słucham. Cóż, zdecydowanie słyszę ptaki. Tak naprawdę wszędzie dokoła. Słyszać też szelest liści, w mrokach musi być mnóstwo najróżniejszych zwierząt. Jonas znowu kładzie palec na ustach, pokazując, żebym słuchała dalej i nic nie mówiła. Tak, ptaki. Wszędzie coś się porusza.

Stoimy w bezruchu przez chyba dwie pełne minuty. Wreszcie ciemną noc przecina skrzekliwe wycie.

Głośno sapię.

– Co to...?

– Wyjec – mówi cicho z łobuzerskim uśmiechem.

Och, Jonasie.

Moment później następny skrzek, jeszcze głośniejszy i bardziej przeszywający od pierwszego. Parskam śmiechem.

– Są wszędzie wokół na drzewach. – Przyciąga mnie bliżej.

– Mała inspiracja dla ciebie, maleńka. – Całuje mnie. – Niech mały będą twoim przewodnikiem.

Grozi mi, że serce wyskoczy mi z piersi i uleci w ciemną noc jak frisbee.

– Och, Jonasie. Tu, teraz, właśnie w tym miejscu planety Ziemi, z tobą – pokazuję na kawałek podłogi, na którym stoję – to najwspanialsze dziesięć centymetrów kwadratowych na całym świecie.

Jego uśmiech rozświetla ciemną noc.

– Kiedy powiedziałaś „tropiki”, wyobraziłam sobie nas na piaszczystej plaży, pijących piña coladę – mówię.

– Taa... cóż, Belize jest sławne ze swoich plaż. Ale tym razem nie pojedziemy na wybrzeże. Zrobimy to następnym. Tym razem będziemy podziwiali dżunglę.

Następnym? Już myśli o następnym razie? Staram się zdusić pisk zachwytu, ale mi się nie udaje.

– Ale, hej, na pewno mogę ci załatwić tę piña coladę. – Spogląda na zegarek. – Tylko już nie dzisiaj. Jutro czeka nas wielki dzień. Musimy bardzo wczesnie wstać.

– Co będziemy robili?

– Chciałabyś wiedzieć, co? – śmieje się.

– Tak, chciałabym. Ale będę cierpliwa i zaczekam. Na tym wyjeździe będę robiła cokolwiek każesz, Panie-Boże-Mistrzu-Zaklinaczu Kobiet.

Kiwa głową.

– Grzeczna dziewczynka.

W przyływie nagłej wesołości robię piruet jak małe dziecko.

– To jest jak sen.

Jonas uśmiecha się od ucha do ucha. To miła odmiana po sztormowych chmurach, jakie nad nim wisały od naszej okropnej rozmowy w samolocie.

Ziewam. Nie mam takiego zamiaru, ale ziewam. Nie spałam wczoraj całą noc, a dzisiaj złapałam może dwie godziny snu w samolocie. I ten cały szampan, który dziś wypiałam, nie pomaga mi utrzymać oczu otwartych.

– Co powiesz na to, żebyśmy wzięli prysznic – proponuje Jonas – a potem poszli do łóżka?

Jest w samych bokserkach, dzięki Bogu, i widać jego prężne mięśnie. Przyglądam się, jak włącza lampy na komary po obu stronach łóżka, mięśnie na klace napinają mu się, kiedy się nachyla, żeby odstawić lampę. Ja jestem w topie na ramiączka i spodniach od piżamy w kratę, włosy związałam w kucyk i jestem czyściutka i nakremowana po naszym wspólnym prysznicu. Przyjemne uczucie po długim i brudnym dniu podróży. Kąpanie się z nim było tym razem wyjątkowo miłe, może dlatego, że byłam rozluźniona. Jakoś wiedziałam, że umyje mnie i namydli, i że o seksie nie będzie mowy. Po prostu to wiedziałam. I miałam rację. Mydlił mnie tak czule, tak delikatnie... Nie tyle mnie mył, co się do mnie modlił. Bajka.

A teraz nie mogę uwierzyć, że leżę w tym mahoniowym łożu z baldachimem w domku na drzewie w środku głębokiej mroczniejszej głośniejszej dżungli, pławię się w ciepłym nocnym powietrzu, a najpiękniejszy męczyzna, jakiego kiedykolwiek widziałam, wspina się na łóżko i zabezpiecza moskitierę dokoła nas.

– To jest jak kokon – mówi, zasznurowując moskitierę i kładąc się obok mnie. – Kokon dla dwojga.

– Podoba mi się to – mruczę, przytulając się do niego. Ma ciepłą skórę. – Kokon dla dwojga – powtarzam.

Bezpośrednio za naszym oknem w ciemności rozlega się wrzask małpy. Oboje parskamy śmiechem.

– Ten był dobry – mówi. – Notujesz sobie?

– Tak jest, sir. – Naśladuję odgłos wydawany przez małpę.

Jonas śmieje się.

– Całkiem niezłe.

Leżymy na bokach, zwrócenii do siebie twarzami, uśmiechamy się i zagubieni we własnych spojrzeniach, wpatrujemy się sobie w oczy. Po chwili Jonas pociera nosem o mój nos.

– Dziękuję, że tu ze mną przyjechałaś.

– Bardzo proszę – odpowiadam. – Ale jesteś moim dłużnikiem.

Wybuchają śmiechem.

– Jestem, zgadza się.

– Ty naprawdę nie rozumiesz pojęcia zapłaty, co? – pytam.

Szczerzy się.

Mam ochotę go pocałować. Ale tej nocy zamierzam uhonorować własne słowo i pozwolić mu przejąć dowodzenie. Jest dzisiaj moim władcą. Jego dłonie spoczywają przyjemnie na mojej talii, nie poruszają się, nie błędzą, nie domagają się więcej. Kładę mu więc rękę na biodrze.

– Jestem szczęśliwy – mówi.

Serce wyskakuje mi z piersi. Ledwie mogę oddychać.

– Ja też, Jonasiu.

Przyciąga mnie i mocno ściska. Kładę mu głowę na piersi. Czekam. Będzie się teraz ze mną kochał?

Po chwili jego palce przemykają lekko po krzywiźnie mojego biodra.

Idę w jego ślady. Moja dłoń podąża do tatuażu na wewnętrznej stronie lewego ramienia.

– To po grecku? – pytam.

– Mmm hmm – mruczy. – Starożytna greka.

– Jesteś Grekiem?

– Nie.

Czekam. Chciałam się dowiedzieć, co te tatuaże znaczą już kiedy zobaczyłam jego zatrzymujące akcję serca selfie całego ciała. Uśmiecham się tęsknie do siebie. W tamtym czasie był niczym więcej tylko wyobrażeniem. Wizją nieosiągalnej perfekcji, dziełem sztuki. Nie mężczyzną z krwi i kości, leżącym obok. Wtedy, kiedy oglądałam tamto zdjęcie, nigdy bym nie pomyślała, że będę tu leżała, dotykając jego muskularnego ramienia, odpływając w sen w jego objęciach. W pieprzonym Belize.

Znowu ziewam. Nie mogę się powstrzymać. Jestem taka zrelaksowana i taka śpiąca. Mój umysł ciągle się ześlizguje, odpływa i potem ze wstrząsem przebudza. Nie chcę zasnąć. Nie chcę stracić ani jednej rzeczy.

Moje palce znowu śledzą napis na jego ramieniu. Te słowa, cokolwiek znaczą, są kluczem do niego, wiem to. Ale jakoś od początku wiedziałam też, że mam zaczekać, aż sam mi ten klucz poda, w swoim czasie.

Odsuwa się nieco i pokazuje wewnętrzną stronę ramienia.

– To cytat z Platona – mówi. Chwilę odczekuje.

Mam ciarki z ciekawości, co powie dalej.

– Tak? – rzucam zduszonym głosem.

– „Najważniejszym i największym tryumfem człowieka jest zwycięstwo nad samym sobą”.

Puls nagle dudni mi w uszach.

– To ten sam cytat, którego użyłeś w wywiadzie z Treyem. – I domyślałam się, że właśnie to oznacza

dłuższy z tatuaży.

– Ach, czytałaś go więc, tak?

– Jakieś dwadzieścia razy. Ten wywiad powiedział mi o tobie więcej niż cokolwiek innego, co udało mi się znaleźć. A uwierz, zrobiłam bardzo dogłębny wywiad.

Przez chwilę milczy, a moje palce migrują do bicepsa. Rany, uwielbiam go tam dotykać. Ma ten rodzaj ramion, że każda dziewczyna chciałaby choć raz znaleźć się w objęciu takich. A ja tu jestem, moje marzenie stało się rzeczywistością.

– Dlaczego zrobiłaś sobie ten tatuaż? – pytam.

Milczy tak długo, że zastanawiam się, czy w ogóle odpowie.

– Bo pokonanie samego siebie to największe dążenie mojego życia – mówi w końcu. – Jest stałym przypomnieniem, że mam nad tym pracować, mam się starać. Nie poddawać.

Kiedy jest jasne, że nie będzie kontynuował, mówię:

– Co ci się przytrafiło, Jonasie?

Napina się i niespokojnie zmienia pozycję. Wypuszcza powietrze.

– Josh i ja mieliśmy siedem lat – przerywa.

Wstrzymuję oddech.

– Ojciec zabierał całą rodzinę na mecz Seahawksów, mamę, Josha i mnie. – Znowu robi przerwę.

Czekam. Światło lampy na komary migocze w pokoju, rzucając cienie na jego piękną twarz. Jakiś ptak skrzeczy głośno w dżungli, tuż za oknem. W drzewach coś szeleści.

Jego głos jest cichy, ledwie słyszalny.

– Wielbiłem ziemię, po której stąpała, chodziłem za nią jak szczeniak. Miała zwyczaj klepać mnie po głowie i mówić: „dobry piesek”, a ja udawałem, że szczekam. – Zamyka oczy, coś wspominając. – Była taka piękna. I dobra.

Boję się, że jeśli się poruszę, odezwę lub głośniej odetchnę, przełamie czar i Jonas przestanie mówić.

Otwiera znowu oczy i przez twarz przemyka mu grymas bólu.

– Była już pora, żebyśmy wyszli na ten mecz, ale matka dostała migreny. Nie chciała iść na hałaśliwy stadion.

Za naszym oknem rozlega się jakiś szelest.

Jonas posyła mi uspokajające spojrzenie.

Kiwam głową, bardzo delikatnie.

– Ojciec był wściekły. Powiedział coś w stylu: „Weź pieprzoną aspirynę, nic ci nie będzie”. Ale ja powiedziałem: „Nie, ona musi się położyć. Zostanę z nią i jej pomogę”. Kiedy dostawała migreny, masowałem jej skronie. Zawsze mówiła, że tylko mój dotyk potrafi ulżyć jej w bólu. Mówiła, że mam magiczne palce.

Oczy ma wilgotne. Dotykam jego policzka, a on wtula go w moją dłoń.

Od tego prostego gestu prawie pęka mi serce.

Mówi dalej z zamkniętymi oczami, z policzkiem na mojej dłoni.

– Tata był wkurzony. Wszedł wściekły z Joshem. Nawet się nie pożegnał. – Gładzę go kciukiem po policzku, a on otwiera oczy. Wyraz na jego twarzy to czysta udręka. – Leżeliśmy na jej łóżku, przytuleni, uwielbiałem to. Uwielbiałem, kiedy miałem ją tylko dla siebie. Masowałem jej skronie, żeby mogła zasnąć. – Cały tężeje. – Na dole rozległ się jakiś hałas, jakby coś się stłukło. Mama wyskoczyła z łóżka, ja chciałem pójść za nią, ale powiedziała: „Nie, dziecko, zostań tutaj”. Ukryłem się więc w szafie, bo się bałem. Trząsałem się ze strachu. – Z trudem przełyka ślinę. – I zanim dała dwa kroki z sypialni, pojawił się ten człowiek. Wciągnął ją z powrotem do pokoju. Szarpała się z nim i on uderzył ją w twarz, pięścią. Z nosa poleciała jej krew. – Łamie mu się głos. – Wiedziałem, że powinienem wybiec z szafy i jej pomóc, ale nie wybiegłem.

Och, jego głos. Nigdy tak nie brzmiał, jest taki słaby. Aż się serce rozdziera.

– Stałem tam tylko, wyglądając przez szparę w drzwiach, ukryty w jej sukienkach. – Nabiera powietrza, jakby wspominał zapach matki. – Związał ją. I... i... ściągnął spodnie. Pamiętam, jak wyglądał jego tyłek.

Biorę ostry wdech, przeczuwając nadejście horroru. Żołądek zawiązuje mi się w supeł.

– Krzyczała, a ja po prostu pozwoliłem, żeby to jej robił. Nie pomogłem jej. – Oczy mu błyszczą.

Nie odzywam się. Tylko czekam. Serce wali mi w uszach.

– Chciałem jej pomóc, odciągnąć go od niej... chciałem go powstrzymać. Ale był wielki i nogi odmówiły mi posłuszeństwa. Wyobrażałem sobie, że wymknę się z szafy, odszukam w garażu kij do golfa i wrócę biegiem do sypialni, i walnę go tym kijem w głowę... Ale nie ruszyłem się. – W oczach zbierają mu się łzy. Patrzy w górę, żeby powstrzymać je przed popłynięciem na policzki. – Potem pomyślałem, że usunę jej ból po wyjściu tego człowieka – moimi magicznymi palcami. Postanowiłem zaczekać i rozwiązać ją, kiedy on wyjdzie, i wszystko naprawić moimi dłońmi, jak to robiłem zawsze. – Dławi się. – Nie wiedziałem, że on ma nóż. – Jonas mruga i pomimo wysiłków, po jego policzkach zaczynają spływać duże mokre łzy. – Nie wiedziałem, co zrobi z tym nożem... to się stało tak szybko... w przeciwnym razie nie czekałbym. Gdybym wiedział, rzuciłbym się jej na ratunek w chwili, gdy ją uderzył. Zrobiłbym coś. – Łzy leją się z jego oczu i z moich też.

– Jonasie, miałeś siedem lat – mówię.

Wydaje cichy jęk.

– Powiniennem być ją uratować.

– Miałeś siedem lat – powtarzam. – Nie mogłeś nic zrobić.

– Przynajmniej mogłem próbować ją ratować. – Głos utyka mu w gardle. – Powiniennem być przynajmniej spróbować go z niej ściągnąć. – Jego ciało gwałtownie się trzęsie, spina się, żeby powstrzymać wzbierającą w nim i grożącą wydostaniem się na zewnątrz falę rozpacz. – Albo powiniennem być zginać, próbując.

– Och, Jonasie, nie. – Ujmuję jego twarz, a on roztapia się pod moim dotykiem. – Och, maleńki – mówię, przyciągając go do siebie. – Nie.

Kiwa głową, nie może mówić.

– Nie – szepczę. – Nie. – Serce rozdziera mi się z bólu.

– Gdyby nie ja, poszłaby na ten mecz, tak jak chciał ojciec. Nie byłoby jej w domu, gdy przyszedł ten człowiek. To ja powiedziałem, że powinna się położyć. To ja chciałem, żeby została w domu, żebym mógł ją mieć tylko dla siebie. Chciałem być z nią sam bez Josha, bez ojca. Chciałem wymasować jej skronie i usunąć ból. Chciałem leżeć obok w niej w łóżku. Chciałem, żeby powiedziała, że tylko ja umiem jej pomóc poczuć się lepiej. – Jest na skraju kompletnego załamania. – Gdyby nie ja... – Nie jest w stanie dłużej nad sobą panować. Rozpacz, wyrzuty sumienia, ból serca, cierpienie wytryskują z niego w jednym gwałtownym spazmie uwolnienia.

Nie ma nic bardziej poruszającego niż widok szlochającego dorosłego mężczyzny, zwłaszcza gdy ten mężczyzna zawojował twoje serce jak nikt nigdy. Tulę go do siebie, kołyszę, głaszczę, a jego udręka wylewa się z niego jak tsunami.

– To nie była twoja wina – powtarzam i powtarzam.

Cały drży, wstrząsają nim dreszcze.

– Ciii – szepczę łagodnie. – To nie twoja wina.

Po jakimś czasie uspokaja się. Jego klatka piersiowa ciężko się unosi i opada. Opiera czoło na moim, ale milczy. Jest wyczerpany.

Wyjec krzyczy w ciemnej dżungli tuż za naszym oknem.

Odsuwa się ode mnie i wierzchem dłoni wyciera oczy. Odgarnia mi kosmyk włosów z czoła.

– Czy tego człowieka zatrzymano?

– To był chłopak siostry naszej gosposi. Gosposia wspomniała, że ma dzień wolny, bo rodzina wybiera

się na mecz Seahawksów. To nie była jej wina. Nie miała z tym nic wspólnego – przerywa. – Myślał, że nas nie będzie. Przyszedł tylko po jej biżuterię. – Głęboko wzdycha. – Po prostu pech, że tam byliśmy. Pech, że okazał się psychopata. – Znowu wzdycha, wolno, starając się kontrolować oddech.

– A co z ojcem? – pytam. Wiem, że ojciec Jonasa zmarł trzynaście lat temu, gdy Jonas był siedemnastolatkiem, ale nie znalazłam w sieci żadnych szczegółów dotyczących jego śmierci. – Nie wyobrażam sobie, jak bardzo musiał być załamany.

W reakcji na moje pytanie oczy Jonasa ciemnieją. Bierze długi wdech i wolno wypuszcza powietrze.

– Ojciec nigdy się nie pogodził z jej stratą. Rozpacz... wyrzuty sumienia... zżerały go żywcem. I zamienił to w obwinianie. Obwinił siebie, obwinił mnie. Głównie winił mnie.

Potrząsam głową. To nie może być prawda.

– Nie – mówię łagodnie.

– Tak. Przez całe życie wiedziałem, że tak jest. To nie była tajemnica. Po prostu tak było. To była moja wina. Wszyscy to wiedzieliśmy. To ja ją namówiłem, żeby została.

Po plecach przebiega mi dreszcz. Co za człowiek obwinia dziecko za taki horror?

– Próbowałem odkupić to, co zrobiłem. Ale to nigdy nie wystarczało. Jak mogłoby wystarczyć?

Kręcę głową. Straszne. Nic dziwnego, że potrzebował lat terapii.

– Zmarł, gdy miałaś siedemnaście lat?

Chrząka.

Może powinnam odpuścić, zmienić temat. Ale teraz, gdy ten mężczyzna odkrył przede mną najgłębszą część siebie, strasznie chcę się dowiedzieć wszystkiego. Czekam. Ale on nic nie mówi. Już mam powiedzieć „W porządku, nie musimy o tym rozmawiać”, gdy w końcu odzywa się.

– Zabił się.

Wydaję cichy jęk. Ile tragedii może znieść jedna rodzina?

– Po prostu nie potrafił... Nigdy się nie pozbierał po jej stracie. Na początku próbował zapomnieć o tym, co się stało, rzucając się w wir pracy, poświęcił się firmie.

Jestem zaskoczona ostrością jego tonu, gdy mówi „poświęcił się firmie”, zwłaszcza że tą firmą ostatecznie stał się on sam.

– I kiedy całe pieniądze świata nie usunęły bólu, zwrócił się ku butelce, a potem ku kobietom, mnóstwu kobiet, głównie prostytutek. – Prycha gniewnie przy tej ostatniej części. – Miał sławne libido Faradayów, oczywiście, więc nie było realne, że zostanie mnichem. Poza tym nie chciał splugawić jej pamięci, czując kiedykolwiek więcej cokolwiek do drugiej istoty ludzkiej, Boże broń. – Zaciska szczękę. – Nigdy się nie przyznawał, jak wygląda prawda, udawał, że te wszystkie gorące laski lecą na niego ze względu na jego pieprzoną charyzmę, zachowywał się tak, jakby gówno nie śmierdziało do samego gorzkiego końca, ale Josh i ja wiedzieliśmy doskonale, co robi. To było obrzydliwe. – Wzdycha. – Przez prawie rok pieprzył każdą kurwę, jaką tylko gdzieś dorwał, a potem w końcu skrócił swoje męki.

Jestem oniemiała. Czy on nie widzi podobieństw między sobą a ojcem? A może widzi? Nagle dostaję gęsiej skórki.

– Firmę przejął wuj. Tamtej jesieni Josh poszedł na studia, ja po roku, kiedy poczułem się nieco lepiej.

– Oczy znowu mu wilgotnieją. – Ale obaj wiedzieliśmy, że po studiach będziemy musieli wrócić. Wiedzieliśmy, że mamy obowiązek stać się „Synami” Faraday & Sons. – Mięśnie szczęki pulsują mu.

– A ty tego nie chciałeś?

– Ojciec założył Faraday & Sons zaraz po naszym urodzeniu. Byliśmy dziećmi, a on nazwał firmę Faraday & Sons. Nigdy nie było żadnej wątpliwości, kim mieliśmy zostać. – Patrzy na sufit, zagubiony w myślach.

Gładzę go po policzku wierzchem dłoni.

Wzrok mu łagodnieje.

– Lubię sobie wyobrażać, że istnieje inna wersja mnie w formie „boskiego oryginału” unosząca się w



jakimś innym wymiarze. Niepopierdolona wersja mnie. W wymiarze, w którym ten jeden straszny dzień nigdy się wydarzył, a ja stałem się taki, jaki miałem się stać zgodnie z przeznaczeniem – wzdycha. – Człowiekiem, którym bym był, gdyby mnie beznadziejnie nie popierdoliło.

– I to o tym jest ten drugi tatuaż? – pytam, ale już wiem, że tak.

Uśmiecha się do mnie półgębkiem.

– Jesteś taka mądra, Sarah... mądrością dorównałabyś nawet Platonowi, wiesz? – Przekręca się i pokazuje prawe ramię z tatuażem. – „Wizualizuj boskie oryginały”.

Spoglądam na liternictwo. Znowu greka.

– Platon? – pytam.

Wzdycha.

– Po śmierci ojca miałem dość trudny okres. – Uśmiecha się blado, jakby to było niedopowiedzenie roku. – Kiedy wszyscy lekarze świata nie mogli mnie naprawić, zacząłem czytać filozofię. Wszystko, do czego mogłem się dorwać. Po prostu czytałem, czytałem i czytałem, próbując zrozumieć, próbując nie dostać znowu załamania nerwowego, próbując nie zwariować do końca. Miałem totalną pieprzoną załamkę po tym wszystkim z matką i odtąd stale chodziłem na terapię – i w sumie szło mi całkiem nieźle – ale potem znowu odpłynąłem po tym, jak ojciec... I ostatecznie zrozumiałem, że mówienie o pieprzonych uczuciach po prostu tym razem nie wystarczy, zwłaszcza po tym, co ojciec napisał w swoim pierdolonym liściku pożegnalnym.

O mój Boże. Co takiego ten sukinsyn napisał do mojego słodkiego Jonasa w ostatnim pożegnaniu, na które nie można było odpowiedzieć? Boję się zapytać i Jonas nie podaje żadnych szczegółów. Po krzyżu przebiega mi lodowaty dreszcz.

Wzrusza ramionami.

– Wiedziałem, że potrzebuję czegoś więcej, czegoś mądrego. Ponadczasowego. Potrzebowałem odpowiedzi. Czytałem wszystko, co mi wpadło w ręce i kiedy odkryłem Platona, nie wiem, po prostu do mnie przemawiał, zwłaszcza jego alegoria jaskini, ta, o której opowiadałem ci w limuzynie. – Uśmiecha się, oczywiście na wspomnienie naszej pamiętnej jazdy. – Nie wiem, ludzie zawsze mówią o Arystotelesie i on był wielki, jasne, ale Platon był nauczycielem Arystotelesa, wiedziałaś o tym? Platon był pieprzonym protoplastą nowoczesnej myśli, wiesz? Boski oryginał. Jego idee dały mi coś, czego mogłem się uchwycić. Coś, na czym mogłem się skupić. Miał teorie na temat wszystkiego: muzyki, nauki, śmierci, rodziny, umierania... miłości. – Czerwieni się.

Czuję, że twarz mi płonie. Serce łomocze. Znowu dotykam jego policzka.

Przekręca do mnie głowę i całuje wnętrze mojej dłoni.

– Platon był idealistą. – Słowo „idealista” wymawia, jakby to był największy komplement dla filozofa.

– Ale co to znaczy... „wizualizuj boskie oryginały”?

Spogląda na tatuaż.

– Wizualizuj boskie oryginały. – Wzdycha z nabożną czcią. – To z teorii idei Platona. – O wow, jego oczy nagle się ożywiają. Widać, że to jego pasja, cokolwiek to jest. – Platon miał teorię, że prawda, idealizm, doskonałość, to wszystko abstrakcja istniejąca oddzielnie od świata fizycznego, w którym żyjemy.

Wzruszam ramionami. Wciąż nie rozumiem.

Uśmiecha się.

– Tak naprawdę to ezoteryka. Platon uważał, że istnieją dwa światy: niedoskonały świat fizyczny, w którym żyjemy, ten, którego doświadczamy zmysłami, przepełniony cierpieniem i niedoskonałością, i także wymiar idealny, zupełnie oddzielny, świat, którego nie możemy doświadczyć, ale który mimo wszystko samoistnie pojmujemy.

– Przykro mi, ale nadal jestem totalnie pogubiona.

Uśmiecha się lekko.

– No to powiedzmy, że w świecie fizycznym widzisz drzewo. Brakuje mu kilku gałęzi. I jest kolejne, spalone w ogniu. I inne z inicjałami wrytymi w korze. Jak twój umysł rozpoznaje je wszystkie jako drzewa? Wszystkie są niedoskonałe, każde w inny sposób. A jednak umysł rozpoznaje je, wie, że to drzewa. Platon powiedział, że to dlatego, że idealna forma drzewa, abstrakcja „drzewość”, istnieje w świecie idei. I nasze umysły, nasze dusze samoistnie rozumieją i rozpoznają doskonałą „drzewość” w tych niedoskonałych drzewach, chociaż tak naprawdę nigdy nie doświadczyliśmy doskonałej „drzewości”. To do niej aspiruje niedoskonałe drzewo i nasze dusze też są przeznaczone do takich aspiracji. – Jego twarz jest rozpalona, promienieje.

Uśmiecham się do niego. Ten mężczyzna jest szokująco piękny pod każdym względem.

– No co? Dlaczego tak na mnie patrzysz?

– Jesteś takim poetą – mówię.

– Nie – zaprzecza. – Na co dzień nie jestem. – Otwiera usta, żeby coś dodać, ale zmienia zdanie.

– No to, jeśli dobrze rozumiem, twój tatuaż oznacza dążenie do idealnej formy Jonasa Faradaya, chociaż ta idealna abstrakcja nie istnieje w świecie fizycznym.

Wzdycha.

– Zasadniczo dążę do niepopierdolonej formy siebie. Moja dusza potrafi zwizualizować, kim on jest, ten idealny Jonas, mimo że moje fizyczne zmysły tego nie potrafią. I po prostu ciągle to sobie wizualizuję i aspiruję do tego.

Przekrzywiam głowę na jedną stronę. Boże, jest piękny, w środku i na zewnątrz. Jeśli ten mężczyzna nie jest ucieleśnieniem doskonałości, to nie wiem, co jest.

– Ty już nim jesteś, Jonasie. Tym idealnym sobą.

Kręci głową.

– Tak, jesteś. Jesteś doskonały, właśnie taki, jaki jesteś.

– Nie. Jestem beznadziejnie popieprzony.

– Tak, zgoda. Jasne, że tak. Od tego, przez co przeszedłeś, każdego by popieprzyło. I to ostro. Ale jesteś też doskonały i zdecydowanie nie beznadziejny. Nie ma czegoś takiego jak beznadzieja.

Nie rozumie mnie.

Podpieram się łokciem i spoglądam mu w twarz.

– Jesteś cały w bliznach, to na pewno. – Muskam go po czole. – Doświadczyłeś najgorszej rzeczy, jakiej może doświadczyć człowiek, i to w tak młodym wieku.

Odwraca wzrok.

– Jonasie. – Jego oczy powracają do mnie. – Nie jesteś drzewem. Twoim wrodzonym przeznaczeniem jest odczuwać na dobre i na złe. To oznacza, że twoja idealna forma z założenia miała być poznaczona bliznami.

Zaciska szczękę.

Wzdycham. Mam wrażenie, że nie wyrażam swoich myśli odpowiednio dobrze.

– Gdyby istniał boski oryginał Jonasa Faradaya w jakimś innym świecie, doskonała, nietknięta, niepokieszowana wersja ciebie, i tak wybrałabym tę pokieszowaną. Dlatego, że jeśli ten rzekomo idealny Jonas Faraday jest niepoznaczone przez życie, to znaczy, że nigdy niczego nie czuł. – Przetykam ciężko i patrzę mu prosto w oczy. – Jeśli nie ma blizn, to znaczy, że nigdy nie kochał – mówię. – Ani nie był kochany.

Oczy mu błyszczą.

Czuję, że za chwilę pęknie mi serce.

– To uczucia pozostawiają blizny na naszych sercach. To, że ryzykujemy. – Coś mi zaczyna tarasować gardło. – Miłość – dodaję szeptem. – Jeśli więc boski oryginał Jonasa Faradaya nie ma blizn, to nie jest jednak doskonały. – W oczach czuję szczypanie łez. To niewyobrażalne przez co przeszedł ten piękny mężczyzna. – Jonasie, jesteśmy tu na tej planecie dla jednego: żeby kochać i być kochanymi. – Zaczynam

płakać. – I po nic innego. – Wycieram oczy. – Miłość zostawia blizny.

Ostro wypuszcza powietrze. Drży. Otwiera usta, żeby się odezwać, ale rozmyśla się i je zamyka.

Kładę się z powrotem i obejmuję go, łzy płyną mi już otwarcie. Ból, smutek, radość z tego, że jestem z nim, w jego objęciach, współczucie, że przez tyle przeszedł, ciężar, jaki niósł przez całe swoje życie, to wszystko dla mnie zbyt wiele. Nagle czuję się przytłoczona emocjami.

– Nie jesteś drzewem, Jonasie, nie jesteś – mamroczę, wtulając twarz w jego pierś. Nie mogę już nawet myśleć jasno. Muszę go zmusić, żeby zrozumiał, że to nie była jego wina. Muszę sprawić, żeby zrozumiał, że jest dobry, tak bardzo dobry. Taki piękny. Jest wartościowy. Jest ludzki. Jest mój.

W ciemności wokół naszego domku na drzewie słychać jakiś szelest.

Jonas przyciąga mnie bliżej. Jest ciepły, ciało ma sprężyste. Jego ramiona, które mnie otaczają, wydają się takie silne. Nachyla się i całuje mnie, och, tak czule, a ja niewytłumaczalnie zalewam się łzami. Jego usta są lekko słonawe, może od jego łez, może od moich. Kiedy rozchyła mi delikatnie wargi językiem i wsuwa go do środka, jest tak, jakby dotykał mojej duszy.

Kiedy po raz pierwszy zobaczyłam zdjęcia z nim, kiedy po raz pierwszy ujrzałam jego zapierające dech w piersiach piękno, moje ciało natychmiast zapragnęło się z nim połączyć, wziąć go w siebie i pozwolić, aby wypełnił mnie tak całkowicie i tak głęboko, jak to tylko możliwe. Ale teraz, leżąc tu, w piżamie, wtulona w niego, w naszym małym chronionym moskitierą kokonie dla dwojga, czuję się, jakby przeniosło mnie do innego świata, innego wymiaru, jak powiedziałaby Platon. Idealnego wymiaru. I w tym wymiarze, to nie moje ciało pragnie połączenia z Jonaszem, tylko moja dusza. Tak, ma połamane gałęzie i osmoloną korę, oczywiście, i ja też. Ale nasze niedoskonałości się nie liczą. Bo w tej chwili, w tym szczególnym miejscu na planecie Ziemi, w środku dżungli, w pieprzonym Belize, jesteśmy doskonali.

# Rozdział 10

## Sarah

**O**budź się, maleńka – szepcze mi słodko do ucha.

Stękam.

– Dzień dobry – wita się. – Pobudka, skarbie. – Cmoka mnie w policzek. – Wstawaj i do boju.

Uśmiecham się, przypominając sobie naszą piękną noc bez seksu. Całowaliśmy się i tuliliśmy, i pieściliśmy, aż dłużej nie mogliśmy utrzymać oczu otwartych i zasnęliśmy głęboko w swoich objęciach.

Przecieram oczy i znowu jęcę.

– To brzmi jak efekty dźwiękowe z dżungli do filmu.

Jonas śmieje się.

– Twój głos rano jest taki uroczy, taki ochrypły. Uwielbiam go.

– Kawy – mamrocę. Zerkam na niego. Jest już ubrany, zwarty i gotowy, pali się do wyjścia. Oczy płoną mu ekscytacją.

– Śniadanie jest na tarasie, czeka na ciebie. Pora wstawać. – Praktycznie podskakuje. Nigdy go takiego nie widziałam.

Przenoszę ręce nad głowę i przeciągam się, mrużąc jak kot.

– Najlepszy sen w życiu – mówię z rozmarzeniem.

Wskakuje na łóżko i przykuca przy mnie. Energia go rozpiera.

– Wiesz, co dzisiaj jest, Moja Zjawiskowa Sarah?

Uśmiecham się do niego.

– Co?

– Dziś jest dzień, w którym spełnię twoje wszystkie marzenia.

– Już to zrobięś.

– Powiedziała dziewczyna, która całe życie przeżyła w jaskini, wpatrując się w cienie. Ha! – Przekręca mnie raptownie na brzuch, odsłania pośladki i gryzie mnie w jeden. Powaga, słowo daję, literalnie gryzie w tyłek.

Piszczę.

– Smakowitości! – zachwyca się, pohukując tubalnie. Z powrotem podciąga mi portki. – A teraz idź zrób siusiu czy się wykąp, czy zrób inną dziewczyńską rzecz, którą musisz zrobić i przyjdź na taras na śniadanie. Nasz przewodnik przyjdzie po nas za czterdzieści pięć minut.

– Przewodnik?

Bez ostrzeżenia skacze na mnie jak pantera rzucająca się na swoją zdobycz i wisi nade mną, jego naprężone naciągnięte mięśnie są wszędzie dokoła mnie.

Znowu piszczę na skutek tej napaści.

– Tak, przewodnik – mówi po prostu. Cmoka mnie w czubek nosa. – Wszystko się we właściwym czasie wyjaśni, Moja Zjawiskowa Sarah, wszystko się wyjaśni. – Jednym płynnym ruchem zeskakuje z łóżka, przekręca mnie znowu na brzuch i daje klapsa w pupsko.

Piszczę kolejny raz.

– Ruszaj się, maleńka. – Idzie skocznym krokiem w stronę balkonu. – Szkoda marnować czas! Siadam i rozglądam się. O mój Boże. Teraz, gdy jest dzień, wreszcie mogę zobaczyć źródło szelestów, ptasich treli, skrzeków i wycia, jakie słyszeliśmy w nocy.

– A niech mnie wszyscy święci – stękam. Nasz dom na drzewie jest otoczony z każdej strony gęstym, zielonym prawie surrealistycznym baldachimem z koron drzew ciągnącym się aż po horyzont. – O mój Boże.

Wyskakuję z łóżka, zauroczona dżunglą dokoła. O rany, naprawdę, naprawdę, naprawdę muszę iść się wysikać, ale patrzenie na dżunglę z bliska i osobiście jest w tej chwili o wiele ważniejsze od wszelkich czynności cielesnych. Dołączam do Jonasa na tarasie skąpanym w balsamicznym blasku wczesnego poranka.

– Niesamowite, prawda? – mówi, biorąc mnie za rękę i podprowadzając do barierki.

Usta mam rozdziawione.

– Jakbym wskoczyła do filmu o Indianie Jonesie albo do któregoś Disneya.

Jonas śmieje się.

– Dokładnie. Na Ziemi nie ma drugiego takiego miejsca jak to.

– Wow. – Lepsza odpowiedź nie przychodzi mi na myśl.

Gdzieś po naszej lewej rozlega się natarczywe płaczliwe wycie małpy.

– Zapisujesz sobie, jak to robić? – pyta Jonas, śmiejąc się.

Biegnę w stronę odgłosu, chcąc rzucić okiem na małpę, która go wydała, ale listowie jest zbyt gęste, żeby cokolwiek zobaczyć.

– Nie widzę jej – mówię z grymasem zniechęcenia.

– Nie przejmuj się, zobaczymy dzisiaj mnóstwo małp. Łatwiej je wypatrzyć z dołu. – Klaszcze w dłonie w podekscytowanym wyczekiwaniu. – Ale najpierw musisz wyszykować tę swoją smakowitą pupcię.

Patrzy na mnie jak kot szykujący się do pożarcia myszy i nagle jest niezaprzeczalnie jasne, że mój tyłek znów będzie gryziony. Piszczę i uciekam do środka, śmiejąc się, a on tupiąc głośno, biegnie za mną, złowieszczo chichocząc. Dopada mnie w przestronnej łazience, chwytając w objęcia i podnosi z łatwością, jakbym była szmacianą lalką. Ścisnąc mój tyłek z przesadzonym entuzjazmem i żarłocznie kąsa mnie po szyi.

Znowu zaczynam piszczeć. Nie mogę się powstrzymać.

– Wyborna – rzuca między ukąszeniami. – Mniam, mniam. Pyszna.

I wraz z tym czuję na udzie entuzjastyczne objawienie się jego erekcji. Stawia mnie delikatnie z powrotem na podłodze, ale dalej trzyma blisko, jego wzwód wwierca się we mnie.

– Jeśli twoja szyja smakuje aż tak, to nie mogę się doczekać, gdy dziś wieczorem spróbuję całej reszty. – Podnosi głowę i krzyczy z radością na całe gardło: – Wreszcie, wreszcie będę dzisiaj lizał, całował i ssał słodką cipkę mojej dziecińcy! – Oczy mu płoną. – Mniam, mniam, mniam. – Śmieje się i opiera czoło na moim. – Szaleństwo – mówi po prostu, patrząc mi w oczy. Uśmiecha się szeroko. – Czyste szaleństwo. Bez ostrzeżenia znowu daje mi klapsa, tym razem z dodatkową werwą (sprawiając, że piszczę) i w podskokach wychodzi z łazienki, pohukując i porykując. – Przyjdź na taras na śniadanie, maleńka. Musisz naładować akumulatory.

W co ja się wpakowałam? Jestem nasmarowana kleistą mieszanką kremu do opalania i środka przeciwko komarom, najlepszego znanego ludzkości, jak mi powiedziano, i przedzieram się przez gęsty las deszczowy po wąskim nierównym szlaku pokrytym głębokim błotem, pnączami, korzeniami drzew i śliskimi kamieniami. Miguel, nasz przewodnik, idzie w błocie przede mną i wyszukuje dla nas najmniej śliskie ścieżki. Jonas jest za mną i przypomina bez przerwy, żebym szła dokładnie po śladach Miguela,

uwagała na duże korzenie wystające z ziemi albo omijała kopce mrówek wielkości volkswagena. Dzięki Bogu kazał mi założyć buty z super głębokim bieżnikiem, inaczej pośliznęłabym się i skręciła kark już z pięć razy, albo co najmniej skręciła kostkę. To nie jest sezon deszczowy o tej porze roku, poinformował nas Miguel, ale nawet w ten rzekomo „suchy sezon”, jak go nazywa, gwałtowne ulewy spadają na ten bujny śródlądowy obszar co najmniej trzy razy w tygodniu. Stąd to chlupiące błoto, przez które obecnie nawiguję.

Co jakiś czas Miguel pokazuje na drzewo lub korzeń, które, jak mówi, posiadają właściwości lecznicze, albo na wyjątkowo pożywne orzechy nadające się do jedzenia, gdyby ktoś zgubił się w dżungli bez prowiantu. Albo zatrzymuje się, żeby pokazać prehistorycznie wyglądające drzewo z trującymi cierniami porastającymi pień. Czuję się, jakby wrzucono mnie do *Parku Jurajskiego*. Cały czas czekam, że w kadrze pojawi się T. rex i połknie mnie w całości jak tego gościa, który został pożarty, siedząc na kibelku. Miguel zatrzymał się dwukrotnie, żeby przyjrzeć się ścieżce przed nami przymrużonymi oczami i z nagłym skupieniem, a kiedy ściszone głosem zapytałam, czego szuka, odszepnął przez ramię: „Węży”. Zdanie, które przewija mi się przez głowę w niekończącej się pętli brzmi: Cholera, to się dzieje naprawdę.

Nadal nie wiem, jaki jest cel tego wszystkiego. Miguel niesie na ramionach wielki plecak, wypełniony po brzegi nie wiem czym. Jonas też ma plecak, ale w jego zdaje się są tylko krem przeciwsłoneczny i butle z wodą dla nas dwojga.

– Jak się trzymasz, maleńka? – pyta. – Chcesz zrobić przerwę i napić się wody?

– Nie, nie trzeba – odpowiadam. – I jest super, jestem tylko trochę przerażona, ale jest świetnie.

– Jesteś doskonałą traperką. Myślałem, że pupcię masz tylko na pokaz, ale okazuje się, że jest też bardzo sprawna.

Śmieję się.

– To pewnie przez taniec – dodaje.

– Skąd wiesz, że tańczyłam?

– Widziałem twój indeks.

Odwracam się i gromię go wzrokiem.

– Hej, skoro zapłaciłem za włamanie się do serwera wielkiej uczelni, chciałem, żeby mi się ten koszt jakoś zwrócił. Specjalizowałaś się w komunikacji, a na drugą specjalizację wybrałaś taniec. Ukończyłaś studia z wyróżnieniem.

Nie wiem, co powiedzieć. Nikt wcześniej nie robił nigdy o mnie wywiadu. Ale, hej, coś za coś, jak zawsze powtarza Jonas. Ja z pewnością sprawdzałam go bardziej, niż chciałabym przyznać.

– Założę się, że każdy jeden facet ze szkół, do których chodziłaś, też miał ochotę chapsnąć ten twój smakowity tyłeczek.

Prycham.

– Pamiętaj, że chodziłam na zajęcia taneczne. Nie każdy jeden – uśmiecham się.

Śmieje się.

– No racja. – Na chwilę milknie, przedzierając się przez śliski, błotnisty dół. – Jaki to był taniec?

– Jak byłam mała, każdy, z jakiego zajęcia mogłam znaleźć w domach kultury. Na studiach, głównie nastrojowy współczesny. – W normalnych okolicznościach gadałabym o tańcu godzinami, ale trudno jest rozmawiać, koncentrując się zarazem na tym, żeby nie przewrócić się na twarz, nie być pożartą przez dinozaura czy zaduszoną przez boa dusiciela.

– Tańczysz nadal?

Uśmiecham się do siebie. Wciąż się nie mogę nadziwić, jaki jest przy mnie gadatliwy.

– Nie. Zrozumiałam, że nie to chcę robić w życiu. Teraz głównie biegam albo chodzę na jogę z Kat. Na więcej między zajęciami, nauką i pracą, za bardzo nie mam czasu.

O kurde. Praca. Nie miałam zamiaru przywoływać Klubu. A Jonas jest w takim dobrym nastroju.

Cholera. Oglądam się za siebie, bojąc się zobaczyć jego minę, ale wydaje się, że go nie ruszyło albo przynajmniej nie zamierza się ciskać jak wczoraj w samolocie.

Widać, że chce coś powiedzieć, ale Miguel podnosi rękę, nasz umówiony znak, że mamy być cicho, i stajemy nieruchomo w miejscu. Miguel przez chwilę wpatruje się w korony drzew. Potem bez słowa pokazuje. Spoglądam w górę, próbuję dojrzeć, cokolwiek zwróciło jego uwagę, i sapię. Nie mniej niż sześć małp siedzi w gęstwinie lasu deszczowego w górze i jedna z nich przeskakuje z drzewa na następne, jednocześnie skrzecząc.

Odwracam się do Jonasa, twarz płonie mi z podniecenia. Szcherzy się od ucha do ucha. Kiwa głową i mówi szeptem:

– Niesamowite, co?

Nie mogę pomieścić w sobie ekscytacji. Prawdziwe małpy w prawdziwej dżungli? Nigdy nie myślałam, że kiedykolwiek w życiu zobaczę coś takiego, nigdy.

Jonas bierze mnie za rękę i przyglądamy się małpom przez całe dwadzieścia minut, szepcząc do siebie, śmiejąc się, sapiąc ze zdumienia, popiskując, nasze dłonie są przyjemnie połączone, aż wreszcie Miguel pyta szeptem:

– Gotowi do dalszej drogi?

– Ruszajmy – rzuca Jonas i daje mi klapsa w tyłek.

Dobre dziesięć minut maszerujemy w ciszy. Oczywiście jestem ciekawa, dokąd idziemy, ale tak naprawdę to bez znaczenia. Dokądkolwiek idzie Jonas, ja będę szła za nim.

– Wiesz, wczoraj dałem się strasznie wkrećić własnemu szajsowi – mówi niespodziewanie. – Nie zastanawiałem się, jak ta cała sprawa z Klubem wpłynęła na ciebie. To znaczy, no cholera, wygląda na to, że nieoczekiwanie znalazłaś się bez pracy.

Nie spodziewałam się, że poruszy temat Klubu i z pewnością, że będzie mi współczuł z powodu utraty mojego żalostnego zajęcia.

– Och, coś tam wymyślę – rzucam, przestępując ostrożnie nad gigantycznym pnączem. – Jak zresztą zawsze. Jestem tylko wkurzona na to wszystko. To obrzydliwe. Ludzie zapisali się, żeby kogoś znaleźć, kogoś pasującego, kompatybilnego, nie po to, żeby ich oszukiwano. Gotuje się we mnie po prostu, że biorą pieniądze i nie dostarczają tego, co obiecują. To zwykły przekręt, gigantyczne oszustwo. – Krew wrze we mnie na samą myśl o tym. – I niektóre z tych osób, jasne, jest ich niewiele, ale jednak, zapisały się do Klubu, bo szukają miłości. Wiem, że w to nie wierzysz, ale tak jest naprawdę i zostali totalnie oszukani. Mają marzenie, może jest naiwne i głupie czy co tam, ale mają. A Klub to wykorzystuje.

Jonas nie odpowiada.

– No więc, taa, wielka mi rzecz, straciłam pracę. Ale nie ograbiono mnie z marzeń. – Myślę o minie Pana Programisty, gdy Stacy powiedziała mu, że ogląda tylko koszykówkę uczelnianą, a NBA tylko w play-offach. To było totalne i skończone łgarstwo. Prycham. Jestem wkurzona. – Mam na myśli, że to nie ja przespałam się z prostytutką, sądząc, że spotkałam kobietę swoich marzeń.

Jonas za mną wzdycha głośno.

O cholera. Ale bym chciała wepchnąć sobie te ostatnie słowa z powrotem do gardła. Myślałam o tym biednym programiście, który myślał, że znalazł kobietę swoich snów, ale to jasne, że zabrzmiało to, jakbym mówiła o Jonasie. Oglądam się przez ramię. Tak, krzywi się. Kurde. Jestem idiotką.

Przez chwilę milczymy, wsłuchując się, jak nasze buty stukają i chlupoczą w błocie.

Jonas się nie odzywa.

Nie powinnam była tego powiedzieć. Czyżbym podświadomie chciała go zranić? Nie, nie sędzę. A niech to szlag.

– Traktuję całą sprawę po prostu jak lekcję od życia i na tym koniec – mówię ostrożnie, z nadzieją, że pozytywizm pomoże mi nie wygadywać więcej głupot.

– Co to za lekcja? – pyta. Przyjmuję z ulgą, że znowu się odzywa. Głos ma spokojny.

Wchodzę na duży kamień na ścieżce.

– Że powinnam zawsze słuchać swojego instynktu.

– On ci coś podpowiadał, a ty to zignorowałaś?

– Absolutnie. W głębi wiedziałam, że coś jest nie tak. Mam na myśli to, że nie widziałam nigdy ani jednego zgłoszenia od kobiety, nawet raz, ale przekonałam samą siebie, że pewnie jakaś inna rekruterka przetwarza zgłoszenia od kobiet. I ciągle myślałam, że nie ma szans, żeby jakaś kobieta kiedykolwiek wstąpiła do takiego klubu jak ten. Zignorowałam podszepty intuicji, w tej samej chwili, gdy zaczęły spływać te tłuste przelewy. A teraz mam za swoje.

– Hmm – rzuca, zastanawiając się nad tym, co powiedziałam.

Znowu przez kilka minut idziemy w milczeniu.

Oglądam się za siebie, żeby sprawdzić, jaką ma minę, ale patrzy w dół, widać, że rozmyśla.

– Wiesz co, Sarah? – mówi w końcu.

Nie odpowiadam. Serce mi wali.

– Jesteś taka rozsądna – rzuca. – A nawet więcej, jesteś mądra. Wiesz o tym? Po prostu, wow, Sarah, ja cię naprawdę szczerze lubię.

Momentalnie się zatrzymuję i odwracam, żeby na niego popatrzeć. Serce mam w gardle. Nie mogę powstrzymać ogromnego uśmiechu, który rozciąga mi się na twarzy.

– Dziękuję.

– Proszę bardzo – odpowiada. Posyła mi uśmiech. A potem się czerwieni. Pan wyliżę-ci-tę-twoją-słodką-cipkę rumieni się, jakby był w czwartej klasie podstawówki i właśnie zaproponował mi chodzenie.

– Hej, Miguel, dasz nam minutkę? – wołam przez ramię.

– Jasne – zgadza się Miguel. I ponieważ oczywiście jest mądrym człowiekiem, idzie dalej w głąb dżungli i znika z widoku, zostawiając nas samych.

Odwracam się do Jonasa.

– To najlepsze, co mogłeś powiedzieć. Ja też cię lubię. I to bardzo. Bardzo, bardzo, bardzo.

– Cóż, ja lubię cię bardzo i jeszcze trochę – odpowiada. Uśmiech rozciąga mu się od ucha do ucha. Wygląda teraz jak dzieciak. Jak rozpromieniony, szczęśliwy, beztroski dzieciak.

Zarzucam mu ręce na szyję.

– Dziękuję ci, że mnie tu przywiozłeś.

Chcę go pocałować, ale odsuwa się.

– Cóż, w zasadzie to powinienem wyjaśnić jedną małą kwestię. Kiedy powiedziałem „lubię cię”, mówiłem o twoim tyłku. Naprawdę, naprawdę lubię twój tyłek. – Śmieję się i miażdżę mu usta swoimi.

Jego język wsuwa się do środka i, o wszyscy święci, rozpalam się cała jak pochodnia. On też momentalnie staje w płomieniach, i jest to dość oczywiste, bo bez wahania wwierca się we mnie swoją erekcją, a jego ręka zamyka się na moim podkoszulku, wyciąga go niedelikatnie ze spodni i podciąga w górę. Potem ta dłoń nurkuje pod koszulkę i sięga do sportowego stanika. Palce są już pod nim, zaciskają się na piersi, język eksploruje mi wnętrze ust.

Znowu między moimi nogami odzywa się znajome pulsowanie, tylko jest silniejsze. Praktycznie trzepoczę się w objęciach Jonasa jak ryba na haczyku. Jak myśmy przeszli od czucia się jak para zakochanych szczeniaków jeszcze sprzed chwili do bycia parą żarłocznych nimfomanów? Nigdy się tego nie dowiem. To się stało w mgnieniu oka.

Jonas jęczy.

– Kurwa, Sarah, zaraz oszaleję. – Szarpie mi spodnie, więc odpinam je dla niego. Wsuwa mi rękę pod majtki i nurkuje palcami w moją wilgoć. Jęczę głośno i gardłowo, i on też. Całuje mnie, dotyka, sprawia, że miękną mi nogi. Moje ciało przechodzi od zera do sześćdziesiątki w przeciągu sekund, a jego palce wślizgują się i wyslizgują ze mnie, językiem wiruje mi w ustach. Każdy milimetr skóry wibruje mi od



nagle wzbudzonego pożądanego.

– Cała dygoczę – dyszę. – Jonasie, och, ja się cała trzęsę.

Szybko oglądam się za siebie, żeby sprawdzić, czy Miguel wciąż jest poza zasięgiem wzroku.

– Chcesz to zrobić? – szepczę mu do ucha, przyciskając rękę do jego erekcji. Skubię go zębami po dolnej wardze i sięgam do rozporoka, żeby go rozpiąć. – Dżunglowy seks – dyszę, szamocząc się z suwakiem.

Odsuwa moją dłoń, ale jego palce wciąż ślizgają się w tę i z powrotem w mojej wilgoci.

– Nie dojdę, dopóki ty nie dojdiesz – dyszy, kontynuując swoją ekspercką eksplorację palcami.

– Myślę, że dojdę – odpowiadam szeptem. – Odchodzę od zmysłów.

Całuje mnie po raz ostatni i wyciąga rękę z majtek, a potem obejmuje. Momentalnie odzyskuje nad sobą pełną kontrolę.

– Nie mogę ryzykować. – Przyciąga mnie do siebie i mówi do ucha. – To tylko preludium, maleńka, słodkie preludium.

Parska śmiechem, widząc, jaka jestem wściekła.

– Złożyłem uroczyste ślubowanie, pamiętasz? Nie dojdę, dopóki ty nie dojdiesz. To moja nowa religia. – Całuje mnie w czoło. – Ty jesteś moją religią. – Nagle łapie mój tyłek w obie dłonie. – Kocham tę dupcię – szepcze. Ogląda się. – Miguel! – woła. – Idziemy! Puszczam mnie bezceremonialnie, zostawiając oszołomioną, skołowaną i rozpaloną między nogami.

Miguel pojawia się znikąd w sekundę.

– Widzisz? – mówi Jonas cicho, rugając mnie. – Gdybym pozwolił ci się szarogęsić, dalibyśmy Miguelowi niezły pokaz. – Śmieje się. – Mówiłem już, koniec z wygłupami. Wreszcie wiem, co robię.

Jestem tak podniecona, że mam ochotę trzeć krocem o pień pieprzonego drzewa i nawet bym to zrobiła, gdyby to nie było jedno z tych prehistorycznych z cierniami. Gdyby dał mi zapalniczkę do podpalenia mojego lontu, wystrzeliłabym jak rakietka, wiem, że bym wystrzeliła.

– Gotowi? – pyta Miguel. Sprawia wrażenie rozbawionego.

– Tak – potwierdza Jonas. – Jak myślisz? Jeszcze jakieś piętnaście minut?

– Taa, coś koło tego – zgadza się Miguel.

W chwili gdy się odwraca, żeby pójść dalej szlakiem, sięgam w dół i dotykam się przez spodnie. Chcę się przekonać, czy te niesamowite pulsowanie, które czuję od środka, jest wyczuwalne także z zewnątrz. Raczej nie jest. Oglądam się na Jonasa. Patrzy na moją rękę między nogami, twarz ma rozpaloną podnieceniem. Uśmiecham się do niego i puszczam oko. Dzisiaj jest ta noc, chłopaczku.

Idziemy szlakiem jeszcze kilka minut, złani potem, zabijając okazjonalnie komary, wchłaniając w milczeniu widoki i odgłosy dżungli wokół nas. Nadal nie mam pojęcia dokąd idziemy, i naprawdę zaczynam się już zastanawiać.

– Tak sobie myślałem – odzywa się niespodziewanie Jonas, postępując z wysiłku, jaki wkłada w marsz, a może z powodu jego obecnego stanu frustracji seksualnej. – Ta cała sprawa z Klubem. Naprawdę mocno mnie to wczoraj tępnęło. Ale teraz, kiedy miałem szansę się zastanowić, podchodzę do tego bardziej filozoficznie.

Nie odzywam się. Nauczyłam się nie przełamywać zaklęcia, gdy się otwiera... zwłaszcza kiedy jest Filozoficznym Jonaszem.

– Widzę to w ten sposób, unikałem kulki. Bóg jeden wie, co by się stało, gdybym dostał to, co, jak sądziłem, chciałem. Jestem wdzięczny.

Zatrzymuję się i patrzę na niego. Wdzięczny? Za to, że ktoś go oszukał? Że nieświadomie przespał się z prostytutką?

– Gdyby nie Klub – kontynuuje, uśmiechając się do mnie z zażenowaniem – nie znalazłbym ciebie. Tak więc, jeśli spojrzeć na to w ten sposób, to były to najlepiej wydane pieniądze.

# Rozdział 11

## Sarah

**W**ow – mówię. Tylko na to w tej chwili potrafi wpaść mój mózg.

Miguel, Jonas i ja tłoczemy się w wejściu do gigantycznej zapierającej dech jaskini, łącznie z formacjami skalnymi i stalaktytami, a na zewnątrz bezlitośnie leje, dosłownie kilka stóp od miejsca, w którym siedzimy. Odgłos wody spadającej z hukiem z nieba jest taki, jakby w górze stał sam Pan Bóg i dżunglę w dole podlewał z gigantycznej konewki.

Trzęsę się ze zdenerwowania. Teraz gdy zaszliśmy tak daleko w głąb dżungli, co, u diabła, będziemy robili w tej jaskini? Albo może trzęsę się, bo jestem przemoczona do suchej nitki, od stóp do głów. Rzęsista ulewa runęła z nieba na jakieś dziesięć minut przed tym, zanim dotarliśmy do jaskini, kilku sekund tej fontanny i lało się ze mnie, jakbym weszła pod prysznic.

– Nie ma się czego bać – uspokaja mnie Jonas, zapinając mi pasek przy kasku. – Podnieś brodę. – Robię to. Zaciągając pasek, przygryza usta, a mnie kolejny raz uderza jego czyste piękno. Kiedy kończy z kaskiem, kładzie mi ręce na ramionach i uśmiecha się do mnie. – Jest drugie wejście do jaskini, jakieś siedem kilometrów w głąb. Dotarcie tam zajmie nam nie więcej niż trzy godziny.

– Trzy godziny? – powtarzam szokowana. – Siedem kilometrów?

– Taa, droga nie jest taka całkiem prosta – uśmiecha się. – Trochę się trzeba będzie namęczyć. – Odwraca się do Miguela i obaj parskają śmiechem. Co ich rozbawiło, wiedzą tylko oni.

Włoski na karku stają mi dęba. Co do diabła jest takie zabawne?

– Hej, Miguel, może opowiesz Sarah o jaskini?

– Jasne. Starożytni Majowie, którzy zamieszkiwali na całym terenie tego, co obecnie zajmują Belize i Gwatemala, wierzyli, że ta jaskinia to wejście do Królestwa Xibalby, królestwa zaświatów. Tutaj, jak i w innych jaskiniach w Belize, Majowie składali ofiary dla swoich bogów, żeby zapewnić sobie nieprzerwaną pomyślność.

– Dobrze powiedziane, Miguel – chwali Jonas.

– Już raz czy dwa opowiadałem tę historię – śmieje się Miguel.

– Ale, Miguel, jakie to ofiary składali Majowie w tej jaskini? – pyta Jonas takim tonem, jakby on i Miguel odgrywali przede mną komedię. Jonas oczywiście zna odpowiedź, chce tylko, żeby Miguel powiedział to na głos.

– Z ludzi.

– Ale z jakich dokładnie, Miguelu?

– Z dziewic.

Jonasowi tańczą oczy. O bracie, jest z siebie w tej chwili strasznie dumny. Nie mogę nic na to poradzić i uśmiecham się. Och, jakże Jonas Faraday kocha te swoje metafory. Oczywiście ja jestem dziewicą, jego orgazmową dziewicą, i to ja mam zostać złożona w ofierze bogom. Albo raczej jednemu wszechmogącemu bóstwu: Jonasowi Faradayowi.

Posyła mi łobuzerki uśmieszek.

Parskam śmiechem.

– Dumny z siebie jesteś, Jonasie, co?

– Bardzo.

– Ty naprawdę lubisz te swoje metafory, prawda?

Śmieje się jak dzieciak w Boże Narodzenie i przyciąga mnie do siebie.

– Taa, naprawdę lubię.

– W sercu jesteś prawdziwym poetą, wiesz o tym? – dodaję.

Nachyla się do mnie i przystawia mi usta do ucha.

– Pod wpływem miłości każdy staje się poetą. – Odsuwa się i puszcza oko. – Platon.

Serce momentalnie zaczyna mi świrować. Czy on właśnie powiedział, że mnie kocha? Przygryzam wargę. Powiedział, prawda?

Szczerzy się do mnie.

– Najadłaś się?

Kiwam głową. Kiedy schroniliśmy się w jaskini, Miguel urządził nam przecudowny piknik. Ale nie chcę rozmawiać o jedzeniu. Chcę rozmawiać o tym, co Jonas właśnie powiedział. Czy ja go dobrze rozumiałam?

Daje mi klapsa.

– To dobrze. – Odwraca się do Miguela. – Masz latarki na głowę?

– Tak jest, sir – potwierdza Miguel.

Taa, jestem prawie pewna, że Jonas powiedział, że mnie kocha. Nie wyobraziłam sobie tego, czy jak? Nie wydało mi się tylko, bo tego chciałam, prawda? Ja powiedziałam „Jesteś poetą”, a on odpowiedział „Pod wpływem miłości każdy staje się poetą”. Jak inaczej mam zinterpretować tę odpowiedź niż, że jest pod wpływem miłości? Miłości do mnie? A może miał na myśli, że jest pod wpływem mojej przypuszczalnej miłości do niego? Czy ja go kocham? Mam zamęt w głowie. Serce wali mi jak oszalałe. Och, gdyby tylko nie było tu Miguela. Gdybyśmy tylko byli teraz sami. Jest tylko jedna rzecz, której pragnę w tej chwili i to nie jest siedmiokilometrowy marsz w głębinach ciemnej jaskini z Jonasem i przewodnikiem (choć wydającym się bardzo słodkim).

Jonas przyciąga mnie do siebie, ale nie żeby pocałować. Z pieczołowitością mocuje latarkę na moim kasku.

– W środku jaskini nie będzie naturalnego światła. Jest tam ciemno jak w najczarniejszą noc, bez latarki nie da się nawet zobaczyć własnej ręki ustawionej centymetr od twarzy.

Wciąż mam rozdziawione usta. Tak, prawie na pewno Jonas Faraday, supermężczyzna, mit, legenda, Adonis, Zaklinacz Kobiet właśnie powiedział, że mnie kocha. Chyba że, oczywiście, mówi mi, że czuje się kochany przeze mnie, jest pod wpływem mojej miłości, co też nie jest takim niczym w jego ustach. Ale czy ja go kocham?

Przyciska się do mnie, jego erekcja szturcha mnie w udo.

– Teraz chodź, maleńka – mówi cicho, ściskając mój pośladek po raz setny dziś. – Złożmy bogom w ofierze twoją dziewiczą pupcię.

To nienormalne. Absolutne i totalne czyste szaleństwo. On chce, żebym wdrapała się na co? Przez ostatnie dwie godziny Jonas i ja, z Miguelem na przedzie, coraz bardziej i bardziej zagłębialiśmy się w czarną jak smoła jaskinię, wdrapywaliśmy się coraz wyżej i wyżej wzdłuż brzegu wijącego się podziemnego strumienia, mijaliśmy stalaktyty i roje nietoperzy, ociekające wodą skalne ściany wyglądające jak scenografia z filmu, brnęliśmy głębiej i głębiej wraz ze strumieniem, tam gdzie brzeg stawał się coraz węższy i węższy, i ostatecznie znikł, wspinaliśmy się wyżej i wyżej po mokrych głazach i przez poszarpane otwory, czasami musieliśmy się czołgać po niskich skalnych nawisach na brzuchu. W którymś momencie Jonas poprosił, żebyśmy wyłączyli latarki, abyśmy doświadczyli kompletnej

ciemności, i to nie przypominało niczego, co kiedykolwiek dotąd przeżyłam, naprawdę, najdziwniejsze i najbardziej odcieleśniające trzydzieści sekund mojego życia. W jaskini było tak ciemno, że to dezorientowało. Do tego stopnia, że wywoływało panikę. W chwili jednak gdy zaczęłam się trząść, Jonas poczuł to i włączył latarkę.

– Jestem tu – powiedział. – Sarah, stoję przy tobie.

Tuż zanim, zmuszeni do tego przez to, że jaskinia była coraz węższa, weszliśmy do głębokiego strumienia, Jonas wyciągnął z plecaka Miguela uprząż i zapiął mi grube brezentowe pasy na biodrach i w pasie.

– A to po co, do diabła? – spytałam drżącym głosem.

– Przekonasz się – odpowiedział, zaciągając sprzączkę w uprzęży.

– Ja się boję, Jonasie – szepnęłam.

– Ja rządę, pamiętasz? – powiedział, spoglądając mi w twarz, latarka na jego głowie z miejsca mnie oślepiła.

– W sypialni – poprawiłam, trzęsąc się z zimna i ze zdenerwowania.

Poprawił latarkę, żeby nie świeciła mi prosto w oczy i położył mi dłonie na policzkach.

– Moja Zjawiskowa Sarah – zaczął czule, zaglądając mi głęboko w oczy. – Nigdy, przenigdy nie dopuściłbym, żeby coś ci się stało. Jesteś dla mnie zbyt cenna. To będzie jedno z najlepszych przeżyć w twoim życiu. Doskonała metafora dla nieopisanej rozkoszy, jaką zamierzam ci zapewnić dzisiejszej nocy. Jeśli mi zaufasz, w pełni, na koniec mi podziękujesz. – Nachylił się i pocałował moje wilgotne usta, a ja rozplynęłam się cała w jego objęciach.

Cóż, w takim razie... Niech będzie uprząż.

I teraz jestem tu, w uprzęży, z doczepioną do niej liną, stoję w czarnej jak smoła wodzie sięgającej mi do ramion, u podstawy śródlądowego wodospadu w czarnej jak smoła jaskini i Jonas spokojnie wyjaśnia najlepszą strategię wspinania się na wodospad. Miguel już się na niego wdrapał jak kot na drzewo, żeby przywiązać na szczycie linę doczepioną do mojej uprzęży.

– Nawet jeśli się poślizgniesz, lina cię utrzyma – uspokaja mnie Jonas z tyłu. – A ja cały czas będę ci podpowiadał, co masz robić.

Spoglądam w górę. Szczyt wodospadu jest dobre pięć do sześciu metrów nade mną i jedyną drogą, żeby się tam dostać, jest chwytanie się wystających półek skalnych bezpośrednio na szlaku spływającej wody.

Jonas stoi za mną w strumieniu, trzymając mnie w pasie, mówiąc wprost do ucha. Pokazuje.

– Widzisz ten nawis tam?

Kiwam głową.

– Chwyć się go prawą ręką i lewą trochę powyżej, może tam, i potem po prostu wspinaj się wolno i spokojnie, ręka-noga-ręka-noga, aż dotrzesz do Miguela. Tam on już przeciągnie cię przez krawędź.

Znowu kiwam głową.

– Gotowa?

Przytakuję. Trzęsę się.

Popycha mnie w górę z jeziorka na maleńki podest u stóp wodospadu, tuż po lewej stronie kaskady wody. W jaskini jest czarno, nie licząc małych plamek światła rzucanych przez nasze trzy latarki. Patrząc w górę. Widzę latarkę Miguela świecącą jasno w dół na nas ze szczytu, ale samego Miguela nie widzę.

Dotykam się w pasie i czuję przewiazaną tam linę. Tak, wciąż tam jest. Trzymam się ściany, bojąc się poruszyć. Woda leje się w dół kilka centymetrów ode mnie, z mojej prawej.

– Dasz radę – krzyczy Jonas ze strumienia pode mną. – Po prostu zrób to i o tym nie myśl.

Spoglądam na niego i prawie spadam ze śliskiej skały, na której balansuję.

– Dasz radę – krzyczy powtórnie ponad hukiem spadającej wody.

Patrząc w górę na mój cel na szczycie.

– Jestem tu – krzyczy Jonas. – Nigdzie się stąd nie ruszę. Obiecuję.

Słodszych słów nie słyszałam nigdy. Nadal się trzęsę, ale nagle jestem zdeterminowana. Biorę głęboki wdech i przesuвам się w prawo bezpośrednio pod spadającą wodę. Matko Boska, wodospad mnie bombarduje, wali z hukiem w kask. Wyciągam rękę i znajduję występ, o którym mówił Jonas, potem znajduję podpórkę dla stóp. I wspinam się. W połowie mam problem ze znalezieniem czegoś, czego mogłabym się uchwycić prawą ręką. Nieruchomieję. Woda leje mi się na twarz. Jak ja się tu dostałam?

– Przesuń rękę trochę wyżej – podpowiada Jonas. Wszedł już ze strumienia, stoi na małym podeście u podnóża wodospadu, bezpośrednio pode mną.

Wykonuję instrukcję.

– Właśnie tak, maleńka. Cholera, radzisz sobie świetnie. A teraz podnieś lewą rękę. O tak, dobrze.

Nim się obejrzę, Miguel oplata mnie ramieniem w pasie i wciąga przez krawędź na szczyt. Nie dłużej niż minutę później Jonas też stoi obok mnie, wspiął się na ścianę jakby wchodził na nią po drabinie.

Bierze mnie w objęcia.

– Zrobiłaś to! Zuch dziewczyna!

Patrzę na niego, latarka na moim kasku oświetla mu twarz. Uśmiecha się promiennie. Jest w siódmym niebie, tryumfuje. Spadające wody wodospadu pod nami dudnią nam w uszach. Ale chwileczkę. Ten huk nie dochodzi spod nas tylko z góry. Podnoszę głowę i, o ja cię przepraszam, o kurwa, kurwa, kurwa, jakieś sześć metrów dalej na odległym krańcu ziejącego przede mną następnego głębokiego rozlewiska czarnej wody jest drugi wodospad, tylko że ten ma dobre dziewięć metrów.

Odwracam twarz z powrotem do Jonasa, gotowa do wygłoszenia ostrego kazania, ale jego mina kompletnie mnie rozbraja. Och, facet bawi się jak chyba nigdy w życiu.

Wspinaczka na drugi wodospad okazuje się o połowę łatwiejsza niż na pierwszy, mimo że ten jest dwukrotnie wyższy. Tym razem po prostu to robię. Nie zastanawiam się. Nie martwię. Po prostu pokładam ufność w linach. I w Jonasie. I w sobie. I w Miguelu. Oczywiście pomaga mi świadomość, że to ostatni wodospad (Jonas przysiągł, że tak jest) i cel (tylne wyjście z jaskini) znajduje się w odległości jakichś dwustu metrów (Jonas przysiągł, że to prawda).

Kiedy docieram do krawędzi na szczycie, doznaję szoku i uginają się pode mną nogi. Jedyne co tu widzę, to kolejne małe ciemne jezioro. Na szczęście tym razem nie ma już nowego wodospadu, Jonas mnie nie oszukał, ale czarne jezioro ze wszystkich stron zamykają niskie ściany jaskini. Nie widzę żadnej ścieżki. Nie ma światła. To ślepa uliczka.

Nie rozumiem. Jak się stąd wydostaniemy? Jest jakaś podwodna jaskinia, do której musimy zanurkować, żeby wyjść po drugiej stronie?

– Wow – rzuca Jonas, z łatwością wdrapując się na krawędź. – Tym razem dałaś popalić, maleńka. Masz wrodzony talent. Nie mogę się doczekać, aż po powrocie zabiorę cię na ścianę wspinaczkową w ośrodku.

– Jonasie, jak się stąd dostaniemy do wyjścia z jaskini? – Świecę latarką na otaczające nas skały. – Gdzie jest przejście?

– Och, taa. Uhm. – Spogląda na Miguela i wymieniają się kolejnym uśmiechem z rodzaju o-będzie-srała-po-gaciach-jak-nic.

– Mówiłeś, że wyjście jest około dwustu metrów od wodospadu. – Nie potrafię powstrzymać ostrych tonów w głosie.

– I tak jest. Wyjście znajduje się niecałe dwieście metrów od miejsca, w którym teraz stoimy, ale droga do niego prowadzi... tędy. – Pokazuje w dół na podnóże wodospadu.

– Co?

– Tak. Jest tam po prawej mała ścieżka – pójdziemy nią i... bum... jesteśmy na zewnątrz. Łatwizna.

– Tam w dole? To po co wchodziliśmy na górę?

Uśmiecha się.

Mój żołądek wykonuje salto.

– O nie.

– Nie ma innej drogi na dół.

– Nie.

– Tak właśnie złożymy cię w ofierze bogom. – Jego uśmiech rozciąga się od ucha do ucha.

– Jonasie, nie.

– Innej drogi nie ma, maleńka. Nie masz wyboru. Wbrew temu, co ci mówi głowa, wbrew instynktowi,

będziesz musiała odpuścić, zaufać i skoczyć w ciemną przepaść.

Świecę latarką w czerń pode mną.

– To jakieś dziewięć metrów w dół!

– Bułka z masłem.

Prycham ze zniecierpliwieniem.

– Chcesz, żebym skoczył pierwszy? – pyta.

Splatam ramiona na piersi i zastanawiam się. Na basenie w centrum rekreacyjnym, kiedy dorastałam, była wysoka skocznia. Pewnego lata, gdy miałam jedenaście lat, skoczyłam z niej, żeby udowodnić, że mogę to zrobić, i nigdy tego nie powtórzyłam. Nie lubię wysokości. Nie lubię uczucia, że żołądek podchodzi mi do gardła. I naprawdę nie podoba mi się pomysł skoczenia w mroczną otchłań w dole.

– Innej drogi nie ma – powtarza Jonas.

Łypię na niego wściekle. Jestem wkurzona.

A on chyba jest zdenerwowany.

– To nie był podstęp, Sarah, słowo. Chciałem cię zaskoczyć. – Jego twarz marszczy się od niepokoju.

Wygląda dokładnie tak, jak wtedy u niego w domu, kiedy powiedział, że nie traktuje mnie jak prostytutki, tylko jak swoją dziewczynę. To jest ten Jonas Faraday, który roztapia mi serce, właśnie ten, tu i teraz.

Łapię go za rękę.

– Wiem. – Kolana mi dygoczą.

Jonas błaga mnie wzrokiem. Jego intencje są czyste. Włożył wiele zastanowienia i wysiłku w przygotowanie tej wyprawy. W pomaganiu mi w zejściu sobie samej z drogi. Ma rację. Muszę wyjść z głowy i skoczyć. Z nim.

Spoglądam poprzez kawalkadę wody na ciemność poniżej. Nawet z latarką skierowaną poza krawędź, na której stoję, nie mogę dojrzeć jeziora w dole – jest tam tylko mętna ciemność. Z powrotem patrzę na Jonasa i moja latarka świeci mu w oczy. Przymruża je i zasłania przed nagłym ostrym światłem. Przesuwam promień w bok, a on opuszcza dłoń. Jest poważny.

– Wszystko w porządku? – pyta.

Serce wali mi jak młotem.

– Taa. – Głośno wypuszczam powietrze. – Zróbmy to. – Kiwam głową.

Uśmiecha się i ściska mi rękę.

– Skoczę pierwszy. A ty za mną. – Parska krótkim śmiechem. – Ha! Oczywiście wieczorem zrobimy wszystko w odwrotnej kolejności. – Puszczą oko.

Moje policzki płoną. O tak, wieczorem. Ten szalony, piękny mężczyzna wyreżyserował ten cały dzień jako preludium do dzisiejszego głównego wydarzenia. Nigdy w życiu nie pragnęłam czegoś bardziej niż kochać się z tym cudownym człowiekiem. Ale najpierw muszę przeżyć tę niedorzeczność.

– Jesteś pewna, że jest okej?

Kiwam głową.

Całuje mnie w policzek.

– W takim razie widzimy się po drugiej stronie – mówi. – Na razie. – Skacze i z głośnym okrzykiem

znika w ciemności. Słyszę chłopot, po nim wiwat radości. – Zajebiste! – drze się z mroków.

Po kilku sekundach na czarnym jeziorze w dole pojawia się mały punkcik światła.

– Celuj we mnie! – krzyczy. – Nie myśl. Po prostu zrób to!

Spoglądam na Miguela. Jego oświetlona moją latarką twarz uśmiecha się do mnie. Kiwa zachęcająco głową. Znowu spoglądam w dół na mały krąg światła pode mną. Jonas uderza dłonią w wodę.

– Tutaj! – krzyczy.

– Pierdolić to – mamrocę. I skaczę.

Wpadam w zimną mokrość. Woda pochłania mnie całą wraz z głową. Jonas chwyta mnie w ramiona. Wczepiam się w niego, szczęśliwa, już spokojna, niedowierzająca, dygocząca.

– Jestem z ciebie taki dumny – mamrocze, obsypując mi twarz pocałunkami. – Taki dumny – powtarza.

Jego pocałunki są euforyczne. – Moja mała dziewiczka ofiara.

Trzymam się go, jakby był kołem ratunkowym, a ja jakbym tonęła. Nie jestem pewna, czy mogę nakazać swoim rękami, żeby go puściły, nawet gdybym chciała, czego nie chcę. Nie chcę go wypuszczać już nigdy więcej.

– Jestem z ciebie taki dumny – mówi kolejny raz między pocałunkami. – Zrobiłaś to.

Płynie do brzegu ze mną na plecach, ramiona mam oplecione na jego szyi. Kiedy dociera do płycizny, wychodzi z wody ze mną na rękach. Teraz ma już stały grunt pod nogami. Idzie w stronę otworu w skale z boku wodospadu. Nie mogę uwierzyć, że nie zauważyłam go wcześniej, zanim rozpoczęłam drugą wspinaczkę. Jego silne nogi stawiają mocne kroki, ramiona mnie chronią. Czuję się, jakbym nic nie ważyła. Czuję się bezpieczna. Światła naszych latarek zbiegają się i wyprowadzają nas z mroków. Wtulam mokrą twarz w jego muskularną pierś.

– Widzisz? – pyta po kilku minutach zdyszany głosem.

Otwieram oczy i patrzę przed siebie wzdłuż ścieżki, i w istocie w oddali migocze jakieś światełko. Wyjście z jaskini.

– Widzę – odpowiadam. – Pobiegnijmy tam.

Stawia mnie ostrożnie na ziemi, bierze za rękę i zaczynamy bieć, ręka w rękę, ku światłu przed jaskinią. Gdy biegniemy, światło coraz bardziej się przybliża, jest coraz jaśniejsze i większe. Ściany jaskini robią się coraz wyższe i wyższe, większe i mniej przytłaczające, i nasz śmiech przechodzi w niepoahamowane delirium. Nie wiem, dlaczego śmiejemy się tak bardzo, ale tak jest.

W końcu wypadamy razem z jaskini w blask słońca, ręka w rękę, zdyszani i wyjący w obopólnej euforii. Wcześniejszy deszcz przestał już padać, pozostawiając za sobą lśniąca bujną krainę czarów.

– Och – wzdycham, wreszcie trochę się ogarniając. – Och, Jonasie.

Patrzy na mnie rozpromieniony. Twarz ma rozpaloną.

– Piękne – mruczy i jego usta odnajdują moje.

Ja cię kręcę, to najlepszy pocałunek w moim życiu. Elektryzujący. Kto by przypuszczał, że połączenie dwojga ust może wywołać takie spustoszenie w ciele, umyśle i w duszy? Jonas kładzie mi ręce na policzkach i pożera mnie wargami. A ja płynę, frunę, wirując, kiedy jego usta kontynuują najazd na moje. Chcę dotknąć jego włosów, ale uderzam palcami w twarde plastik kasku. Odrywa się ode mnie, wzrok ma nieprzytomny, i z pomrukiem zniecierpliwienia rozpina kask. Robię to samo. Rzuca kask na ziemię i ja też, i powracamy do naszego najwspanialszego pocałunku ze wszystkich. Ach tak, wsuwam mu palce we włosy. Przyciąga mnie do siebie, prawie desperacko, i przysięgam, że czuję, jak jego serce bije tuż przy moim. Po jakiejś chwili rozdzielamy się, być może wyczuwając bliskie nadejście Miguela.

– Dziś wieczorem – mówi Jonas z rozpalonym wzrokiem.

– Dziś wieczorem – odpowiadam. Serce mi wali, gęsia skórka pokrywa każdy milimetr mojego ciała.

– O tak, cholera, dziś wieczorem.

Śmieje się. Obejmuje mnie i przytula.

Nigdy nie czułam się z kimś tak blisko jak z nim w tej chwili.

Chcę go znowu pocałować, ale w wyjściu z jaskini pojawia się Miguel, człapie ku nam, ociekając wodą, duży plecak przygina go do ziemi.

– No i? – pyta sapiąc i dysząc, gdy do nas dociera. – Jak się podobała jaskinia?

Spoglądam na Jonasa. Oczy mu płoną.

– Niesamowita – mówię. – Ale... – Pokazuję na budzące podziw widoki wszędzie wokół nas. Na błękitne niebo przeświecające między gąszczem koron drzew w górze, na nakrapiane promieniami słonecznymi listowie wyglądające jak pochodzące wprost z mezozoiku, na eksplozję barw przytłaczających moje zmysły i na koniec, ostentacyjnie, na samego pięknego Jonasa, stojącego obok mnie z rozpromienioną twarzą. – Ale prawdziwe piękno jest tutaj. – Rzucam Jonasowi spojrzenie wyrażające czysty zachwyt, on odpowiada mi tym samym. Potem przyciąga mnie do siebie i szepcze do ucha:

– Kulminacja ludzkich możliwości.

Jonas i ja siedzimy z tyłu otwartego jeepa, jesteśmy wiezieni belizeńską autostradą w ciepłym słońcu. Wiatr szarpie moim mokrym kucykiem, który uderza po twarzy albo mnie, albo Jonasa, wywołując nasz śmiech. Jonas nie powiedział ani słowa od chwili naszej rozmowy przed jaskinią, ale nie puścił też mojej ręki. Przypuszczam jednak, że nawet jeśli chciałby rozmawiać, byłoby to dość trudne do wykonania przy tym wietrze, buchającym na nas jak gigantyczna suszarka do rąk.

Nasz kierowca włącza radio. Piosenka to *Locked Out of Heaven* Bruno Marsa. Kierowca robi głośniej i Bruno Mars śpiewa o kochaniu się z dziewczyną, która sprawia, że czuje się, jakby odkrywał raj po raz pierwszy. Jonas szturcha mnie ramieniem. Oddaję mu i śmieję się. Tak, to idealna piosenka. Faktycznie dotąd Jonas i ja oboje tkwiliśmy przed bramami raj u i nawet o tym nie wiedzieliśmy. Ale teraz stoimy za perłową bramą, kochanie. Nie ma co do tego cienia wątpliwości.

Ten pocałunek przed jaskinią był... wow. To było jakby dorwały się do siebie nasze dusze. Czysta magia. To był właśnie raj. Ekstaza, jak to opisywali starożytni Grecy, jak powiedziała by Jonas. Ale nie chodziło tylko o sam pocałunek. Chodziło o wszystko, co się dzisiaj wydarzyło i co doprowadziło do tego euforycznego momentu. Myślę, że nie przesadzę, mówiąc, że ten dzień mnie zmienił. Czuję się lżejsza. Silniejsza. Bardziej pewna siebie niż wcześniej. Nagle dokładnie wiem, kim jestem, w przeciwieństwie do tego, kim rzekomo powinnam być. I wiem dokładnie, czego chcę. Chcę być w pełni sobą i ani odrobinę mniej, bez przepraszania, od dziś na zawsze. Chcę być wierna sobie, sobie prawdziwej, swoim najgłębszym pragnieniom.

I wiecie, co jeszcze chcę? Chcę Jonasa Faradaya. Matko Boska, i to jak. Chcę mu pokazać każdą część siebie, niczego nie ukrywając. I chcę też odkryć każdą część jego, nieważne jak pokiereszowany może się okazać. Nigdy z nikim tak się nie czułam. Chcę skoczyć w czarną otchłań. Jeśli moje serce połamie się na skalistej turni w dole, niech tak będzie. Warto to zrobić. Nieważne, co wydarzy się dziś w nocy, czy będę miała fizyczny orgazm czy nie, dziś już jednego doświadczyłam, orgazmu duchowego. I Jonas też. Wiem, że tak.

– Możemy się tam na minutkę zatrzymać? – krzyczy nagle ponad wyciem wiatru i głośną muzyką, pokazując na oryginalny sklepik z pamiątkami przy drodze. Nawet z zewnątrz widzę, że tryska kolorami ręczników plażowych i T-shirtów, prawdziwa pułapka na turystów. Nie potrafię sobie wyobrazić, co Jonas może chcieć w nim kupić.

Kierowca kiwa głową i zajeżdża pod sklepik.

Jonas wyskakuje z jeepa i odwraca się, aby pomóc mi wysiąść.

– Potrzebujesz kupić jakąś pamiątkę? – pytam.

Uśmiecha się jedynie.

Wnętrze małego sklepiku wygląda dokładnie tak, jak się spodziewałam. Zagracone kubkami z napisem „Belize”, kostkami mydła domowej roboty, ręcznie wykonaną biżuterią, T-shirtami, wyrzeźbionymi z



drewna talerzami i kolorowymi gobelinami. Co on chce tutaj kupić?

– *Hola* – mówi na powitanie starsza kobieta za ladą.

– *Hola* – odpowiadamy jednocześnie Jonas i ja. Uśmiecham się do niego. Jego akcent jest uroczo amerykański.

Przechodzi do stojaka z biżuterią wyglądającą na wykonaną „pod turystów” i breloczkami do kluczy, ale potem zauważa coś w głębi.

– Sarah, w tym byłoby ci pięknie – mówi, pokazując daleki róg sklepiku.

Moje spojrzenie podąża za linią jego wzroku. Mówi o białej zwiewnej sukience plażowej wiszącej w kącie, jaskrawo haftowanej na dekolcie i ramiączkach.

– Śliczna – chwale. I taka jest prawda. Sukienka jest zachwycająca. Ale Jonas już i tak wykazał się ogromną szczodrością.

– Podoba ci się?

Kiwam głową z zażenowaniem.

– Ale wystarczająco dużo już dla mnie zrobiłeś. Mam mnóstwo ciuchów.

– Ta biel będzie wyglądała cudownie na tle twojej skóry.

Otwieram usta, żeby zaprotestować. Zrobił już zbyt dużo.

– Oglądanie cię w tej sukience będzie twoim prezentem dla mnie. Nazwijmy to bonusową opłatą.

Śmieję się.

– Idź wybierz swój rozmiar, maleńka. Chcę, żebyś ją włożyła dzisiaj wieczorem.

Jestem oszołomiona. Sukienka jest naprawdę zachwycająca.

– Dziękuję. – Muszę przyznać, że jestem w siódmym niebie. Idę do wieszaka z sukienkami sprawdzić rozmiary, a Jonas kieruje się do stojaka z biżuterią i breloczkami.

– I wybierz sobie też parę kolczyków – woła.

– Nie, Jonasiu, to za dużo. Tylko sukienka.

– Cóż, w takim razie, sam będę musiał je wybrać – oznajmia.

Posyłam mu wielgachny uśmiech i z powrotem skupiam się na wieszaku z sukienkami. Zdejmuję z niego tę właściwą. Haft jest niesamowity.

Za moimi plecami Jonas rozmawia ze starszą kobietą za kasą.

– Weźmiemy sukienkę, tę białą, którą trzyma – mówi. – I kolczyki. I jeszcze to. *Gracias*.

– *Están ustedes de luna de miel?* – pyta go sprzedawczyni.

– *Sí* – odpowiada, uśmiechając się.

– *Felicitaciones*.

Szybko odwracam głowę, żeby spojrzeć na Jonasa. Kiwa głową i uśmiecha się do kobiety, ale to jasne, że nie zrozumiał, co powiedziała. W oparciu o ten jego amerykański akcent domyślałam się, że hiszpański nie jest jego mocną stroną, ale nawet jeśli coś łapie, ewidentnie źle zrozumiał pytanie sprzedawczyni. O rany, kiedy mu to później przetłumaczę, będzie się śmiał, że odpowiedział „tak”.

Przed sklepem pokazuje mi kolczyki, które dla mnie wybrał. Są srebrne i turkusowe. Cudowny dodatek do sukienki.

– Są idealne – zachwycam się. – Dzięki.

– Pomyślałem, że będą wyglądały ładnie z sukienką – I znowu to samo, to spojrzenie traktuję-cię-jak-swoją-dziewczynę. Rozpływam się pod nim.

– Strasznie mi się podobają, Jonasiu. – Całuję go. – Dziękuję. Za wszystko. Jesteś taki hojny.

– Bardzo proszę. – Bierze głęboki oddech. – I mam coś jeszcze. – Sięga do plastikowej torebki i wyjmuje dwie ręcznie wykonane bransoletki, identycznie uplecione z wielobarwnej nici. To bransoletki przyjaźni, takie, jakie robią dla siebie nastoletnie dziewczyny. Bierze mój nadgarstek i zaczyna zawiązywać na nim bransoletkę, uśmiecha się nieśmiało. Czy to nie urocze z jego strony, że podarował mi belizeńską bransoletkę przyjaźni? W jednej minucie opowiada, że mu stanął, w drugiej jest zakochanym

czwartoklasistą.

– Jesteś taki rozkoszny – mówię, sama czując się jak czwartoklasistka.

Zawiazuje bransoletkę na własnym nadgarstku.

– Jako członkini Klubu Jonasa Faradaya, jedyna jego członkini, musisz mieć bransoletkę oznaczoną kolorem.

– Och tak – śmieję się. – Żeby było wiadomo, jakie mam pokręcone preferencje seksualne. – Spoglądam na swoją bransoletkę. – Nie jestem purpurowa?

– Nie, nie jesteś. – Ton jego głosu jest taki, jakby właśnie nazwał mnie głupkiem. – Ja też nie. Jesteśmy zupełnie nowym kolorem – kolorem przeznaczonym tylko dla nas. – Przykłada bransoletkę do mojej. – Jesteśmy do siebie idealnie dopasowani.

# Rozdział 12

## Jonas

No, wreszcie bzykanko.

Oblizuję usta.

Chociaż bardzo mi się podobało oglądanie jej w nowej białej sukience przy kolacji, wyglądała w niej jeszcze piękniej, niż mogłem sobie wyobrazić, nie smuci mnie, że ta śliczna sukienka leży teraz pognieciona na podłodze. Sięgam do jej pleców i rozpinam stanik. Uwielbiam to, jak jej biust opada, gdy zostaje uwolniony z okrutnych więzów.

Wygląda na pijaną i to nie od ponczu z rumem, który piliśmy do kolacji. Nie, jest pijana podnieceniem. Cholera, zaraz wystrzeli jak rakietą. I ja też.

Włączam piosenkę, którą przygotowałem na ten moment. *Obłąd* Muse. Nie istnieje lepszy utwór na wyrażenie tego, co czuję. Ten kawałek opowiada moją prawdę każdym słowem i nutą.

Z chwilą gdy przeszliśmy przez drzwi po kolacji, bezceremonialnie zdarłem z siebie ciuchy, a ona momentalnie poszła w moje ślady, ściągając sukienkę i rzucając ją na podłogę z głośnym „łup”. To mnie podnieciło. Ale z drugiej strony wszystko, co robi, mnie podnieca.

– Połóż się – rozkazuję, gestem pokazując łóżko.

Wykonuje polecenie bez wahania, wdrapuje się na łóżko na czworaka jak kot. Widok białych stringów znikających w jej uroczej pupci nieomal zwała mnie z nóg.

– Na plecy – mówię, ledwie mogąc złapać oddech.

Kładzie się i wyciąga na całą długość, jej ciemne włosy rozsypują się na poduszce dokoła jej twarzy. Oddech ma płytki. Już teraz drży z ekscytacji oczekiwania, co ma się z nią wydarzyć. Och ludzie, oczekiwanie zżera ją w tej chwili żywcem. No cóż, wiecie co? Oczekiwanie może sobie kurwa odpuścić – od tej pory tylko ja będę pożerał ją żywcem.

Piosenkarz z Muse opowiada jej moją prawdę.

Wdrapuję się na łóżko i powarkując, rozsuwam jej nogi. Wygina plecy w łuk, pożądając mnie. Bez ostrzeżenia nurkuje w dół i chwytam dziko w zęby stringi. Piszczy z zaskoczenia. Trzymam majtki w zębach i potrząsam głową jak pies targający zabawkę do gryzienia, rozrywam elastyczną gumkę i zdzieram z niej resztę jednym płynnym szarpnięciem.

Sapie.

Widzę mój słodki cel. Wygląda do bólu rozkosznie. Ale jeszcze nie.

Wspinam się na nią i całuję w usta, moja erekcja wciska się jej natarczywie w udo. Oplata mnie ramionami, jej miednica automatycznie naciera i uderza we mnie, zachęcając, bym w nią wszedł.

Obłąd.

Pieszczę ją między nogami bardzo, bardzo delikatnie, palce ledwie muskają czubek, a ona cicho pojękuje. Zanurzam palec, och Boże, jest taka na mnie gotowa, i podnoszę go do ust.

– Jesteś taka smaczna – szepczę ochryple. Znowu wsuwam w nią palec, a potem wkładam go jej do ust. Ssie żarłocznie. – Taka smaczna – dyszę znów, a ona kiwa głową, wijąc się pode mną.

Mój wilgotny palec ześlizguje się z powrotem w dół i odnajduje łechtaczkę. Jest pobudzona, twarda i

Śliśka. Ledwie mogę oddychać.

Obłąd.

Ustami odnajduję piersi, palce dalej poruszają się w niej w tę i z powrotem. Brodawki są twarde i stoją na baczność. Liżę jedną z nich przez chwilę i potem pozwalam ustom powędrować w dół do pępka. Jęczy cicho.

Mój język ześlizguje się do wnętrza ud.

– Jonasie – szepcze, wypuszczając drżący oddech i wyginając plecy.

Nie mogę się dłużej powstrzymać. Przesuwam wargi do jej słodkiego punktu, do precudownej cipki, o której lizaniu marzyłem przez połowę swojego życia. Całuję ją znowu i znowu, uprawiając miłość z jej wilgocią ustami i językiem.

– Tak – dyszy, wyginając się do mnie. – Tak.

Obłąd.

Kaligrafuję alfabet na jej rozkoszności, po jednej literze naraz, bacznie obserwując, co jej ciało mówi mi, żebym zrobił. Gdy docieram do „H”, wydaje dziki pomruk, zatrzymuję się więc przy tej literze, a ona wije się pode mną i podryguje.

Kiedy pora jest właściwa, kiedy jej ciało mi tak podpowiada, przechodzę dalej. I... J... K... L... M.

Och, wow, moja maleńka lubi „M”. Och taak, bardzo to lubi.

M... M... M... M... M... M.

M jak *madness*, jak obłąd z piosenki.

Z każdą kolejną literą, z każdym kolejnym obrotem języka, z każdym kolejnym pocałunkiem, wyznaję jej prawdę o swoim dla niej oddaniu. Z emfazą.

N... O... P.

Jęczy. Wije się dziko.

Q... R... S.

„S” zwykle oznacza „jasna sprawa” lub, czasami, „sekretna broń”. Nie pamiętam, żebym kiedykolwiek dotarł poza „S”, ale nie, nie z Sarah. Bo Sarah nie jest jak ktokolwiek inny. Ale ja już o tym wiem.

Przechodzę do „T”.

Bingo.

Och taak, moja dziecina lubi, jak jej się serwuje odrobinę „T”.

„T” to paralizator, najwyraźniej, bo jej ciało dygocze gwałtownie, jakbym właśnie przeszył ją prądem.

T... T... T dla Mojej Zjawiskowej Sarah.

T... T... T dla mojego słodkiego skarbu.

Wierci się dziko i sapie, łapiąc powietrze.

Och taak, zaczyna tracić głowę.

I ja też.

Uwalnia się.

Zrzuca pęta.

Jej rozkosz zaczyna zamieniać się w ból.

Do momentu gdy docieram do „Z”, do którego dokładam długi szereg żarliwych wykrzykników, wisi na najcieńszej nitce.

Klucz twardo tkwi w zamku, pora go przekręcić.

Krótko drażnię językiem jej guziczek, ale kogo ja chcę oszukać? Już dawno przekroczyliśmy punkt drażnienia. Biorę jej twardą wisienkę w usta i ssę tak, jak nigdy nie była ssana.

Sarah wyje i rzuca się jak zranione zwierzę w pułapce.

Och, moja maleńka. No dalej.

Chwyta mnie obiema rękami za tył głowy i przyciska ją do siebie z całej siły, wykrzykując moje imię, rozkładając nogi na całą szerokość.

Puść się, dzieciно.

Jej umysł zaczyna oddzielać się od ciała, czuję to.

Obłąd.

Wiruję językiem, wykonuję nim okrążenia, stękam i jęczę w nią. Och Boże, albo dojdę, zemdleję, albo dostanę pieprzonego zawału. Nie mogę...

Wyje teraz jak dzika małpa. Nie jest już człowiekiem.

Przeszywa mnie dreszcz. Jestem tak podniecony, że nie mogę...

Ale nie, nie, nie, nie dojdę, póki ona nie dojdzie. Nie dojdę, póki ona nie dojdzie.

No już, maleńka. Poddaj się.

Wbijam w nią język, penetruję tak głęboko, jak tylko dosięgam, pożeram żywcem, ssę, pochłaniam, żeby się tylko poddała.

Dużo dłużej nie wytrzymam.

Muskam zębami nabrzmiały czubek.

Krzyczy.

Puść, dzieciно. Proszę. Proszę. Błagam. Puść.

Kąsam jej słodki guziczek.

Klik.

Otwiera się.

Dzięki Bogu.

Zaczyna dygotać pod moimi wargami jak otwierające się i zamykające szybko okno. Wstrząsają nią dreszcze jeden za drugim, jeden za drugim, podskakuje i podryguje, jakby miała epilepsję, i, och mój Boże, przez cały czas krzyczy na głos z samych głębin duszy. Odślania się przede mną do naga, odkrywa wszystko. Och Boże, tak, ulega w końcu rozkoszy, prawdzie, mnie. Tak, mnie.

Jest czystym pięknem.

Jest perfekcją.

Jest moją największą kreacją.

Każdy dany mi od Boga instynkt mówi, żebym wbił się w nią i pozwolił jej ciału zacisnąć się wokół mnie. Najwspanialsze uczucie znane ludzkości, Święty Graal, ale prędzej umrę, niż dojdę bez niej, a co do tego nie mam stuprocentowej pewności.

Obłąd.

Dreszcz wstrząsa nią ostatni raz i to koniec, jest po niej.

Przestaje krzyczeć. Drży. Jęczy. Jest złana potem.

– Jonasiе – mówi w końcu zdławionym głosem. – Tak – sapie. Kładzie dłonie na piersi, ucisza rozpędzone serce.

Spoglądam na nią spomiędzy jej nóg. Klatka piersiowa faluje jej gwałtownie.

Jestem oszalały ze szczęścia.

– Zrobiłeś to – szepcze. Oczy ma wielkie. Zobaczyła światło.

Obłąd.

– Kochaj się ze mną – mruży, wierząc biodrami. Jej piersi unoszą się i opadają.

Wspinam się do jej twarzy i liżę, żeby ją uspokoić. Odpowiada tym samym, liże mnie po ustach, brodzie, po języku.

– Kochaj się ze mną – mruży znowu.

Wbijam się w nią, spragniony uwolnienia. Jej ciało przyjmuje mnie z ciepłą, wygłodniałą radością.

– Sarah – stękam, kochając się z nią, wielbiąc ją. Pasujemy do siebie jak nikt i nigdy. Jej ciało zostało stworzone wyłącznie pode mnie.

Jest idealną formą piękna.

Jest boskim oryginałem.

Każdym ruchem mojego ciała mówię jej, co czuję.

– Jonasie – szepcze mi do ucha.

Już po mnie.

Dochodzę z głośnym, głębokim pomrukiem, cały dygoczę, drzę, uwalniam się.

Sarah.

Jest moją religią.

Ja jej wyznawcą.

Jest wszechmogąca.

Ja jej poddanym.

Poddaję się.

Tak, poddaję.

Totalnie i kompletnie.

– Obłąd – dyszę, opadając na nią. Moje ciało znowu gwałtownie dygocze, najwyraźniej doświadcza jakiegoś rodzaju wstrząsu wtórnego. – Och mój Boże, Sarah.

Śmieje się tym jej ochrypłym śmiechem.

– O Matko Boska, ja pierdolę. – Wciąż się trzęsę. Serce wciąż łomocze. – Obłąd.

# Rozdział 13

## Sarah

Sarah.

Podnoszę głowę. Ostatnie, co pamiętam, to że byłam zaplątana w Jonasa. Kiedy zasnęłam? Jest środek nocy. Dżungla żyje wokół nas.

Moskitiera jest odsunięta, Jonas stoi u stóp łóżka. Jego erekcja jest olbrzymia. Jak... ja cię kręcę. Oczywiście wykute w stali. Klatka piersiowa faluje.

Z jego laptopa dudni muzyka. Tym razem leci *Closer to God* Nine Inch Nails. Każdy włoszek na moim ciele staje dęba. Znam tę mroczną piosenkę i doskonale wiem, co oznacza. Opowiada o tym, co mi robi Jonas, jak mnie zerżnie. Czuję ucisk w piersi.

Wchodzę w to. Możesz na mnie liczyć.

Ten kawałek zawsze, ale to zawsze, podniecał mnie na jakimś najbardziej prymitywnym poziomie, sprawia, że jestem napalona, niegrzeczna, dostaję świra na bzykanie. Ilekroć go słyszę, wyobrażam sobie skrycie, że jestem rżnięta przez bestię nie człowieka, bez litości, dokładnie tak, jak opisuje to piosenka. I teraz, wreszcie, nadszedł ten dzień, a ta bestia to mężczyzna moich marzeń.

Oczy mu błyszczą. Wyciąga rękę, kusząc mnie, żebym wstała.

Będzie mnie rżnął jak bestia.

Tak, proszę. I dziękuję.

Cała pulsuję do wtóru prymitywnego rytmu piosenki. Już w tej chwili się wiję, a Jonas jeszcze mnie nie dotknął.

Wyprowadza mnie w ciepłą noc na taras, idąc, daje mi zobaczyć się z tyłu w blasku księżyca. Ja pierniczę, niczego sobie te tyły.

Ciemne sklepienie dżungli majaczy ponad nami we wszystkich kierunkach. Jonas opiera mnie o drewnianą barierkę i rozsuwa mi nogi, jakby miał mnie zaraz zrewidować. Jego palce lądują pomiędzy moimi nogami, uśmiecha się, kiedy czuje, jak bardzo jestem już podniecona. Czubek jego penisa penetruje mnie przez krótko, odrzucam głowę w tył oczekując, że będę rżnięta, ale on chichocze. Tylko się ze mną droczy. Łajdak.

Bierze poduszkę z fotela, kładzie ją u moich stóp i klęka przede mną, jak do modlitwy. Podnosi na mnie oczy i oblizuje wargi.

Uśmiecham się do niego. Jestem gotowa.

Nachyla się do mnie. Czuję na sobie jego ciepły oddech.

Moja klatka piersiowa faluje. A niech to szlag, to oczekiwanie mnie zabije.

Co on robi? Nie wchodzi do środka. Wodzi po mnie wargami, bardzo delikatnie, jakby wahał dobre wino, zanim go skosztuje. Trzęsą mi się nogi.

Podciąga się i całuje mnie lekko, z nabożnością. Bez języczka. Tylko czułe, wielbiące pocałunki, jeden po drugim. Momentalnie miękną mi kolana.

I oto jest. Och Boże, tak, jego ciepły, mokry język. Liże mnie, jakby lizał zamknięcie koperty. W kilka minut doprowadza mnie do tego, że jęcę i wiję się, jakby robił mi tam dobrze od wielu godzin. Może to

pamięć mięśni z wcześniej, może nowo odkryta pewność, że wiem dokąd to prowadzi, może to, że klęczy pokornie przede mną, a może po prostu „nauczył się mnie” tak cholernie dobrze, że wszelka forma oporu jest daremna. Tak czy owak w rekordowym tempie odchodzę od zmysłów. Z gardła wyrrywają mi się chrapliwe sapnięcia, gdy jego język zaczyna wirować, robić młynka, obracać moją stojącą na baczność lechtaczką. Odrzucam głowę w tył, rozkoszując się nagłą intensywnością przyjemności. Kiedy zaczyna ssać i jednocześnie wirować językiem, coś, czego nigdy dotąd w dokładnie taki sposób jeszcze mi nie robił, chwytam się kurczowo poręczy. Znowu odrzucam głowę, ale to nie zmniejsza narastającego we mnie ciśnienia.

Wbijam mu się w usta, wwiercam w twarz, przymuszając go, żeby we mnie wszedł. Nie mogę zapanować nad biodrami, nie mogę ich powstrzymać, żeby nie podrygiwały i nie wciskały się w niego. Trzymam się poręczy, wbijam w nią paznokcie, próbując utrzymać się na nogach, ale kolana wciąż mam miękkie, uginają się pode mną.

O mój Boże, zaraz dojdę. Och Boże, tak, ja pierdolę, zaraz będę miała orgazm.

Odrzucam głowę i wyję. W środku wszystko we mnie drży, faluje, skręca się, kolana miękną i załamują się pode mną. Praktycznie kucam mu na twarzy, rzucam się i uderzam w niego raz za razem, chcę, żeby we mnie wszedł. Och Boże, jestem w tej chwili obłąkana. Zdeprawowana. Ha! Pieprzę twarz tego pięknego mężczyzny. Ale nie obchodzi mnie to. Stoję na skraju głębokiej mrocznej otchłani, i och Boże, och Boże, och Boże, zaraz skoczę w tę pustkę. On stęka i miętosi moje pośladki, przyciąga mnie jeszcze bliżej do swojej twarzy, kąsa zębami. Nie mogę ustać prosto. Nie panuję nad sobą. Rozsuwam nogi, żeby dać mu jeszcze głębszy dostęp do siebie, wbijam się w niego biodrami. To czysta ekstaza. Albo agonía. Albo jedno i drugie. Moje dłonie gubią się w jego włosach, popychają go do mnie. Trzęsę się. Jestem oszołomiona. Ból i rozkosz zjednoczyły się. Jestem gotowa na orgazm. Właśnie teraz. Właśnie kurwa teraz.

– Teraz! – wyję. – Jonas! Teraz!

Podrywa się, jego erekcja jest wspaniała w blasku księżyca, i odwraca moje drżące, dygoczące, ogarnięte szaleństwem ciało do barierki. Bez najmniejszego zawahania wbija się we mnie od tyłu, zarazem gorączkowo sięgając do mojej cipki. Och Boże, tak, tak, tak, tak, wali we mnie, rżnie mnie jak zwierz, młóci, ujeżdża głęboko i twardo, bez litości, cały czas przy tym pieszcząc. Nie mogę myśleć. Nie mogę oddychać. Pieszczę sobie piersi, twarde brodawki. Sięgam niżej i czuję go wsuwającego się we mnie i wysuwającego, tak, tak, tak, tak, a potem podnoszę wilgotny palec do ust i ssę go, do bólu pragnąc ulżyć ciśnieniu we mnie.

– Pieprz mnie – warczę, moje biodra rzucają się i wiercą, żebym mogła przyjąć go jak najgłębiej. – Mocniej – jęczę, a on spełnia moją prośbę. Jego masujące mnie palce są magiczne. Spadam, zatracam się, odchodzę od pieprzonych zmysłów. Jest nawet lepiej niż ostatnim razem.

– Maleńka – stęka mi do ucha, a mną wstrząsa gwałtowny dreszcz, zupełnie jakby powiedział „Sesamie, otwórz się” i otworzył mroczną komnatę w najdalszym zakątku mnie. Następuje moment nieważkości, dezorientacji, jak ocean cofający się ostro tuż przed tsunami, a potem, w końcu, ciepła fala intensywnej rozkoszy uderza we mnie od środka, kurcząc każdy mięsień we mnie i posyłając moje serce w dziki galop.

Po pierwszej fali natychmiast przypląwa następna i następna, i następna, i następna, aż cała jestem poskręcana, pozaciskana. Zaczynam mówić „Jonas”, ale jedyne, co wychodzi z moich ust, to zwierzęcy skowyt. Całe ciało tężeje i spina się wraz z jednym końcowym skurczem, potem rozluźnia się rytmicznie tętnieniem rozkoszy promieniującym na całe moje jądro.

Jonas krzyczy dziko, taranując mnie, jego twardość wślizguje się we mnie ostatni bezlitosny raz.

– Sarah! – krzyczy. – Och Boże, Sarah!

Opada na moje plecy i wzdycha, jego pot miesza się z moim.

Odwracam się, żeby na niego spojrzeć, i momentalnie witają mnie jego żarłoczne usta.



Po jakiejś chwili odsuwa się i śmieje.

– Wow.

Ale ja nie mogę się śmiać. Nie mogę mówić. Serce nie bije mi jeszcze normalnie. Jestem oszołomiona. Zdezorientowana. Kolana mam jak z gumy.

Na chwiejnych nogach podchodzę do fotela i siadam.

Jonas siada naprzeciwko, na czole lśni mu pot.

– O rany! – rzuca. – Epickie. – Też jest oszołomiony.

Kiwam głową. Nie mogę mówić. Och mój Boże.

Mija kilka minut, podczas których odzyskujemy normalny oddech.

– Dwukrotnie jednej nocy, maleńka – mówi w końcu z uśmiechem. – Mount Everest został oficjalnie zdobyty.

Bum. Tak po prostu mam w żołądku wielki dół. Nie pozwalałam sobie o tym myśleć, ale teraz nie mogę się powstrzymać. Ja jestem Mount Everestem. A Jonas alpinistą. To co teraz? Przejdzie do nowego wyzwania? Kilimandżaro albo może Matterhorn? To mężczyzna, który bardziej niż wszystko pragnie dawać kobietom orgazm. Nie, on musi to robić. Wiedziałam o tym od początku. I właśnie dokonał tego, co sobie założył ze mną, i jeszcze więcej. Co zostało, co teraz utrzyma jego zainteresowanie?

Wciąż się uśmiecha, nieświadomy myśli galopujących mi po głowie.

– No to przyznaj, lubisz czekoladę sto razy bardziej niż zieloną fasolkę, co?

Jestem zbyt spięta, żeby odpowiedzieć.

– Nadal będziesz mi wmawiała, że seks dla kobiety to wiele więcej niż orgazm, bla, bla, bla emocje, bla, bla, bla? Proszę, oświeć mnie.

Wiem, że się przekomarza, chce być zabawny, ale ja nie mogę zignorować niepokoju, który spadł właśnie na mnie i zmiażdżył jak tona cegieł. Obiecał, że nie dojdzie, dopóki ja nie dojdę. I spełnił swoją obietnicę. A więc, czy mój orgazm to koniec naszej wspólnej wędrówki? Odhaczy kwadracik z napisem „wielkie O” obok „Sarah Cruz” i pójdzie dalej? Będzie w ogóle chciał dokończyć mój miesiąc członkostwa? Patrząc w dół, na bransoletkę na nadgarstku. Czuję, że zaraz się rozpłaczę. Nie chcę, żeby mój czas z Jonasem się skończył. Nigdy.

– No i? – ponagla z uśmiechem, wyraźnie nieświadomy zaczynającej mnie ogarniać paniki.

Odchrząkuję.

– Tylko dlatego, że kochasz doprowadzać kobiety do orgazmu bardziej niż wszystko, nie znaczy, że to jedyna rzecz. – Wystawiam brodę w jego stronę. – Przynajmniej nie dla mnie.

Jego uśmiech znika. W gruncie rzeczy na twarz wypływa mu gniew.

– Jezu – mamrocze, potrząsając głową. – Znowu to samo. Po prostu, kurwa, niewiarygodne.

Wow, wkurzył się. Nie rozumiem nagłej wściekłości wykrzywiającej mu rysy. Otwieram usta, ale nic z nich nie wychodzi.

Podrywa się z fotela i gromi mnie wzrokiem.

– Ja kocham doprowadzanie kobiet do orgazmu bardziej niż wszystko? O kurwa! Dostyc mam twoich problemów z tatusiem, Sarah. Twojego lęku przed porzuceniem. Nie będę spłacał emocjonalnych długów twojego ojca dupka.

Zbaraniałam.

Nachyla się do mnie, kładzie ręce na poręczach, sprawiając, że kurczę się w sobie.

– Może i jestem zarozumiałym-złamasem-dupkiem-i-sukinsynem, ale nie jestem skończonym fiutem, rozumiesz? Kiedy mi wreszcie zaufasz? Jesteś w ogóle do tego zdolna? Jeśli nie, po prostu powiedz mi to teraz, raz na zawsze, żebym nie musiał dalej walić głową w pieprzony mur, próbując sprawić, żebyś dostrzegła moje zalety.

Oczy mam wielkie jak spodki. Co się dzieje? Jest w furii. Co ja takiego powiedziałam?

Odpycha się od poręczy z poirytowanym fuknięciem i zaczyna krążyć po tarasie, jego prężne mięśnie

napinają się jak u czającego się kota.

– Co więcej mogę zrobić, żeby ci udowodnić, że można mi zaufać? – Macha z frustracją ręką w stronę pokoju, dżungli, całego Belize. – Kończą mi się pomysły, Sarah. – Spogląda w niebo, próbując zapanować nad gniewem. – Tak strasznie boisz się porzucenia, że zamienia się to w samospełniającą się przepowiednię – stęka.

Potrząsam głową. Jakim cudem tak okropnie to schrzaniłam, i tak nagle? Co takiego powiedziałam, co go tak obruszyło?

– Nie – zaczynam.

Ale nie potrafię znaleźć słów. Bo Jonas ma rację. Absolutną. Boję się od pierwszego dnia z nim. Byłam przekonana, że zdobędzie moje serce i potem roztrzaska je na milion małych kawałków. Tak, czekałam, kiedy to zrobi. I nadal czekam.

Przyskakuje do mnie i zamyka moją twarz w obu dłoniach. Przysuwa do niej swoją.

– Nie ma dla mnie więcej „doprowadzania kobiet do orgazmu”. – Wypuszcza oddech z ekstremalnym poirytowaniem. – Jest tylko doprowadzenie ciebie do orgazmu. Tylko ciebie chcę podniecać. Jesteś tylko ty, Moja Zjawiskowa Sarah. Ty jesteś tą, której pragnę. Tą, której potrzebuję. Masz mnie, kurwa, na własność. Ty, twoje apodyktyczne szajsy, oliwkowa cera i ochrypyły głos, wielki umysł, smakowita pupa i rozkoszny uśmiech. Ty, ty, ty. – Chwyta mnie ostro za rękę, jakbym była szmacianą lalką, i szarpnięciem podnosi ją. Pokazuje na bransoletkę na nadgarstku. – I ja. – Stęka głośno, jak goryl. – Jak na mądrą dziewczynkę, potrafisz być czasami straszliwie durna, serio.

Szczęka wisi mi prawie przy podłodze.

Znowu krąży.

– Nie zrozumiałaś niczego z tej piosenki Muse? *Obłąd*?

Potrząsam głową. Chyba nie. Myślałam, że tak, ale coś musiało mi umknąć. Sądziłam, że piosenka oznaczała, że chce mnie lizać aż do krańcowego obłądu, do przejściowego delirium, umysł odłączony od ciała. Co innego mogło to jeszcze oznaczać?

– Obłąd, Sarah. Obłąd. – Wpatruje się we mnie, jakby wszystko było już kryształowo jasne.

Kręcę głową głupkowato. Okej, obłąd.

Jego oczy nagle są wilgotne.

– Zwariowałem już dawno temu, Sarah. Dosłownie. I to bolało – dławi się. – Obiecałem sobie, nigdy więcej... cokolwiek by się działo.

Wraca do mnie i łapie mnie brutalnie za ramiona. Instynktownie się kulę.

Ma jakiś błysk w oczach, puszcza mnie.

– Myślałem, że Platon potępia obłąd, każe go unikać za wszelką cenę. Ale wszystko pokręciłem.

Potrząsam głową. Nie rozumiem.

– I potem poznałem ciebie i chciałem zapaść na poważną chorobę umysłową. Chciałem oszaleć. – Kręci głową, buzuje emocjami. – Platon nie mówił, że mam go unikać. Mówił, żebym go włączył, zintegrował.

Moje oczy są szeroko otwarte. Serce wali. Czy on zwariował, ale tak naprawdę?

– Nie rozumiem.

Zgrzyta zębami.

– Miłość to poważna choroba psychiczna – mówi, robiąc w powietrzu znak cudzysłowu i przeciągając słowa. – Tak powiedział Platon. Miłość to pieprzona choroba psychiczna – krzyczy. Nie potrafię powiedzieć, czy jest zły, sfrustrowany, rozpalony, czy wszystko powyższe naraz. – Dlaczego ktokolwiek chciałby mieć chorobę psychiczną? To rani. To tortura. To jest bolesne. – Znowu stęka. – Powiedział, że miłość to obłąd, Sarah. A ja myślałem, że to znaczy, że mam jej unikać, bo unikałem jej przez całe życie. – Przegrywa bitwę z własnymi emocjami.

Oniemiałam.

– Ale ty doprowadzasz mnie do szaleństwa. – Głos mu się łamie. – I chcę, żeby tak samo było z tobą. Zamykam oczy, próbując powstrzymać łzy. Czuję, że zaraz pęknie mi serce.

– Rozumiesz, co do ciebie mówię? – szepcze.

Kiwam głową. Rozumiem totalnie.

Przykłada czoło do mojego.

– Nie ma już kobiet, które chcę doprowadzić do orgazmu, ty wielki głuptasie. Jesteś tylko ty.

Mrugam i łzy, które zbierały mi się w oczach, zaczynają spływać po policzkach. Kiwam głową zapamiętale. Rozumiem.

Zaciska szczękę i odsuwa się. Nagle znowu jest zły.

– Ale jeśli mnie nie chcesz, jeśli nie czujesz tego samego, po prostu powiedz mi to teraz. Zerwij pieprzony plaster. Dłużej tego nie zniosę.

Czy to w jakikolwiek sposób możliwe, że nie jest stuprocentowo pewien moich uczuć?

– Jonasie – odzywam się, obawiając się, że dam się przytłoczyć emocjom. – Jonasie, spójrz na mnie. Spójrz. Tak, chcę ciebie. Jasne, że chcę. Doprowadzasz mnie do szaleństwa, totalnie, całkowicie, bezapelacyjnie.

Pierś mu faluje.

– Kompletnie na twoim punkcie ześwirowałam – mówię czule.

Wypuszcza ostro powietrze.

– Zwariowałam. Mam obsesję. Straciłam rozum.

Krzywi usta.

– Rąbnęło mnie. Odwaliło. Odleciałam.

Uśmiecha się.

– Jestem tym czubem z cocoa puffsów.

Wbrew sobie parska śmiechem.

Wstaję i oplatom mu szyję rękoma.

– Mam poważną chorobę psychiczną. To obłąd.

Całuje mnie głęboko.

– Ty wielki głuptasie – szepczę.

Uśmiecha się do mnie promiennie.

– Wiedziałem, że nie będziesz mogła mi się oprzeć.

Śmieję się.

– Czyli już ustalone, tak?

Kiwam głową.

– Koniec z popieprzonymi problemami z zaufaniem?

– Koniec.

– Koniec z jednym krokiem do przodu i dwoma w tył?

– Pełną parą naprzód. – Robię przerwę. – Pod warunkiem, że pozwolisz mi całymi dniami opowiadać o moim ukochanym maltańczyku Kiki.

Wybuchają śmiechem.

– Umowa stoi.

– Ale nie przejmuj się – rzucam, moje usta czają się milimetr od jego ust. – Obiecuję, absolutnie żadnych wypraw do Ikei. – Pocieram nosem o jego nos.

Przekrzywia głowę na bok i odsuwa się.

– No, ale chwila. Nie bądźmy tacy w gorącej wodzie kąpani.

Wyginam brew z zaskoczeniem.

– Mówię tylko, to znaczy, okazjonalnie można by nawet wpaść do tej Ikei, ale żebyśmy przy okazji zjedli te ich klopsiki? Są całkiem niezłe.

Patrzę na niego rozpromieniona.

– Taa, też je lubię.

Kiwa głową ze zdecydowaniem.

– No to w porządku, ustalone. Nie wykluczamy możliwości pójścia do Ikei pod warunkiem, że w grę wejdą szwedzkie klopsiki. – Niespodziewanie łapie mnie z werwą za pośladek. – A może po prostu zostaniemy w domu i będę zamiast tego kąsał twoje *albóndigas* – śmieje się. – Boże, uwielbiam ten tyłek.

Chwila, skąd on wie, jak po hiszpańsku są klopsiki? Odsuwam się od niego, olśnienie spada na mnie jak grom z jasnego nieba.

– Znasz hiszpański?

– Taa... Nie mówię płynnie, ale mimo wszystko całkiem nieźle.

Serce podskakuje mi od nagłej, cudowniej, roztapiającej epifanii.

– No co? – Podnosi brwi, nie rozumiejąc mojego nagłego rumieńca. – Przydaje się, kiedy podróżuję. O co ci chodzi?

– Och, Jonasie. – Całuję go.

Kto by pomyślał, że facet, który rzekomo ma alergię na „walentynkowy szajs”, okaże się na wskroś cudownie romantyczny? Kobieta ze sklepiku z pamiątkami spytała go po hiszpańsku „To wasz miesiąc miodowy?”, a mój uwielbiający metafory mężczyzna odpowiedział, że tak i jednocześnie kupował zwiewną białą sukienkę dla swej „oblubienicy” i pasującą do sukienki bransoletkę. O Jezu! Jak mogłam założyć, że jej nie zrozumiał?

– *Estamos de luna de miel* – mówię, całując go. To nasz miesiąc miodowy.

Uśmiecha się od ucha do ucha pod moim pocałunkiem.

– *Claro que sí.* – Oczywiście, że tak.

Obłąd.

– Jesteś poetą – mamrocze mu w usta.

– Neeee – zaprzecza. – Tylko przy tobie.

Wzdycham.

– Jonasie.

– Co?

– Jesteś zarozumiałym-złamasem-dupkiem-i-sukinsynem, wiesz o tym?

– Tak.

– Ale jesteś też mężczyzną moich marzeń.

# Epilog

## Jonas

Po długim dniu podróży wreszcie jesteśmy z powrotem w Seattle i wdrapujemy się po schodach do jej mieszkania. Idę za nią, dźwigam jej walizkę i podziwiam jej tyłek.

Co za podróż.

Co za kobieta.

Co za życie.

Tyle rzeczy zaplanowałem na nasz drugi dzień w Belize wczoraj. Zjeżdżanie po linie stumetrowym lejem krasowym do dżungli, popołudniowy lot helikopterem, pływanie w sławnej belizeńskiej Wielkiej Błękitnej Dziurze. Ale tak właśnie rozśmiesza się Boga – tworząc plany. Jak się okazało, nie opuściliśmy wczoraj naszego domku na drzewie nawet raz, nawet, żeby pójść coś zjeść. I to był najlepszy dzień w moim życiu. No, drugi najlepszy.

Od momentu obudzenia się dziś rano do chwili, gdy limuzyna zatrzymała się pod jej blokiem trzydzieści sekund temu, byliśmy jak para beztroskich dzieciaków. Przy śniadaniu na tarasie, kiedy popatrzyłem na nią ponad stołem, poczułem że rośnie we mnie coś przypominającego szczęście i o mało się nie udusiłem.

– Jesteś boskim oryginałem kobiety – powiedziałem do niej. – Jesteś kobiecością z prawdziwego wymiaru.

Posłała mi to spojrzenie, to które, żeby je zobaczyć, poruszyłbym góry, spojrzenie, które sprawia, że chcę być lepszym człowiekiem.

– A ty męskością – odpowiedziała przytomnie. – Moją męską męskością, ty mój męski mężczyzno.

Roześmiałem się.

I nasza beztroška przeciągnęła się poza śniadanie.

W trakcie jazdy na lotnisko furgonetką, podczas wielogodzinnego oczekiwania i dwóch przelotów nie przestawaliśmy śmiać się, wzdychać i zerkać na siebie, szczebiotać słodkie bzdury do swoich uszu, głaskać się po skórze, całować czule w usta i w policzki, i przez cały ten czas zachwycać się, że to jest nasze życie. Byliśmy razem na szczycie świata, na szczycie idealnego świata zamieszkanego tylko przez nas dwoje.

Docieramy pod drzwi jej mieszkania.

Są lekko uchylone.

– Co do...? – mamrocze, otwierając je na całą szerokość. – Och mój Boże – sapie.

Mieszkanie jest zdemolowane – od podłogi po sufit, absolutnie zrujnowane.

Zagradzam jej drogę ręką, żeby nie weszła do środka.

– Zostań tu – mówię, dając krok do mieszkania.

Nie mogę uwierzyć własnym oczom. Kiedy cztery dni temu przyjechałem po nią w drodze na lotnisko, w mieszkaniu panował wzorowy porządek. A teraz jest tu dziki Meksyk. Cokolwiek było wcześniej na ścianach, na półkach i w szufladach, teraz leży rozwalone na podłodze. Ja pierniczę, to jak jakiś obszar kłęski żywiołowej. Co tu się stało, do diabła? To jakiś rodzaj przestępczego aktu nienawiści?

Czuję gorąco jej ciała za sobą. Sięgam do tyłu i przyciągam ją do siebie. Trzęsie się.

– Och nie – sapie.

Odwracam szybko głowę, żeby na nią spojrzeć.

Jest blada jak duch.

– Mój laptop – mówi, krzywiąc się. Do oczu napływają jej łzy. – Nie ma go.

Och Jezu. Nagle wiem, o co w tym wszystkim chodzi. Cholera, jakim cudem nie zorientowałem się od razu?

W jedną rękę chwytam jej walizkę, drugą łapię ją za ramię i wyciągam za drzwi, z powrotem do limuzyny.

– Chodź – rozkazuję. – Pojedziesz ze mną do mnie.

Nie opiera się.

Drży jak liść, kiedy ją sadzam na tylnym siedzeniu. Serce pędzi mi jak super szybki pociąg kolei japońskich Shinkansen.

Nie chcę nawet myśleć, co by się stało, gdyby była w mieszkaniu, kiedy tam przyszli. Nie mogli przecież wiedzieć, że jej nie ma, prawda? Planowali ją zastać, kiedy się pojawili, czy przyszli podczas jej nieobecności specjalnie, z zamiarem zostawienia mrożącego krew w żyłach ostrzeżenia?

Powinienem był się domyślić, że grozi jej niebezpieczeństwo już wtedy, kiedy opowiedziała o starciu ze Stacy. To oczywiste, że mamy do czynienia z wyrafinowaną globalną operacją i że w grę wchodzi masa kasy. Nie pozwolą, żeby jakaś studentka prawa z Seattle naraziła całą organizację na ryzyko. Założę się, że zarządza nią grupa naprawdę złych skurwysynów. Skurwysynów, którzy posuną się prawie do wszystkiego, żeby ochronić swoją żyłą złota.

Otaczam ją ramieniem na tylnym siedzeniu.

– Jestem z tobą.

Kiwa głową.

Oni mają komputer. Mają całą naszą korespondencję. Wszystkie osobiste dane.

Kat.

– Zadzwoń do Kat – mówię, głośniejszym głosem niż zamierzałem. – Sprawdź, czy wszystko u niej w porządku.

Spogląda na mnie, skonfundowana.

– Wygląda na to, że Stacy poskarżyła się komuś, komu zdaje raporty, że jakaś brunetka i blondynka naszły jej terytorium.

Jej oczy są wielkie jak spodki.

– Ile innych rekrutek jest w Seattle?

– Ja nią jestem, to wiem na pewno.

– Dobra, w takim razie wiedzą, że brunetka to ty, a teraz mając twój komputer, wiedzą też, kim jest blondynka.

Wygląda, jakby miała problem z przetworzeniem tego, co do niej mówię.

– Masz w komputerze zdjęcia siebie z Kat?

Kiwa głową.

– Mnóstwo.

– Maile do niej i od niej?

Znowu potwierdza skinieniem głowy.

– I masz ją w kontaktach, tak?

Jej twarz eksploduje nagłą paniką.

– Dzwoń do niej natychmiast. Powiedz, że po nią jedziemy. Zamieszka z nami u mnie do czasu, aż rozwiążemy tę sprawę.

Wyciąga telefon drżącą ręką.

– Czy w którymkolwiek z maili do Kat wspominałaś o Klubie?

Chwilę myśli. Potrzęsa głową.

– Nigdy.

– W porządku, to dobrze. Ale Kat była z tobą w obu barach, tak więc na pewno się domyślają, że o wszystkim jej mówiłaś.

– Och, mój Boże.

Biorę jej dłoń w swoją.

– Nie pozwolę im cię skrzywdzić. – Ściskam jej rękę. – Już jest po nich, dopilnuję tego.

Sarah kiwa głową, ale jej uwagę przykuwa telefon. Kat odebrała.

– Kat – dyszy do telefonu, szczęśliwa, że słyszy głos przyjaciółki. – Wszystko u ciebie w porządku?

Dzwonię do Josha ze swojej komórki. Odbiera od razu.

– Hej, jak było w Belize?

– Josh, musisz przylecieć do Seattle. Natychmiast. Mamy tu pewną sytuację.

– Coś z umową?

– Nie, to coś innego. Sprawa jest krytyczna.

– Coś ci się stało? Coś stało się Sarah?

– Nie, nie, nic nam nie jest. Wyjazd był wspaniały... Sarah jest wspaniała. Jest teraz ze mną. Chodzi o Klub. To totalne gówno, Josh. Pieprzony przekręt. Wszystko ci opowiem, kiedy przyjedziesz. – Ściszam głos i zasłaniam telefon dłonią, żeby Sarah nie usłyszała moich następnych słów. – Myślę, że Sarah grozi niebezpieczeństwo. Poważne niebezpieczeństwo.

Josh chwilę milczy.

– Chyba zdążę złapać ostatni lot, jeśli od razu pojadę na lotnisko. Jeśli nie, coś wyczarteruję. Widzimy się wkrótce.

– Hej i powiedz swojemu koledze hackerowi, żeby wyczyścił sobie kalendarz. Mam dla niego dużą robotę od zaraz.

– Zrobi się. Na razie.

Rozłączamy się.

Sarah nadal rozmawia z Kat.

– Po prostu stamtąd wyjdź – mówi. – Będziemy po ciebie w przeciągu kwadransa. Też cię kocham.

Rozłącza się i wyciera oczy.

– Ktoś się do niej włamał, kiedy była w pracy. To samo, co u mnie, kompletna demolka. I też zabrali komputer. – Głos utyka jej w gardle. – W co ja ją wpakowałam?

Przyciągam ją do siebie, ale jest zbyt zdenerwowana, żeby dało się ją pocieszyć.

– Właśnie wyszła od niej policja. Uważają, że to było włamanie, jej też się tak wydawało. Ale teraz, kiedy już wie o moim mieszkaniu, jest przerażona.

– Powiedziałaś jej, że po nią jedziemy?

Kiwa głową.

– Za piętnaście minut będzie czekała na nas na stacji benzynowej nieopodal mieszkania.

– Josh też jest już w drodze. Będzie u mnie jeszcze dzisiaj. – Całuję jej dłoń. – Nie chcę, żebyś tam wracała, rozumiesz?

Kiwa głową.

– Nigdy więcej. Zostajesz ze mną. – Robię przerwę. – Na zawsze.

Znowu kiwa głową. Żadnej walki. Jestem zaskoczony. I odczuwam ulgę. I w skrytości ducha, pomimo ostrego niepokoju, jestem zachwycony. Ona naprawdę będzie teraz moja. Każdego dnia i każdej nocy. Cóż, cholera, wygląda na to, że wszystko ma swoje dobre strony, nieważne jak straszne się początkowo wydaje.

– Jest coś, co potrzebujesz zabrać od siebie? Pojadę tam później z Joshem i przywiozę.

– Może jakieś ubrania.

– Kupię ci nowe.

Na to też się nie sprzeciwia. Wow, musi być naprawdę wystraszona.

– Moje podręczniki – dodaje.

– Okej. Przywiozę je. – Jeśli zniknęły albo są zniszczone, kupię jej nowe.

Wzdycha.

– Wszystko inne, na czym mi zależy, mam w laptopie. – Głos jej drży.

– To moja wina – mówię ze ściśniętym żołądkiem. – Chciałaś zabrać go do Belize, a ja ci nie pozwoliłem. – Rośnie we mnie znajoma ciemność. – Gdyby nie ja, nie mieliby teraz twojego laptopa. – I nie mieliby jak zidentyfikować Kat, a przynajmniej nie tak szybko. A niech to szlag. Sarah jest moja zaledwie od trzech dni, a ja zdążyłem już narazić ją i jej przyjaciółkę na niebezpieczeństwo i prawdopodobnie siebie też. Dlaczego kazałem jej zostawić ten laptop? I dlaczego, kurwa, pieprzyłem się ze Stacy? Wiedziałem, że popełniam kolosalny błąd, kiedy to robiłem. Wiedziałem, a mimo to i tak to zrobiłem. Ale Stacy to ślepa uliczka. Prawdziwe pytanie brzmi, dlaczego w ogóle zapisałem się do tego Klubu? Chciałem pójść w ślady ojca, prosto do piekła? Znowu miałem kolejne załamanie nerwowe?

Przeciągam ręką przez włosy.

Niechciane obrazy najeżdżają mój umysł. Przebłyski, migawki, niekompletne sceny, wszystkie pojawiają się spontanicznie, brutalnie. Krew lejąca się z jej nosa. Dłoń szarpiąca na próżno sznur na nadgarstku. Jego owłosiony zad. Błysk noża.

Zamykam oczy.

Widzę ją, jak z obłędem zerka w stronę szafy, błaga mnie wzrokiem, żebym został na miejscu. Widzę przerażenie w jej oczach. Widzę desperację. Ale po raz pierwszy w życiu, po raz pierwszy od dwudziestu trzech lat to nie jej błękitne oczy mnie błagają, to wielkie brązowe oczy Sarah.

Czuję, jak mi się kotłuje w żołądku. Przecieram oczy, próbując usunąć obrazy w głowie. Tym razem zamierzam ją obronić. Tym razem nie zawiodę. Nie pozwolę mu jej skrzywdzić drugi raz. Zabiję go, jeśli będę musiał, gołymi rękami, jeśli będzie trzeba, zanim zdąży ją skrzywdzić.

– Nie – mówi ostro Sarah. – Jonasie, nie. – Łapie mnie za rękę i potrząsa nią. – Jonasie, spójrz na mnie. – Jej głos brzmi zaskakująco mocno. Szarpie mnie za ramię.

Spełniam jej prośbę.

– To nie twoja wina. Nie mów tak, nawet tak nie myśl.

Wypuszczam powietrze z płuc.

Ściska mi rękę.

– Jesteśmy w tym razem – mówi. – Okej? Musisz być skoncentrowany na sprawie. W tym nie ma niczyjej winy. Jest tylko to, co zamierzamy z tym zrobić. Koniec z wydurnianiem się. I to się tyczy nas obojga.

Ma rację. Co ja, do diabła, wyprawiam? To nie pora oddawać wodze demonom. Mam ochotę przywalić sobie w gębę za to, że zachowuję się jak skończona cipa. Teraz chodzi tylko o jedno, o ochronę mojej maleńkiej. Za wszelką cenę. Nie ma czasu na marnowanie go na rozmyślanie o czymkolwiek innym.

W porządku, moja mózgowica wróciła do gry.

– Czy wszystko z twojego laptopa miało kopie zapasowe? – pytam.

Kuli się.

– Nie, nic nie miało – zastanawia się. – Ale podzieliłam się notatkami z zajęć z moją grupą z koła naukowego, więc to będę mogła odzyskać. Och mój Boże, dzięki Bogu, że to zrobiłam. Nic więcej się teraz nie liczy poza tymi notatkami. Och, i moje zdjęcia, ale mama i Kat mają te, które są ważne. – Wzdycha. – Matko. Nie mogę uwierzyć, że to się dzieje.

Wyglądam przez okno limuzyny, patrząc, jak migają za nim zaparkowane auta.

Nikt nie będzie krzywdził mojej dziewczyny. Nikomu nie wolno jej nawet grozić.

Byłem skłonny pożegnać się z kasą w ramach karmicznej wymiany, w zamian za to, że znalazłem swoją



Sarah. Byłem skłonny o wszystkim zapomnieć, uznać, że to kara, na jaką sobie zasłużyłem w ogólnym rozrachunku rzeczy. Cholera, byłem skłonny odejść i nigdy się nie oglądać, pozwolić tym skurwielom prowadzić dalej ich globalny burdel, o którym nikt by się nie dowiedział. Może ci wszyscy goście wstępujący do Klubu podświadomie (czy nawet świadomie) wiedzą, co tak naprawdę dostają, nie wiem. A jeśli nie, może nie chcą wiedzieć. Kim jestem, żeby za nich wszystkich decydować, myślałem sobie? Ale, o nie, do diabła, nie, teraz zrywam wszelkie umowy. Te skurwiele zadarły z moją kobietą, kobietą, którą kocham, do cholery jasnej, i dlatego pójdą na dno.

Oglądam się na Sarah, na jej elegancki profil. Te swoje piękne usteczka ma zaciśnięte i o czymś głęboko rozmyśla. Czuje, że na nią patrzę i odwraca na mnie wzrok. Policzki ma w smugach po łzach, ale teraz jest silna. Gotowa do walki.

– Ochronię cię – mówię.

– Wiem – odpowiada.

– Nigdy nie pozwolę, żeby coś ci się stało – wyjaśniam, tak na wszelki wypadek, gdyby nie zrozumiała w pełni.

Jeden kącik jej ust unosi się w górę. Kiwa głową. Wie.

– Potrzebuję cię, Sarah – wyznaję, serce mi wali.

– Ja też cię potrzebuję – odpowiada ciepło, na jej twarzy rozkwita piękny uśmiech.

Ale to nie to chciałem teraz powiedzieć, zupełnie nie to. To znaczy, potrzebuję jej, oczywiście, tak, to jest dla mnie jasne. Potrzebuję jej. Pragnę. Nie mogę się nią nasycić. Ale chciałem powiedzieć coś innego. Coś zupełnie innego. Wiercę się na siedzeniu.

– Nigdzie nie odejdę – mówię szeptem.

Jej uśmiech powiększa się. Oczy się mrużą. Ona też nigdzie nie odchodzi.

Ale to też nie było to, co chciałem powiedzieć. Wypuszczam powietrze.

Znowu spoglądam w okno. Sarah opiera się na moim ramieniu, najwyraźniej zadowolona. Nie potrzebuję, żebym cokolwiek mówił. Wie.

Ale, nie, jest coś jeszcze, co chcę powiedzieć.

Biorę głęboki oddech.

– Obłęd – szepczę jej do ucha.

Kiwa głową.

– Obłęd – powtarza. Ścisła mi dłoń. Tak, rozumie. Ona zawsze rozumie. Miłość to poważna choroba psychiczna. Taa... ona wie. Już nic więcej nie muszę mówić. Już to powiedziałem na tysiące różnych sposobów.

„Aż do teraz nie wiedziałem, że od zawsze chciałem tylko Ciebie”. Taki cytat wybrałem na moją kartkę walentynkową dla niej i naprawdę myślałem, że tak uważam, kiedy ją wybierałem. Ale, cholera, wtedy prawie jej nie znałem. Wiedziałem tylko, kim chciałbym, żeby była. Dlatego tamten raz się nie liczy. Ale chwila, wtedy, kiedy nazwała mnie poetą w jaskini, powiedziałem: „Pod wpływem miłości każdy staje się poetą”. Już jaśniej nie mogłem się wyrazić, no nie? To było naprawdę całkiem jasne. I potem, oczywiście, powiedziałem to najważniejsze, „Miłość to poważna choroba psychiczna”. I puściłem też dla niej piosenkę Muse. Oddycham przeciągle. Taa... zdecydowanie to powiedziałem. Nic więcej mówić nie muszę.

Powiedziałem wystarczająco wiele. Nawet więcej niż wystarczająco.

Znowu zerkam w okno, moje palce są splecione z jej palcami.

Poprawia głowę na moim ramieniu i wzdycha.

Kurwa.

Nie powiedziałem wystarczająco wiele.

Kurwa.

Nie chcę dłużej mówić dookoła. Nie chcę cytować Platona czy pieprzonego Matthew Perry'ego, żeby

powiedzieć, co czuję. Chcę jej to wyznać własnymi słowami, tak jasno i prosto, jak to tylko możliwe.

– Sarah.

Spogląda w górę.

Ale słowa nie wydostają się z moich ust. Mam związany język.

Serce mi łomocze.

Nigdy dotąd nie powiedziałem tych dwóch małych słówek żadnej kobiecie oprócz matki, nigdy mnie nawet nie kusiło, ale chcę wypowiedzieć je teraz. Chcę je powiedzieć do Sarah.

Zaglądam jej w oczy.

Moja Zjawiskowa Sarah. Prędzej zginę, niż pozwolę, żeby spotkało ją coś złego. Albo zabiję.

Nie chcę nikogo innego.

Kocham ją. Tak. Kocham.

Kocham Sarah Cruz.

Muszę jej to powiedzieć. Wiem, że muszę. Natychmiast. Zasługuje na usłyszenie tych słów, zwłaszcza teraz.

Serce dudni mi w uszach.

Spoglądam w jej wielkie brązowe oczy.

Patrzy na mnie z czymś w rodzaju czystego uwielbienia, bezwarunkowej akceptacji, o której nie wiedziałem, że w ogóle istnieje na świecie, przynajmniej nie w stosunku do kogoś takiego jak ja. Wyraz jej twarzy sprawia, że mam ochotę rzucić się jej do stóp.

Następuje dłuższa przerwa, w trakcie której usiłuję uformować słowa na czubku języka. Chcę jej powiedzieć, chcę, ale pędzimy odebrać Kat. Nie chcę tego momentu dzielić z kimkolwiek innym. Chcę to wyznać po raz pierwszy, kiedy będziemy tylko Sarah i ja, kiedy będę mógł to powiedzieć i jednocześnie pokazać, jak bardzo ją kocham.

Moja pierś faluje mocno.

Sarah ściska mi dłoń i uśmiecha się do mnie. Jej oczy są ciepłe. Dobre.

– Och, mój słodki Jonasie – wzdycha. Kładzie mi rękę na policzku. – U ciebie wszystko jest do góry nogami, wiesz o tym?

Wzdycham i zamykam oczy. Daję dupy. Wiem, że tak.

Przyciskam policzek do jej dłoni. Boże, kocham tę kobietę.

– Robisz wszystko na opak, słodki Jonasie – powtarza szeptem. Ściska mi rękę i swoją drugą kładzie sobie na sercu. – To obłąd.

# Table of Contents

[Tytułowa](#)  
[Redakcyjna](#)  
[Rozdział 1](#)  
[Rozdział 2](#)  
[Rozdział 3](#)  
[Rozdział 4](#)  
[Rozdział 5](#)  
[Rozdział 6](#)  
[Rozdział 7](#)  
[Rozdział 8](#)  
[Rozdział 9](#)  
[Rozdział 10](#)  
[Rozdział 11](#)  
[Rozdział 12](#)  
[Rozdział 13](#)  
[Epilog](#)